

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY
20.
ROK
ZE SŁĄSKIEM

SŁASK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT)

www.slaskgtl.pl

Nr 9 (238) • ROK XX • WRZESIEŃ 2015

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X



KATOWICE

URODZINY MIASTA





Zdjęcia: Arkadiusz Ławrywianiec

Wielki plenerowy koncert gwiazd z okazji 150-lecia Katowic odbył się 30 sierpnia w Strefie Kultury, a transmitowany był przez Program 2 TVP. Wystąpili artyści związani z Katowicami, m.in. Feel, Krystyna Prońko, Shakin Dudi, Marcin Wyrostek, Ewa Farna, Myslovitz, Kabaret Młodych Panów, POKAHONTAZ, Grubson, 032 Band i Dawid Podsiadło. Koncert poprowadzili Grażyna Torbicka i Krzysztof Respondek, a gospodarzem tego wydarzenia był prezydent Katowic Marcin Krupa (na zdjęciu obok, w środku).



Fot: Arkadiusz Ławrywianiec



4 września w sali koncertowej NOSPR Camerata Silesia zainaugurowała Koncerty Festiwalu Jubileuszowego. Cyklem tym świętuje 25-lecie jeden z najlepszych chórów kameralnych Europy. Pierwszą część koncertu wypełniły utwory dedykowane lub napisane z myślą o Zespole Śpiewaków Miasta Katowice, wśród nich znalazło się wiele prawykonień, w części drugiej rozbrzmiewały *Psalmy* Leszka Możdżera. W festiwalowym maratonie z zespołem Camerata Silesia wystąpili także Paco Pea (12września) oraz London Baroque (26 września). Na zdjęciu koncert jubileuszowy pod dyrekcją Anny Szostak, z udziałem Leszka Możdżera w sali NOSPR.



Fot: Krzysztof Lisiak

4 września Teatr Śląski im. S. Wyspiańskiego w Katowicach rozpoczął sezon teatralny premierą, której tytuł „Western” raczej niewiele kojarzy się ze Śląskiem. Tymczasem, autor tekstu Artur Pałyga snuje opowieść, której kanwą jest prawdziwa historia Ślązaków, którzy przed ponad 150 laty wyemigrowali do Teksasu. Dzieje mieszkańców teksańskiej wioski Panny Marii przywołują dziewiętnastowieczne realia Dzikiego Zachodu, z którymi musieli się zmierzyć śląscy emigranci. Spektakl wyreżyserowali Robert Talarczyk i Rafał Urbacki, oprawę muzyczną zapewnił Przemysław Sokół, autorką projektu scenograficznego i kostiumów jest Adrianna Gołębowska (praca dyplomowa na warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych). Na scenie występuje plejada ulubieńców publiczności.

Nasz partner



Rybnik. Miasto z ikrą.

Nr 9 (238). Rok XX. WRZESIEŃ 2015 r.

www.slaskgtl.pl

WYDAWCA:
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH
TADEUSZ SIERNYprezes
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
tel. 32 253-62-21
e-mail: zarzad@slaskwn.com.plWSPÓLWYDAWCA:
BIBLIOTEKA ŚLĄSKA
40-021 Katowice, plac Rady Europy 1
tel. centr. 32 20 83 700
informacja: info@bs.katowice.pl
sekretariat: bsl@bs.katowice.pl

Redaguje zespół:

WIESŁAWA KONOPELSKA
Redaktor naczelnaKATARZYNA BERETA
Dział krytyki literackiej
portal www.slaskgtl.plMARIA KORUSIEWICZ
Dział poezji i prozy (współpraca)MARIA SZTUKA
Sekretarz redakcji
Dział kulturyBOGDAN WIDERA
Dział społeczno-historycznyWOJCIECH ŁUKA
Dział graficznyIRENA FALKIN-SIBIGA
KorektaADRES REDAKCJI:
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
tel./fax 32 206-82-71
e-mail: redakcjasklask@onet.plDTP: STP „KorGraf”
40-081 Katowice, ul. Dąbrówki 15/12
tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48
e-mail: korgraf@korgraf.com.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Luczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań
tel. 61 633 71 65Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek
i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku
oraz skracanie korespondencji.

Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych. Wpłaty należy dokonywać na konto: GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”, PKO PB SA I O/Katowice 92 102023130000 3302 00202176. Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna – 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział S.A.
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Czasopismo

„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
jest dostępne w wersji elektronicznej
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ

W NUMERZE:

4. Rozmowa z prezydentem Katowic Marcinem Krupą KATOWICE SĄ JAK DŁUGA ŁAWKA, NA KTÓREJ KAŻDY MOŻE USIAŚĆ
8. Andrzej Grzybowski KATOWICE – ZMIENIAJĄCY SIĘ KRAJOBRAZ MIASTA
12. Barbara Gruszka-Zych TAKIE PIĘKNE ŻYCIE
16. Irma Kozina WIERZYŁ W MĄDROŚĆ CZŁOWIEKA
19. Maria Szuka TO BYŁO BIESIADOWANIE!
20. Rozmowa z Tadeuszem Ehrhardtem-Orgielewskim, Januszem Kurkiem oraz Januszem Soltysikiem WIELKI SATCHMO W CZĘSTOCHOWIE
26. Bogdan Widera DŌM, W KTÓRYM MIESZKA PAMIĘĆ
30. „ROZMOWA NA 20. LECIE”
Rozmowa z prof. Stanisławem Nicieją LEKCJA MARTWEGO JĘZYKA
33. PIERWSZE TAKIE TRIENNALE
36. Beata Tomanek ZAKOCHANI W KATOWICACH
43. Arkadiusz Gola FOTOREPORTER PRZY TYM BYŁ
52. Czesław Ludwiczek JANA KIEPURY PODRÓŻE DO KATOWIC
54. Henryk Szczepański KATOWICE ZA POHLMANNA (III)
57. Jacek Kurek WESELE NA ŚLĄSKU
60. XXV LAT RESTYTUCJI SAMORZĄDU TERYTORIALNEGO
Krzysztof Kosiński JOW-Y? MY JUŻ TO ĆWICZYLIŚMY!

FELIETONY

15. NOTATNIK SPÓŻNIONEGO PRZYBYSZA
Marek S. Szczepański W SIECI, CZYLI W MATNI?
64. MIĘDZY NUTAMI
Magdalena Dziadek JUBILEUSZ ROMANA BERGERA. JUBILEUSZ MNIEJ PAMIĘTANY
65. ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŻNA
Jan Miodek W GRYFOWIE I W MIRSKU
75. PORADNIA JĘZYKOWA
Katarzyna Wyrwas NA WARSZTATACH
75. ANEGDOTY HENRYKA BZDOKA
84. Z ZAPISKÓW EMERYTA
Jarosław Starzyk STARY CZŁOWIEK I SŁOŃCE

PLASTYKA

48. Bogdan Widera KATOWICE JÓZEFA LIGEŻY
49. JÓZEF LIGEŻA. MIASTO, LUDZIE, HISTORIA. FOTOGRAFIE
50. BEATA WAŚOWSKA. MALARSTWO
51. Wiesława Konopelska ŚWIAT W WYMIARZE 50x40
84. KOLEKCJA JUBILEUSZOWA „ŚLĄSKA”: GRZEGORZ HAŃDEREK

KSIĄŻKI

69. Bogdan Widera KRÓTKO O KSIĄŻKACH
70. Katarzyna Niesporek PAMIĘĆ I WYOBRAŻNIA
71. Katarzyna Bereta O POSZUKIWANIU SIEBIE
72. Ryszard Bednarczyk STRAŻNIK ŚWIĘTEGO OGNIA
73. Ryszard Bednarczyk KTO STRASZY W PROZIE GUZEGO

POEZJA I PROZA

3. Marian Kisiel ROK MINĄŁ
24. Marian Kisiel WIERSZE
34. Maciej M. Szczawiński WIERSZE
39. Maciej Melecki INNY POZIOM TEGO SAMEGO POŁOŻENIA
40. Marek Szalsza SCHYŁEK SZATRANGU (Fragment powieści, cz.I)

EKOLOGIA

62. Jolanta Matiakowska TAKA GMINA...

STAŁE RUBRYKI

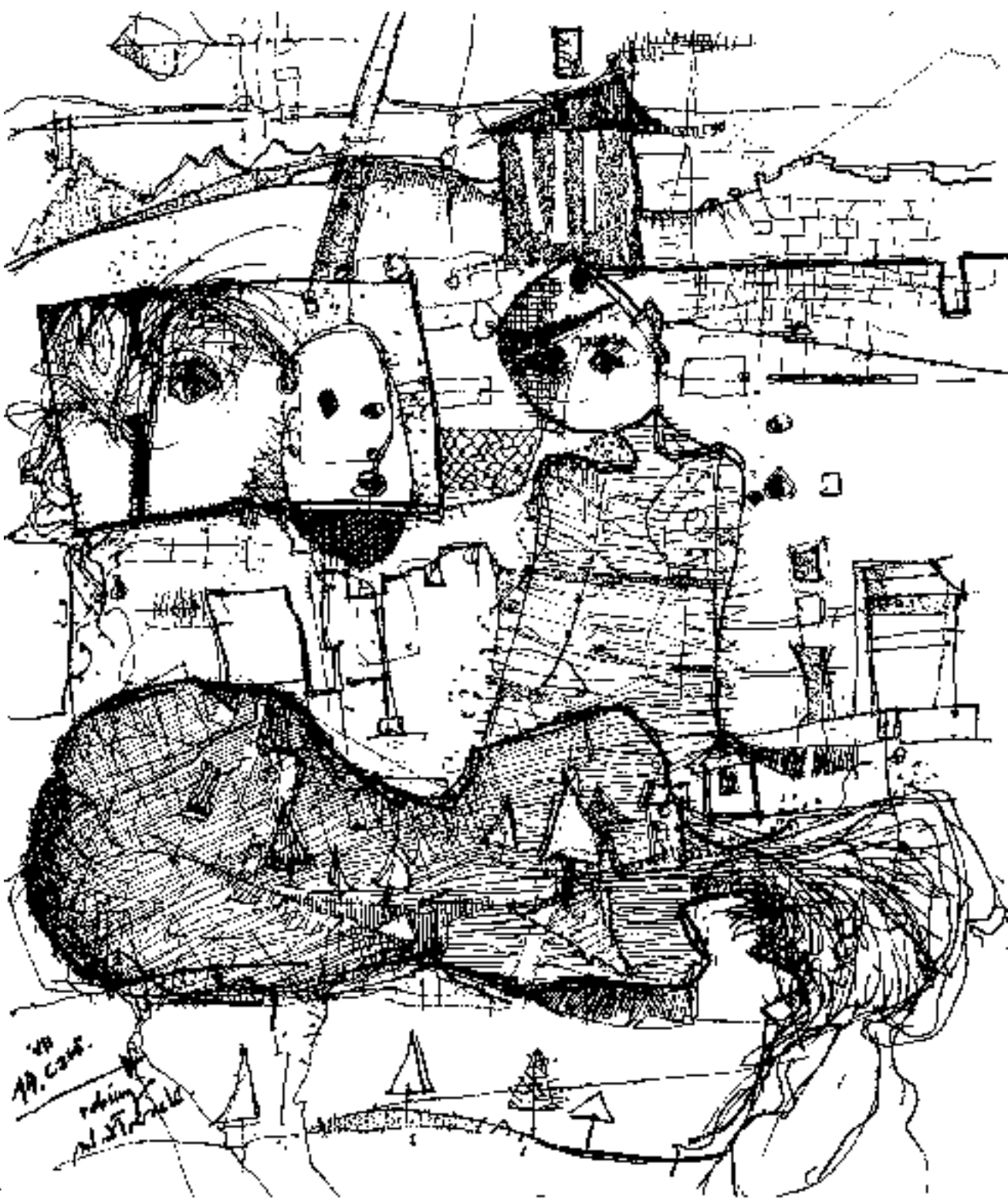
67. ZNAKI I TWARZE MIASTA KATOWICE
KATOWICE NA STARYCH POCZTÓWKACH
68. OPOLSKIE
74. Z ŻYCIA BIBLIOTEK
Bogna Dobrakowska, Izabela Kochańczyk, Marta Kryś BIBLIOFORUM
– BIBLIOTEKA W CENTRUM HANDLOWYM
83. ŚLĄSKI MIESIĄC

76. NOTATNIK KULTURALNY

NA OKŁADCE:

Fotografia: Arkadiusz Ławrywaniec, Katowice by night, 2015

Rys. Adam Dukiewicz



MARIAN KISIEL

Rok minął

Rok minął, potem minie i trzeci,
aż zamknie się w liczbach bez żadnej pamięci,

tak ptaki wiatr unosi wiosną i jesienią
na skrzydłach wiedzy o czasie, co zmienia

ciało w nic, pamięć w ciemność,
a resztę tak trwale, że jest tylko jednym.



Katowice są jak długa ławka, na której każdy może usiąść

Z prezydentem Katowic
MARCINEM KRUPĄ
rozmawia
WIESŁAWA KONOPELSKA

– Tuż przed wejściem do pana gabinetu, na honorowym miejscu, w gablocie, widnieje Umowa Społeczna zawarta między panem a mieszkańcami Katowic. To było przed wyborami. Inaczej zapewne patrzy się na problemy miasta kiedy jest się wiceprezydentem [M. Krupa był wiceprezydentem Katowic w latach 2010-2014], inaczej przed wyborami, a inaczej w ich trakcie, i wreszcie kiedy objął pan to najważniejsze stanowisko w samorządzie. Jak po kilku miesiącach

urzędowania widzi pan zawarte w umowie owe „10 przykazań prezydenta Marcina Krupy”. Trzeba dołożyć jeszcze jedną tablicę, czy może zmodyfikować tę istniejącą? Analizując ten zestaw spraw widać, że najgłośniejsze jest wokół punktu pierwszego dotyczącego Budżetu Obywatelskiego na 2016 rok i punktu ostatniego mówiącego o skomunikowaniu dzielnic miasta – czyli o tzw. tramwaju „Odrodzenie” i budowy linii łączącej – mówiąc w skrócie – Śródmieście z Piotrowicami.



– Z tymi „przykazaniami” jest tak, że wszystkie są jednakowo ważne. Możliwe, że jedne przebijają się w mediach mocniej niż inne, ale każdy z dziesięciu punktów umowy jest już realizowany. Oczywiście nie od razu zobaczymy efekty, bo obowiązują mnie procedury. Wiem jednak, że to, co zapisałem w swoim programie, odpowiada oczekiwaniom mieszkańców. Jest krótki i klarowny, ale oparty o znajomość i analizę potrzeb katowiczana, a także możliwości do realizacji, realny. Nie tylko podniosłem więc kwotę budżetu obywatelskiego do 20 mln złotych, ale też, wraz z Tramwajami Śląskimi, przystąpiłem do realizacji linii tramwajowej na południe Katowic. Przygotowujemy się do budowy trzech basenów. Tych prac na razie nie widać na zewnątrz, ale wykonane zostały odwierty i analizy geologiczne wybranych terenów. Jesteśmy w trakcie wyboru projektu. Szukamy gotowego, który sprostą naszym oczekiwaniom i według niego będziemy realizować wszystkie trzy inwestycje. We wrześniu otwieramy nowy obiekt, zbudowany w systemie TBS przy ulicy Sławka, przeznaczony dla młodych małżeństw. W ramach Zintegrowanych Inwestycji Terytorialnych budować będziemy centra przesiadkowe, w tym pętlę Kostuchna, która będzie częścią wspomnianej wcześniej inwestycji tramwajowej.

– **Kiedy odjedzie pierwszy tramwaj?**

– Wprawdzie jeszcze nie w tej kadencji, ale w 2019 roku na pewno. Najważniejsze było podjęcie decyzji i zapewnienie środków na ten cel. To mamy za sobą. Rozpoczęliśmy zasiedlanie

pustostanów – jest sporo interesujących pomysłów na ich wykorzystanie. Są także środki finansowe na rozpoczęcie prac związanych z budową Centrum Nauki. Jednak w tym przypadku zaznaczam, że nie zrealizuje tego jedno miasto, jeden podmiot, bo jest to inwestycja ponadregionalna, nawet z uwzględnieniem naszych południowych sąsiadów. Z Ostrawy do Katowic nie jest daleko.

– **Centrum Nauki to nie jest łatwa inwestycja. Prace idą w dobrym kierunku?**

– Jak na razie, tak. Oczywiście część prac będzie zakończona dopiero w kolejnych latach.

– **Te najbardziej spektakularne inwestycje, mam na myśli powstanie Strefy Kultury i modernizację rynku, Katowice – w zasadzie – mają za sobą...**

– ... ale też przed sobą! Jestem przekonany, że jeszcze niejedno nas zaskoczy.

– **Dziś, jeśli mówimy Katowice, to mieszkańcy nie tylko Śląska, ale zapewne wielu regionów w kraju mają na myśli nowy gmach NOSPR, kompleks obiektów Muzeum Śląskiego, Międzynarodowe Centrum Kongresowe i oczywiście piękną wieżę widokową, czyli szyb dawniej kopalni „Katowice”. Wszystko to znakomicie wpisuje się w sąsiedztwo ciągle atrakcyjnego architektonicznie Spodka, a od kilku lat także Ronda Sztuki. Czyli mamy nowoczesną strefę rozciągającą się od rynku w kierunku północnym. Na południu pozostaje ciągle atrakcyjna zabudowa modernistyczna, a patrząc w linii wschód-zachód mamy odnowione ulice**

3 Maja i Warszawską. Zatem, Katowice przyciągają swoim wyglądem, wydarzeniami nie tylko w sferze kultury, ale i sportu, także w dziedzinie gospodarki. Ale czy przybywają chętnych, którzy chcą tu żyć, pracować, którzy identyfikują się z tym miejscem? Sądząc po rozmachu deweloperskim, powinno przybywać. Jak jest w istocie? Kim jest dzisiejszy katowiczanie?

– Niezaprzeczalny jest fakt, zresztą zgodny ze statystykami, że liczba mieszkańców Katowic nie wzrasta. To są dane demograficzne. Nasze społeczeństwo również się starzeje i z tym wyzwaniem będziemy musieli sobie poradzić. Katowice szukają jednak sposobu, żeby zatrzymać ludzi młodych, dopiero wkraczających w dorosłe życie. To nie tylko oferta mieszkaniowa. W ostatnich latach stworzyliśmy kilkanaście tysięcy miejsc pracy, w przedziale średnim, ale dość dobrze płatnym. To outsourcing w dziale od IT po usługi księgowo-rachunkowe. Wielu z tych, którzy rozpoczęli pracę w Katowicach, przyjechało do nas spoza naszego miasta. Dziś są pracownikami takich znaczących firm jak IBM, Capgemini czy Unilever i wielu innych. Ciągłe budują się nowe biurowce i wcale nie muszą długo czekać na wynajem. Widać więc dynamikę na rynku pracy i nie brakuje chętnych na mieszkanie w Katowicach. Spora część wybiera południowe dzielnice, ale coraz więcej mieszkańców szuka mieszkania w centrum. To grupa nowych mieszczan – chcą mieszkać, żyć, uczyć się, pracować i bawić się w centrum, doceniając pluse i rozumiejąc minusy takiego rozwiązania.

– **Czyli coraz mniej atrakcyjny staje się przysłowiowy domek za miastem?**

– Właśnie tak. Pewnie najpierw część mieszkańców musiała się wyprowadzić pod ów las, żeby kolejne pokolenie powróciło „do miasta”.

– **Obserwuję na osiedlu Tysiąclecia, że z powodzeniem sprzedawane są przez deweloperów dziesiątki czy setki mieszkań w nowo powstających wieżowcach. Przed laty mieszkanie na Tysiącleciu kojarzyło się niezbyt pozytywnie, a zapewne wkrótce będzie to nowa dzielnica. Inne zjawisko – widoczne doskonale co rano na ulicy Rozdzieńskiego – kawalkada samochodów wjeżdżających do Katowic!**

– Jesteśmy w centrum aglomeracji, także historycznie. W międzywojniu wyrosliśmy na stolicę regionu dzięki zlokalizowaniu tu instytucji wojewódzkich, także Sejmu Śląskiego. Dziś nadal naturalnie wszystko „ciąży” ku stolicy – także biznes. Mieszkańcy miasta ościennych przyjeżdżają tu do pracy, ale też żeby spędzić czas wolny. Dlatego tak ważna jest dyskusja nad powstaniem jednego wielkiego miasta. To ułatwi bar-



Fot. Zbigniew Sawicz

dzo wiele spraw mieszkańcom, nieważne czy mówimy o pracy, nauce, zakupach czy wyjściu do teatru. Podoba mi się system warszawski ze swoim centrum i samorządowymi gminami.

– Katowice to także zbiór wielu dzielnic. Jak z perspektywy nowoczesnej alei Korfańtego widać na przykład Załęże czy peryferyjne Szopienice z ich problemami, a także wiele innych zaułków, gdzie nie dociera wielki biznes.

– Katowice powstały z łączenia różnych dzielnic. Trudno o wielu mówić, że są peryferyjne, bo Szopienice są bliżej niż na przykład Zarzecze. Załęże jest też blisko centrum. Są wśród tych dzielnic także te o wielkim historycznym znaczeniu, niegdyś samodzielne, mające swoją dumę. Chcę przywrócić rangę tym dzielnicom, pokazać że ich mieszkańcy są częścią tzw. wielkich Katowic. Chciaż, jak obserwuję, zwłaszcza wśród mieszkańców niegdyś odrębnych miejscowości jak Kostuchna, czy właśnie Szopienice, ciągle można spotkać określenie „jadę do Katowic”, nie do centrum czy do Śródmieścia. To właśnie wynika z naszej przeszłości, ale jest ciągle żywe zwłaszcza wśród starszego pokolenia. Te przyzwyczajenia trzeba powoli zmieniać. Oczywiście nie biurokratycznie, bo to niemożliwe, ale podkreślając jedność miasta i angażując mieszkańców we wspólne działania.

– Jak?

– Między innymi jednocześnie i intensyfikacji działań w dzielnicach ma służyć budżet obywatelski. To narzędzie pomaga włączyć mieszkańców do współdecydowania o swoim miejscu. To sposób na budowanie demokracji bezpośredniej. Po ilości projektów widać, że ludzie się angażują, chcą coś dla siebie zrobić, chcą uczestniczyć w przeobrażaniu nie tylko najbliższego otoczenia. Dołączamy do tego działania w sferze aktywizacji społecznej seniorów, wspierania rodzin wielodzietnych. W ramach obchodów 150-lecia miasta pamiętaliśmy o tym, by działało się coś w całym mieście. Przykładem takich wydarzeń może być „Inwazja sztukmistrzów” czy przenośne „Biuro dźwięku”. Najpierw wydarzenia te odwiedzały dzielnice, by w finale zawitać do centrum. W te i inne działania włączamy także inne części miasta, myślimy o nich, bo one należą do tego wielkiego miejskiego organizmu, co oznacza, że i tam kierowane są środki finansowe na różnorodne przedsięwzięcia.

Mam świadomość tego, że w ostatnich latach działania miasta koncentrowały się w centrum, że realizacja tych działań blokowała znaczne sumy w budżecie. Teraz łapiemy oddech i większe pieniądze będą kierowane do dzielnic.

– Powstało też w ostatnim czasie może dostrzegane, ale bardzo symboliczne miejsce: oto na terenie dawnej, założonej przez Johna Bайдona na przełomie XIX i XX wieku huty,

nieopodal, a właściwie w bardzo bliskim sąsiedztwie zabytkowego kościoła św. Józefa w Dębie powstały dwa wieżowce, wkrótce pojawią się kolejne dwa, nazywane Silesia Biznes Park. W pierwszej chwili zauważyłam, co mnie zbulwersowało, że nowoczesność zasłoniła historię, ale po czasie stwierdziłam, że powstało niezwykle miejsce. Podobnie jak niegdyś kopalnia „Katowice” stała się sercem Muzeum Śląskiego, tak na styku najstarszej dzielnicy Katowic – Dębu i centrum wyrosły super nowoczesne obiekty. To jakby historia miasta w gigantycznym skrócie. Niezwykle jest widok wylaniającego się kościoła zza przeszklonych ścian dwóch gigantycznych wieżowców.

– Też jestem zdania, że obiekty te ze swoją przyjazną architekturą, z całą swoją nowoczesnością, nie wypierają historii, ale ją przytulają. Dąb, mimo swej ponad 750-letniej historii, nie jest skansenem, ale przechodzi niezwykle przeobrażenie. Również za sprawą rewitalizacji i architektury. Zbudowaliśmy tam m.in. nowoczesne centrum kultury, są ciekawe przedsięwzięcia komercyjne. Takie realizacje wpisują się w naszą filozofię miasta – nowoczesnego, innowacyjnego, ale szanującego tradycję. Przypomnę, że miasto miało również swój udział w przywróceniu świetności kościołowi na Dębie w ramach programu ratowania obiektów zabytkowych. Trzeba pamiętać, że kościoły, w przeważającej większości wyróżniające się znakomitym stylem architektonicznym, nadają charakter temu miastu, są nie tylko mocnymi punktami w krajobrazie, ale budują naszą tożsamość.

– Jak Katowice chcą się dzisiaj promować?

– Ostatnio z telewizyjną dwójką zorganizowaliśmy koncert z okazji 150-lecia miasta. Obraz transmitowany na cały kraj miał pokazać, że Katowice to już nie miasto kominów, dymu i kopalń, ale że to mieniący się wielobarwnym światłem, ważny punkt na mapie kraju, miasto doskonałej architektury, kultury, artystów. Miał też przypomnieć, jak ogromną drogę przeszły Katowice i jakie tu zaszły zmiany, jak poprawiła się jakość życia, o czym często się nie pamięta i upowszechnia nieprawdziwe stereotypy. Katowice to też miasto zielone. Wprawdzie sceptyków nie brakuje, ale nie mam poczucia, że pieniądze na promocję miasta to pieniądze wyrzucone. Zmiana wizerunku procentuje. Dziś Strefę Kultury z dumą pokazujemy bliskim i znajomym. Jedno z najmłodniejszych miejsc to taras widokowy na dachu Międzynarodowego Centrum Kultury. Najdłuższa ławka w mieście przyciąga. Jakaż stąd rozpościera się panorama miasta! Pokryty trawą dach Międzynarodowego Centrum Kongresowego jest przyjazny, zachęca do relaksu i do pozostania w tym miejscu. Ale nie tylko tutaj. Mnożą się modne miej-

sca, kluby, kawiarnie i restauracje z klimatem. W Katowicach koncentruje się życie towarzyskie młodych ludzi.

– Panie prezydencie, żeby miał kto przesiadywać na tej ławce, uczestniczyć w wielkich, masowych koncertach, odwiedzać NOSPR i inne obiekty kultury, potrzebni są ludzie, którzy zechcą w nich przebywać. Czy powstanie kampus akademicki, który będzie służył studentom katowickich uczelni? Jakże są jego losy, bo wiele się o nim mówi, no i wiąże spore nadzieje.

– Szkół wyższych w naszym mieście jest bardzo dużo, liczba studentów – około 80 tysięcy – mówi sama za siebie. Do dziś dotyczą nas konsekwencje decyzji podejmowanych przed ’89 rokiem. Wtedy dbano o to, by nie koncentrować studentów w jednym miejscu, tym bardziej w centrum, bo student oznaczał kłopoty. Próbowano ich rozproszyć, albo zgrupować w jednym miejscu, ale poza centrum. Tak powstały akademiki w południowej części Katowic. Pięknie tam, zielono i cicho, ale student po zajęciach zamiast zostać w centrum, wracał do akademika i tam spędzał resztę czasu. Ważne dla mnie jest, by studenci znów byli obecni w centrum. Stąd też pomysł rewitalizacji kwartału w obrębie ulic: Pawła – Wodna – Górnicza. Już buduje się nowy Wydział Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego. Miasto pozyskuje działki, by zrealizować plany związane z powstaniem kampusu i nauką. Część gruntów będzie przeznaczona dla Wydziału Biologii i Bioróżnorodno-



ści. I jeśli Uniwersytet Śląski pozyska środki na realizację tego przedsięwzięcia, miasto oczywiście pomoże w jego budowie. Jednak znacząca część kwartału będzie przeznaczona na akademiki czy mieszkania dla młodych naukowców.

– **Katowice mogą się też pochwalić kilkoma wspaniałymi obiektami akademickimi, a najnowszy wśród nich to budynek Akademii Sztuk Pięknych przy ulicy Raciborskiej.**

– Tak, znakomity obiekt, spełniający wszystkie potrzeby akademickiego środowiska artystycznego. Ale, zostając przy uczelniach państwowych, mamy prawie w całości odnowioną Akademię Wychowania Fizycznego, odnawiane są obiekty Uniwersytetu Śląskiego. Mamy jeszcze inne nowoczesne, powstałe w ciągu kilku ostatnich lat budynki, w tym wiele razy nagradzana za architekturę Biblioteka Akademicka i Centrum Informacji Naukowej – wspólne przedsięwzięcie uniwersytetów Śląskiego i Ekonomicznego, nowy budynek Centrum Nowoczesnych Technologii Informatycznych Uniwersytetu Ekonomicznego. Odnowiony jest budynek Wydziału Transportu i Inżynierii Materiałowej i Metalurgii Politechniki Śląskiej. Nie można zapominać o odrestaurowanym i rozbudowanym gmachu Akademii Muzycznej.

– **Henryk Waniek w sierpniowym wydaniu „Śląska” (nr 8/2015) powiedział, że nic tak się nie starzeje, jak moda. I że Katowice są mu jedynym znanym miastem, w którym zabytków nie przybywa, ale ubywa. Nie odno-**

si tych słów do sytuacji obecnej miasta, ale do historii dziejącej się na przestrzeni 150 lat miasta, kiedy to narodziny miasta związane są z niemiecką ekspansją przemysłową, potem czas drugiej wojny światowej, wielonarodowość ludzi tu mieszkających, potem czas Stalino-grodu, zacierania niewygodnej przeszłości miasta, wyburzania części zabudowy rynku i wprowadzanie w to miejsce nowoczesnych domów handlowych, z kolei po ’89 roku – usuwanie tego, co kojarzyło się z czasami PRL-u. Pewnie miał też na myśli wyburzenie dawnego Pałacu Ślubów czy ingerencję w bryłę dworca kolejowego i powstanie – wzorem innych miast – galerii handlowej na styku dworzec – miasto. Jak powiada Henryk Waniek, nie wiadomo, czy starano się budować nową tożsamość miasta, czy tylko zacierać ślady przeszłości. Jak to jest dzisiaj?

– Wiem, że wyburzono sporo pięknych kamienic, ba, zniknęły całe ulice. Dzisiaj nie burzymy zabytków, ale skoro chcemy mówić o przyjaznym mieście, to nie może to być miasto ... przeciągów, a zabudowanych, zwartych pierzei, które tworzą miasto. Staram się słuchać architektów, a oni mówią, że przyjazne miasto ma wystawy, okna i drzwi otwarte dla przechodniów, dużo światła, życia po prostu. Taka np. Superjednostka – piękna architektonicznie, niezwykła, ale czy jest przyjazna, kiedy znajdziemy się obok niej?

Bardzo bym chciał, żeby każdy, kto tu mieszka, mógł powiedzieć, że Kato-

wice są jego miastem. Wiem, że wiele jest do zrobienia, wiele może denerwować, ale szukajmy dobrych rozwiązań, mówmy, że mieszkamy w kapitalnym mieście. Jeśli my będziemy tak mówić, inni też zaczną. Samo narzekanie niczego nie zmienia.

Miasto, mówiąc w przenośni, jest tą długą, przytulną ławką, na której można siedzieć blisko siebie, rozmawiać z przyjaciółmi, nawet pracować, zaparkować się w miasto... I lubię na niej siedzieć, mieć tu swoje miejsce.

– **Może to trochę jest tak, że narzekamy, ale nie fatygujemy się, żeby coś zobaczyć, pójść na koncert, zajrzeć tu czy tam. To trochę jest tak, jak z tą przysłowiową już „pustynią kulturalną”. Wielu o niej mówi, tylko gdzie ona jest...?**

– Docierają do mnie takie sygnały od osób, które tu przyjeżdżają, chociażby na Tauron Nowa Muzyka czy Off Festival. Pytają: o co wam chodzi? Tu jest pięknie, ciekawie. I tyle fajnych rzeczy się dzieje. I jest zupełnie inaczej niż przed laty. Kto ma dobrze mówić o swoim mieście, jeśli nie jego mieszkańcy – przy całym zrozumieniu jego problemów, których nie brakuje. Katowice zawsze były miastem sztuki i kultury. Co tu odradzać, trzeba pokazywać to, co mamy, co się tu dzieje, ludzi, którzy tworzą Katowice. Więcej wysiłku trzeba włożyć nie tylko w promocję, ale przede wszystkim w uczestniczenie w życiu miasta.

Wiele z tych wydarzeń żyje własnym życiem, nie musimy wszystkiego liczyć i analizować. Każde wydarzenie ma swoje miejsce, swoją publiczność. Jest wybór. Też nie chodzi o to, by ciągle budować nowe obiekty, ale by te istniejące prezentowały dobrej albo najwyższej jakości przedsięwzięcia. Dobry spektakl nie kończy się na premierze pełnej zaproszonych gości, musi też później przyciągać widzów. I tak musi być we wszystkich instytucjach kultury. Nie wszystkie wydarzenia muszą być wielkie, . Te kameralne, niszowe też mają swoich odbiorców. Tak powinno być.

– **Pan, jako katowiczanie, ma ulubione miejsca w mieście?**

– Takich miejsc jest wiele – przecież nie tylko w centrum są knajpki i inne miłe, klimatyczne miejsca. Nie wszyscy muszą o nich wiedzieć – na tym też polega ich urok. W każdej dzielnicy coś znajdziemy. Jeśli mi tylko czas pozwala, to najchętniej wsiadam na rower i jadę do lasu. Tras jest sporo – można objechać pół Śląska, a po drodze przystanąć, coś zwiedzić, gdzieś zjeść. Prawda codzienna jest jednak taka, że pod długim dniem pracy, staram się każdą wolną chwilę poświęcić rodzinie i wspólnie spędzać czas – także w naszych ulubionych miejscach, których nie zdradzę (śmiech).



Fot. Z Arkadiusz Lawryntowicz



Katowice

ANDRZEJ
GRZYBOWSKI

Miasto to żywy organizm zmieniający się z biegiem lat. Są miasta, w których zmiany przebiegają stopniowo, prawie niezauważalnie, są też inne, gdzie zmiany postępują szybko, a przemiany krajobrazu zauważyć można w okresie kilku lat. Katowice należą do tej kategorii szybko zmieniających się. Taka jest też historia miasta rozrastającego się dynamicznie – od małej wioski w początkach XIX wieku, przez szybko rozwijające się centrum przemysłowego regionu, do stolicy regionu przemysłowego w XXI wieku.

– zmieniający się krajobraz miasta

Najważniejsze etapy rozwoju miasta

Katowice uzyskały prawa miejskie dopiero w 1865 roku. W 150-letniej historii miały kilka okresów przyspieszonego rozwoju. Każdy z nich zostawił ślady zaznaczone w przestrzeni miasta. Pierwszy z nich to czas powstawania nowej tkanki urbanistycznej. Związany

z nazwiskami Franza Wincklera – właściciela terenów, na których powstanie miasto oraz Friedricha Grundmanna i Richarda Holzego – pierwszych wódcarzy i projektantów miasta, W wiejskim krajobrazie wyznaczone są główne ulice i place noszące obecnie nazwy: Warszawska, 3 maja, Dworcowa, Mariacka, Rynek, Plac Wolności. Powstają neostylowe kamienice o bogatych elewacjach naśladujących historyczne porządki ar-



Katowice, lata 30. XX w.

chitektoniczne. Równoległe do linii kolejowej i w sąsiedztwie dworca powstaje nowe miasto. Rozwija się ono wykorzystując położenie na skrzyżowaniu najważniejszych linii kolejowych – kolei warszawsko-wiedeńskiej i kolei łączącej Berlin, Wrocław z Krakowem i Lwowem. Jak zauważył przed laty wybitny urbanista i architekt krajobrazu,

niezujący już prof. Janusz Bogdanowski, ta najstarsza część miasta może być nazywana „katowicką starówką”.

Drugi okres przyspieszonego rozwoju nastąpił w latach 1922 – 1939. Katowice po powstaniach i plebiscycie znalazły się w granicach odrodzonej Rzeczypospolitej. Najważniejsze przedsięwzięcie tego czasu to budowa nowej

dzielnicy na południe od linii kolejowej z gmachami administracji regionalnej i modernistycznej zabudowy mieszkaniowej dla urzędników województwa śląskiego. To czas ówczesnego wojewody śląskiego Michała Grażyńskiego i zasługa polityki inwestycyjnej na Górnym Śląsku wspieranej przez specjalny fundusz nazywany Skarbem Śląskim. W tym krótkim, kilkunastoletnim okresie powstały dzieła architektury tworzące dziś najlepiej zachowany w Polsce zbiór awangardowej architektury międzywojennego modernizmu. Powstały dzieła wybitne takie jak: największy wówczas w Polsce gmach użyteczności publicznej – budynek Urzędu Wojewódzkiego i Sejmu Śląskiego przy ul. Jagiellońskiej (architekci: K. Wyczyński, L. Wojtyczko, S. Żeleński, P. Jurkiewicz), Urząd Skarbowy przy ul. Żwirki i Wigury (architekci: T. Kozłowski, S. Bryła) – najwyższy wówczas w Polsce budynek o nowoczesnej konstrukcji stalowej, Dom Oświatowy przy ul. Francuskiej (obecnie Biblioteka Śląska, architekci: S. Tabeński i J. Rybicki), Śląskie Techniczne Zakłady Naukowe przy ul. Krasieńskiego (architekci: J. Dobrzyńska, Z. Łoboda), liczne banki i domy mieszkalne dla urzędników. Rozpoczęto także budowę katowickiej Archikatedry przy ul. Powstańców (architekci: F. Mączyński, Z. Gawlik). Ambitnej rozbudowie miasta sprzyjała polityczna i gospodarcza rywalizacja Polski i Niemiec po obu stronach granicy podzielonego Górnego Śląska. Słusznie Katowice zyskały wówczas sławę nowoczesnego miasta porównywanego dynamiką rozwoju i nowoczesnością do miast Ameryki Północnej. Kolejny wybitny obiekt, w sąsiedztwie Urzędu Wojewódzkiego, projektowany przez Karola Schayera budynek Muzeum Śląskiego nie został ukończony przed wybuchem wojny w 1939 roku. Ten spełniający najnowsze wymagania ówczesnych muzealników budynek, decyzją okupacyjnych władz niemieckich wyburzono pod koniec wojny.

Trzeci okres rozwoju Katowic przypada na lata 60. i 70. XX. wieku. Związany jest z działalnością wojewody Jerzego Ziętka. Powstało wówczas nowe centrum miasta na osi ówczesnej alei Armii Czerwonej (obecnie alei Wojciecha Korfańskiego). Było ono wówczas jedynym o tej skali i charakterze zespołem urbanistycznym w Polsce. Pamiątkami tych czasów są znana i rozpoznawalna jako symbol miasta hala widowiskowo-sportowa Spodek, superjednostka mieszkalna Mrówkowiec i pomnik Powstań Śląskich przy Rondzie. Przy Rynku powstały dwa nowoczesne jak na te czasy domy towarowe Zenit i Skarbek. Rozwijała się północna dzielnica – Koszutka. Powstały nowe dzielnice mieszkaniowe osiedle Tysiąclecia, osiedle Paderewskiego i dzielnice akademickie Uniwersytetu Śląskiego i Śląskiej Akademii Medycznej. Wiele z nich zasługuje na ochronę jako wartościowe dzieła powojennego modernizmu. Niektóre obiekty, jak wieżowiec DOKP przy Rondzie, ze względu

na zużycie techniczne są dziś wyburzane. Nie istnieją już: dworzec PKP, budynki pałacu ślubów i domu handlowego tworzące część założenia urbanistycznego centrum z lat 70. Szkoda, że jako „złe urodzone” w czasach realnego socjalizmu nie miały skutecznych obrońców.

Czwarty okres rozwoju miasta to lata po roku 1990. Przemiana miasta rozpoczęła się od przebudowy układu komunikacyjnego, budowy Drogiowej Trasy Średnicowej tworzącej komunikacyjny szkielet miast i konurbacji, której Katowice są centralnym ośrodkiem. Równoległe do niej wybudowano autostradę A4. W pobliżu tras komunikacyjnych powstały wielkopowierzchniowe centra handlowe. Pierwszy hipermarket to Trzy Stawy przy autostradzie A-4 oraz największe wówczas nowe centrum handlowe Silesia City Center przy ul. Chorzowskiej. Wybudowano je na terenie zlikwidowanej kopalni Kleofas. Część budynków dawnej kopalni udało się adaptować. Wchodzą one w skład tego wielkiego centrum i są jego dobrze rozpoznawalną częścią nadającą mu indywidualny wyraz. Skutkiem budowy hipermarketów było zubożenie i zaniedbanie starego centrum miasta. Podobnie jak stało się to w innych miastach, wielkopowierzchniowe centra „wysały” klientów z „katowickiej starówki”. Dla wielu mieszkańców stały się nowymi, atrakcyjnymi przestrzeniami publicznymi zastępującymi stare centrum. Oprócz wymienionych powyżej wielkich zespołów handlowych, w planie miasta pojawiło się kilka nowych centrów administracyjnych i kulturalnych: – plac Rady Europy, Chorzowska 50, Strefa Kultury.

Na przebudowanym, dwupoziomowym Rondzie powstała galeria wystawowa – „Oko Miasta” o niecodziennej stalowo-szklanej konstrukcji. Niedaleko stanął najwyższy w regionie, ponad 140-metrowy wieżowiec Altus mieszczący funkcje handlowe, kulturalne i hotelowe. W pobliżu zbudowano imponujące centrum administracyjno-handlowe Cho-



Budynek NOSPR

rzowska 50 z widocznymi motywami architektury marynistycznej. Budynek przypominający wielki transatlantyk zaprojektowany został przez architektów z Pomorza. Na wschód od ul. Francuskiej, przy placu Rady Europy wyłoniło się nowe centrum z gmachem Biblioteki Śląskiej, bankami PKO i BRE. W pobliżu powstał monumentalny gmach Sądu Okręgowego, nowe budynki administracyjne z dużym ośrodkiem IBM.

Ostatni okres rozwoju przypada na lata prezydentury Piotra Ushoka. Największym wydarzeniem tych lat, zmieniającym nie tylko architektoniczny krajobraz miasta, ale także jego obraz mentalny, jest katowicka Strefa Kultury. Na terenie dawnej kopalni „Katowice”, na wschód od Spodka, powstały w wyniku międzynarodowych konkursów spektakularne obiekty: nowe Muzeum Śląskie, siedziba NOSPR – Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia. Wraz ze Spodkiem i nowym Międzynarodowym Centrum Wystawowo-Konferencyjnym tworzą one „oś kultury” – zespół budynków dla działalności kulturalnej, sportowej i konferencyjnej, nie mający analogii w żadnym z polskich miast. Każdy z tych obiektów jest wybitnym dziełem architektury współczesnej, a NOSPR dzięki wyjątkowej jakości akustycz-

nej wielkiej sali koncertowej na 1800 miejsc robi międzynarodową karierę. Ze względu na skalę obiektów i jakość przestrzennych rozwiązań, słusznie są obecnie dumą mieszkańców i władz miasta. Wokół tych obiektów powstała atrakcyjna przestrzeń publiczna – miejsce spacerów wielu mieszkańców miasta. Dzięki tym inwestycjom, wartości około miliarda złotych, Katowice stały się ważnym ośrodkiem festiwalu muzycznych o krajowym i europejskim znaczeniu. Poprawia się wizerunek miasta. Jest ono postrzegane już nie tylko jako centralny ośrodek górnictwa i ciężkiego przemysłu, ale także jako miejsce wielu wydarzeń kulturalnych, miasto wyższych uczelni i jak chcielibyśmy, miastem nowoczesnego przemysłu. Dobrym uzupełnieniem Strefy Kultury byłby nowy teatr o kilku scenach. Wybudowany przy Rynku w 1901 roku Teatr im. Stanisława Wyspiańskiego ma swój urok, jednak jego kameralne wnętrza nie przystają do skali miasta, jego aspiracji i współczesnych potrzeb. Na kolejną, wielką inwestycję na terenie dawnej kopalni pozostanie nam chyba jednak poczekać kilka lat.

Rynek i okolice

W czasie długiej prezydentury Piotra Ushoka, po wielu latach dyskusji i przeprowadzeniu kilku konkursów architektonicznych, przystąpiono do przebudowy Rynku – centralnej przestrzeni publicznej Katowic. Dawny Rynek, który od wielu lat funkcjonuje przede wszystkim jako tramwajowy węzeł komunikacyjny, jest w trakcie nowego zagospodarowania. Trudno o jednoznaczną ocenę tej przebudowy „salonu miasta” ponieważ prac jeszcze nie ukończono. Jakie będzie nowe zagospodarowanie tej części miasta, zobaczymy w całości za kilka miesięcy. Jednak już dzisiaj widać, że na nowym Rynku zrezygnowano z utworzenia centralnego placu miasta o charakterze reprezentacyjnym jako miejsca spotkań i masowych imprez. Projektanci nowego zagospodarowania Rynku zdecydowali się na umieszczenie w tym miejscu tak wielu elementów małej i większej archi-



Plac im. Wojciecha Kilara

tektury, jakby chcieli spełnić wszystkie życzenia, nawet te sprzeczne i wzajemnie nie pasujące do siebie.

Na dalsze decyzje i prace konserwatorsko – budowlane czeka sąsiednia ulica Dworcowa. W jej południowej pierzei uratowano i przywrócono świetność hotelu Monopol. Pozostała część, z zabytkowym dworcem w stylu wiedeńskiej secesji, jest obecnie zaniedbana i w niczym nie przypomina pocztówkowych widoków z początku XX wieku, kiedy to Katowice nazywane były „małym Paryżem”. Według przekazów w przedwojennej prasie, przyjeżdżało się tu z Krakowa a nawet z Warszawy na zakupy w eleganckich sklepach. Stary dworzec pilnie potrzebuje nowego właściciela. Obecny, prywatny właściciel nie jest w stanie zapewnić jego rewitalizacji. Może najlepiej byłoby gdyby został wykupiony przez władze miasta? Trzeba mieć nadzieję, że ten stojący w centrum miasta budynek będzie miał więcej szczęścia niż wyburzony przed kilku laty nowy dworzec z lat 60. XX wieku. Ten należący do PKP budynek, przez wielu uznawany był za wybitne dzieło powojennego modernizmu. Nie udało się go obronić mimo licznych protestów nie tylko mieszkańców Katowic, ale także apeli występujących w jego obronie ludzi kultury z wielu krajów. Na miejscu dworca powstała galeria handlowa zawierająca zrekonstruowany fragment poprzedniej budowli. Galeria Katowicka przyjmuje się stopniowo w historycznej tkance urbanistycznej miasta, ożywiając ją na nowo. Mieszkańcy doceniają jej eleganckie wnętrza i możliwość korzystania z kilku set miejsc parkingowych w podziemnych kondygnacjach. Na drugim końcu ul. Stawowej, na miejscu przedwojennego Supersamu o nowatorskiej wówczas konstrukcji ze spawanych ram stalowych, powstaje nowa galeria handlowa o tej samej nazwie. Galeria ta, jak i wspomniana poprzednio Galeria Katowicka wydają się tryumfem instalacji wentylacyjno-klimatyzacyjnych umieszczonych na ich dachach. Płataniny rur i agregatów widoczne są z różnych kierunków i skutecznie zaciemniają architektoniczną myśl projektantów elewacji tych obiektów. Z ul. Mikołowskiej widoczny jest szczególnie dotkliwie dysonans pomiędzy techniką wentylacyjną na dachu nowej ga-

lerii a fasadami historyzujących kamienic śródmieścia.

Nowoczesność w historycznym krajobrazie przemysłowego regionu

Największe zmiany w krajobrazie Katowic i innych miast konurbacji spowodowane są budową nowych tras komunikacyjnych. Wykształcone w poprzednich dekadach struktury urbanistyczne przecięte zostały nowymi arteriami niezbędnymi dla funkcjonowania miasta i całego regionu. Ich przebieg w gęsto zabudowanej strukturze urbanistycznej zasadniczo zmienił obraz śląskich miast. Tworzą one obecnie jego nowy, współczesny obraz. Przebudowa miasta i całego Regionu jest niezbędna i pożądana przez mieszkańców. Zmiany struktury gospodarczej, z górnictwa – przemysłowego na region nauki i nowoczesnych technologii powodują, że zamykane są stare, często zabytkowe zakłady pracy. Wraz z nimi zamierają tradycyjne osiedla robotnicze. Wieże wyciągowe kopalń, kominy fabryk, wielkie piece wraz z familokami z czerwonej cegły tworzą specyficzny, rozpoznawalny krajobraz przemysłowy „czarnego” Górnego Śląska. Także w Katowicach widać zanikanie tego tradycyjnego krajobrazu. Część z nich udaje się uratować znajdując nowych użytkowników lub wmontowując je w nowe inwestycje jak w nowym Muzeum Śląskim czy centrum handlowym Silesia. Jednak niektóre zakłady przemysłowe i stare domy znikają z dnia na dzień. Przykładami mogą być nieistniejąca już, zapomniana Kolonia Amanda w południowo-wschodniej części miasta, fabryka Concordia przy ul. Sokolskiej, osiedle robotnicze huty Ferrum przy ul. Marcinkowskiego. Przed kilku laty zniknęła zabytkowa hala pieców destylacyjnych dawnej huty Silesia na Welnowcu. Stare robotnicze dzielnice, tworzące swoisty obraz „czarnego Śląska”, stopniowo zamierają. W ich miejsce powstają nowe osiedla, centra handlowe, czasem nowe zakłady produkcyjne o uniwersalnej, zuniformizowanej architekturze. Tradycyjna, charakterystyczna architektura regionu zastępowana jest najczęściej architekturą będącą wyrazem nowoczesności, lecz powielającą światowe wzory. Na tym tle warto zauważyć nowe katowickie realizacje

nawiązujące do tradycyjnej, regionalnej architektury. Należy do nich nowa sala koncertowa katowickiej Akademii Muzycznej „Symfonia” o elewacjach z czerwonego klinieru. Inspirację „familokowymi” osiedlami robotniczymi można zauważyć także w budynku NOSPR-u, czy zespole mieszkaniowym w Katowicach – Bytkowie. Intensywna w ostatnich latach przebudowa infrastruktury drogowej, nowe inwestycje przemysłowe zmieniają charakter regionu. Pod wpływem cywilizacyjnych przemian krajobraz kulturowy Górnego Śląska zmienia się. Chodzi o to, aby w pogoni za nowoczesnością, dokonując niezbędnej przebudowy, zachować najważniejsze elementy jego górniczej i wielkoprzemysłowej przeszłości. Najcenniejsze budowle i fragmenty dawnej tkanki urbanistycznej stanowią ważną część regionalnej tożsamości. Szczególnie ważne są te, które są swoiste, wyróżniające nas spośród innych. Należą do nich zespoły architektury poprzemysłowej i powiązane z nimi osiedla robotnicze. Jeśli to tylko możliwe, należy wkomponować je w nowe inwestycje. Warto także pamiętać, że Katowice, jak cały region, powstawały na styku różnych kultur i konfesji. Biorąc pod uwagę, że ślady ważnych na tym terenie kultur niemieckiej i żydowskiej zacieśnia czas, warto uszanować w krajobrazie miasta, (od prawie stu lat będącego w granicach Polski), to co jeszcze pozostało po tych nieistniejących już społecznościach.

Specyfiką krajobrazu Katowic, a także innych miast konurbacji katowickiej, jest przenikanie się wartościowej architektury z różnych epok. Współistnieją one obok siebie, prowadzą „dialog” stylów i minionych mód architektonicznych. Nawet te „złe urodzone” w czasach realnego socjalizmu zasługują na ochronę jako wartościowe dzieła swojego czasu – powojennego modernizmu. Najnowsze obiekty, wspólnie z budynkami z poprzednich epok tworzą zróżnicowany, wielostylowy zbiór architektury – cenne continuum w przestrzeni kulturowej regionu. Należy zauważyć, że powstające w Katowicach dawne budynki i zespoły urbanistyczne zawsze reprezentowały aktualne w danym czasie trendy artystyczne, nowe możliwości techniczne i materiałowe. Zgodne były z najnowszymi prądami architektury. Tak jest i dzisiaj. Jeżeli prawdą jest, że krajobraz miasta jest dobrym wskaźnikiem jego społecznej i gospodarczej sytuacji, to obecny obraz miasta świadczy o jego dobrym stanie. Jest także zapowiedzią pomyślnego przyszłości całego regionu. Widoczne w Katowicach zmiany są częścią procesu urbanistycznej odnowy miast. Jest on niezbędny dla poprawy jakości życia mieszkańców i tworzenia dobrego wizerunku Górnego Śląska.



Galeria Katowicka

Andrzej Grzybowski, dr Inż. arch., profesor w Wyższej Szkole Technicznej w Katowicach, architekt i urbanista. Zajmuje się projektowaniem mieszkalnictwa, przestrzeni publicznych i pomników, także studiami regionalnymi i dziedzictwem kulturowym Górnego Śląska. Obecnie jest rektorem WST w Katowicach.



Barbara i Wojciech Kilarowic



Takie piękne życie

BARBARA GRUSZKA-ZYCH

Koty z ulicy Kościuszki

Wojciech Kilar zwykł mówić, że to nie koty mieszkają z nim, ale on ma swój kątek przy kotach. Te tajemnicze zwierzątka, uznawane w starożytności za bogów, zostały udomowione ponad 9500 lat temu. Jednak do dziś w nieprzewidzianym rozchyleniu pyszczka z brzytwą ząbków, w nagłym krzyku przypominającym wycie hieny, pokazują na co było stać ich przodków. Pierwszym dowodem na oswojenie tego zwierzęcia był grób mężczyzny z kotem odkryty na Cyprze około 7500 r. p.n.e. Pan Wojciech też oswajał bezpańskie, przychodzące do niego z okolicy, by nasycić głód. Ale przecież nie dbał tylko o napełnianie ich brzusków. Musiała go fascynować ich skrywana dzikość, niezemska moc ostrych pazurków ukrytych pod niewinnym futerkiem.

Kiedyś w przyływie dobrego humoru kompozytor poprawdził mnie na oszkloną werandę swojego domu przy ul. Kościuszki 165 w Katowicach i pokazał ukryte kocie królestwo. Oczy mu się śmiały od momentu kiedy wstał z fotela i zdecydował, że przejdziemy w inne miejsce domu. Przed wyjściem do ogrodu na podłodze leżały kartony z bateriami whiskasów i kocich jogurtów przygotowanych na kolejny tydzień. Stałam się świadkiem rytuału karmienia – najpierw popatrzył na nie przez okno, a dopiero potem uchylił drzwi, żeby wypuścić do środka. Weszły jak do siebie, po drodze delikatnie ocierając się na przywitanie o jego nogi i oddały się pospiesznemu jedzeniu. Widać było ich wąsy poruszające się jak druty w rękach dzierżącej sweter. Mo-

gły tych swetrów zrobić kilka, a kompozytor jakby chcąc je do tego zachęcić, z radością uzupełniał pustoszące miseczki.

– Widzi pani, jak mnie zobaczą, od razu chce im się jeść – patrzył z uśmiechem na gromadkę. Objął, kto ze stadka mieszka w ogrodzie już jakiś czas, a kto korzysta z jego kuchni gościnnie. Z ożywieniem opowiadał o nieżyjącej już kotce kochającej swoich państwa czyli jego i żonę miłością bezinteresowną i pełną ekspresji. Kiedy siedząc na dachu widziała, że wracają z kościoła, ekspresowo, czepiając się ściany jak wirtuoz klawiszy pianina, zbiegała na dół, żeby powitać ich przed drzwiami. Jej fotkę miał ustawioną na biurku w pracowni i widać było, że kiedy zatrzymuje na niej spojrzenie momentalnie rozpromienia mu się twarz. Koty były stałymi domownikami Kilarów. Pieściły ich dłonie, spodziewając się odwzajemnionej czułości, łąsiły się do nóg z niezemskim oddaniem. Ale też zmienacka z południowego bieguna ciepłych uczuć potrafiły się przenieść na biegun polamy. Dyskretnie znikaly nie tylko w tunelach nocy, ale i dni, zostawiając puście miski i listy z klaczków sierści nie do odczytania na dywanie. W te dni nieobecności tylko pan Wojciech musiał widzieć zagadkowy uśmiech któregoś z nich, rozświetlający na chwilę oczekiwanie na powrót. Dawno czytał *Alicję w Krainie Czarów* Lewisa Carrolla, ale zapamiętał sobie niezwykle Kota z Cheshire i jego niezwykle sztuczki, sprawiające, że nie dało się o nim zapomnieć.

– Dla niego największą frajdą było wyjście do oranżerii i szkowanie jedzenia kotom – opowiada Wojciech Krajewski. – I ten moment kiedy kicia mu się otarła o nogi. „Koty wiedzą, że kiedyś w Egipcie były bogami, nie zapomniały tego” – powtarzał z uśmiechem.

Szanował i chronił koty, ale i inne zwierzęta, dlatego protestował kiedy ktoś wyrażał się o nich z lekceważeniem:

– Ludzie potrafią mówić „Ach to tylko kotki, pieski, żabki” i odpuszczają sobie troskę o nie. A to przecież nasi bracia mniejsi.

Przypominał, że w buddyzmie oddawano szacunek kotom. – Mam przed oczyma taki obraz z opowieści o Mahomecie, jak to jego kot Muezza zasnął na rękawie jego szaty, a on, żeby go nie budzić, obciął jej rękaw – pan Wojciech też z pewnością dałby sobie odciąć kawałek koszuli, żeby nie obudzić śpiącego na niej kota. Nie lubił kiedy ktoś mówił przy nim, że pies czy kot zdechl.

– On zmarł – poprawiał interlokutora. – Przecież to są nasi bracia mniejsi.

– Kiedy jadąc mijaliśmy rozjechanego na jezdni kota czy ptaka, on to przeżywał – wspomina Wojciech Krajewski. – Uważał, że stała się tragedia. Trudno sobie wyobrazić, że wcześniej jeździł oglądając corridę i patrzył jak byki umierają na oczach tłumu.

– Wstydził się przyznać do tamtych upodobań – powiedział mi. – Dziś widzę, że tak samo potrzebowały pomocy jak moje koty.

– Pamiętam, jaką tragedię przeżywali niedługo potem jak się poznaliśmy. Wtedy odchodziła pierwsza ich kicia. Nie było mowy o uspieniu, z oddaniem opiekowali się nią do końca.

Co go pociągało go tak w kotach? Może miłość i oddanie, które ofiarowały właścicielom bez dopominania się o wzajemność? Ale też jakieś pokrewieństwo natury, bo przecież skądś się wzięły powiedzenia, że ktoś swoim charakterem czy wyglądem przypomina dane zwierzę.

– Miał naturę kota – uważa Krzysztof Zanussi. – Troszkę narcystyczny, skromny, wycofany, zmienacka odkrywający cały swój urok. To był świadomy krytyk kociej natury, który jednocześnie naprawdę kochał koty.

– Zaczynał żyć nocą jak jego podopieczni – opowiada Elżbieta Grocholska-Zanussi, żona reżysera. Wie, co mówi, bo sama ma osiem przygarniętych z ulicy labradorów i dwa koty. – Mrok, cisza i samotność były mu potrzebne, żeby komponować.

– Najlepsze pomysły przychodzą mi do głowy koło północy – opowiadał pan Wojciech. – Większość ludzi śpi, a ja mam wtedy stu procentowy spokój i pracuję. Żona na czas jego intensywnej pracy wyprowadzała się do rodziny mieszkającej przy ul. Reymonta w Katowicach, a on zostawał sam i wędrował w rejony, które nie mogły się przyśnić śmiertelnikom. Dopiero później wszystko się wyjaśniało na zapisanych czarno na białym kartach partytur.

Koty przez lata były obecne w domu Kilarów realnie, ale też zostały utrwalone na obrazach i na wyszywanych poduszkach z ich wizerunkami, którymi zarzucone były kanapy. Kiedy zapytałam jak wyobraża sobie niebo odpowiedział, że wydaje mu się miejscem spotkania, także z kotami:

– Cieszę się, że zobaczę się tam z naszymi kotami. Z czarnym, namalowanym przez Jerzego Dudę-Gracza, „Bambikiem” – ukochanym diabłem w kociej skórze. I drugą kotką, która była z nami 10 lat – prawdziwym aniołem. Nazywaliśmy ją z żoną „Pupcią”, albo „Hildą”, bo kojarzyła nam się z zążywną śląską gospodynią, która lubi opierać się na parapiecie okiennym i patrzeć na ulicę. Czarnego kota dostali od kogoś z rodziny. Nosił imię Bambuk, wzięte od nazwiska afrykańskiego biegacza, bo był tak jak on zwinny i sprężysty. Ale, żeby nie obrażać niczych uczuć Kilarowie zmienili je na „Bambik”. Pan Wojciech śmiał się, że najzabawniejsze imię nosi kot Marka Kobieli – „Reksio”.

Dom

Do domu przy ul. Kościuszki w Brynowie – dzielnicy Katowic, Kilarowie przeprowadzili się z ul. Skłodowskiej-Curie. To było dla nich wyzwolenie. Kompozytor mógł wreszcie swobodnie grać na pianinie, kiedy tylko chciał. W poprzednim miejscu nie pozwalał mu na to chory sąsiad. Niewielu wie, że w tym samym czasie w odległości kilku ulic w Katowicach pracowali dwaj genialni twórcy. Niekiedy w pobliżu domu pan Wojciech spotykał Henryka Mikołaja Góreckiego, który przyjeżdżał na tzw. „ptasie osiedle”, (nazwy ulic wzięto z ornitologii) z dzielnicy Koszutka, gdzie mieszkał z rodziną. Miał tu dom przeznaczony wyłącznie do komponowania. Jak opowiadała mi Jadwiga Górecka – żona twórcy „III Symfonii Żalostnej”, zwykle zamieniali kilka słów i rozchodzili się do swoich zajęć. Pan Wojciech był dumny ze swoich kolegów muzyków i cieszył się, że żyje w znanym na świecie „zagłębiu muzycznym”. Na to określenie Katowice zasłużyły sobie tradycją wybitnych orkiestr, charyzmatycznymi profesorami Akademii Muzycznej i utalentowanymi muzykami i kompozytorami, opuszczającymi mury uczelni.

Wojciech Kilar starał się zwrócić uwagę zagranicy na Katowice jako miasto, które sprzyja komponowaniu. Przetrwiała anegdota, że kiedy pojechał do Hollywood, zaproszony by napisać muzykę do „Draculi” Coppoli, i spytano go, co trzeba robić, żeby tworzyć tak świetne utwory, odpowiedział, że wystarczy mieszkać w Katowicach.

– Coś w tym jest, że czerpię satysfakcję kiedy oni muszą przyjechać do miasta, o którym nigdy nie słyszeli – uśmiechał się opowiadając jak zaprasza do swojego domu Romana Polańskiego i innych wielkich, którzy prosili go o kompozycje do filmów.

Przyznawał się do Katowic w różnych miejscach świata, a katowiczanie doceniali jego miłość i przywiązanie. Nie przez przypadek on – przybysz z Kresów – został uhonorowany przez abpa Damiana Zimonia tytułem „Lux ex Silesia” czyli „Światło ze Śląska”. Kilkakrotnie otrzymał nagrodę Województwa Katowickiego i prezydenta miasta Katowic, i inne, ściśle związane z tą ziemią laury – im. Wojciecha Korfańtego, im. Juliusza Ligonia, „Śląskiego Oskara”, „Amicus Silesiae”. Wybrano go „Ślązakiem roku”, otrzymał honorowe obywatelstwo Katowic i Wodzisławia Śląskiego, a także tytuły doktora honoris causa Uniwersytetu Śląskiego i Opolskiego.

Podkreślał, że Katowice to wyjątkowa szansa, którą otrzymał od Boga:

– Te Katowice bardzo mi posłużyły, bo gdzie indziej mógłbym utonąć w życiu cyganerii krakowskiej czy warszawskiej. Kiedy w Warszawie idzie się do kawiarni hotelu „Europejskiego”, „Bristolu”, albo „Victorii” to wiadomo, że się spotka kogoś ze środowiska. W Katowicach nie istniało rozwinięte życie cyganerii, dlatego szczęśliwie nie wciągnęła mnie żadna kawiarnia artystyczna. W gruncie rzeczy Katowice były moim przeznaczeniem. Nauczyłem się tu powagi wobec życia, odpowiedzialności. Pochoďte z kresów wschodnich i żartuję, że przeniosłem się z jednych kresów na drugie. Na Wschodzie zderzenie kultur, przenikanie katolicyzmu i prawosławia dało wspaniałe rezultaty w twórczości Iwazkiewicza czy Szymanowskiego. W Katowicach, gdzie

widać wpływy niemieckie, symbiozę katolicyzmu z protestantyzmem, też dobrze się tworzy. Właśnie w tym mieście ja, taki trochę rozwichrzony lwowiak, nieco się ustakowałem. A przede wszystkim tutaj – ja, lwowiak, poznałem moją żonę, warszawiankę. Poza tym Śląsk leży bliżej Europy. Nie salonów paryskich, ale Europy porządnej pracy, odpowiedzialności.

Przyszedł na świat nie tu, ale we Lwowie – 17 lipca 1932 w domu przy ul. Kardynała Sapiehy 89.

– Czy pani rozumie czym jest dla mnie dom? – spytał mnie kiedyś. Przyznał przedtem, że nie ma ochoty bywać na salonach, wyjeżdżać na spotkania z wielbicielami, ale woli siedzieć u siebie. W dzieciństwie bardzo krótko mógł się cieszyć domem rodzinnym. Jako 12-latek opuścił Lwów razem z matką jak inni uciekający z kresów Polacy.

Stare sito

– **O**d czasu śmierci żony najchętniej siedzę w domu – powiedział mi. – Tu wszystko jest takie jak za jej życia, tu jest wręcz dotykalna. Podpowiada mi nawet poprzez znaki. Nie jakieś mistyczne, ale takie dorady „z góry”, co mam na przykład w danej chwili zrobić. Wielu ma podobne doświadczenia ze swoimi zmarłym. Wiem, że pracy twórczej oczekuje ode mnie również teraz, często z nią rozmawiam, odwiedzam jej grób – zwyczajnie wierzę w świętych obcowanie.

Za najcenniejszy przedmiot w domu uważał stare sito:

– Takie lekko wygięte, z pękniętego plastiku, ale najbardziej pamięta ręce mojej żony – nie przyniósł go wtedy z kuchni, ale gdy je opisywał, mogłam sobie wyobrazić jak „jego” Basia odcedza przez nie ulubione pierogi czy kluski. Pewnie nadawało się do wyrzucenia na śmietnik, ale zachował je, bo pamiętało jej czułe dotknięcia.

Po jej śmierci miał moment, kiedy poważnie myślał o kupnie domu blisko cmentarza przy ul. Sienkiewicza w Katowicach, gdzie leżała. Kazała się skremować, ale męża namawiała, żeby zostawił swoje ciało w ziemi.

– Tacy jak ty, nie powinni dać się spalić – powiedziała mu kiedyś przy Wojciechu Krajewskim. – Społeczeństwo po śmierci będzie potrzebowało realnych znaków obecności, nie wystarczy mu proch.

Troszczył się o jej coraz bardziej schorwane ciało bardziej niż o swoje. Przez kilka ostatnich lat przed jej śmiercią prawie jej nie odstępował. Z pięknej, postawnej kobiety, otwartej na ludzi, związanej z rodziną, wyczulonej na jej potrzeby, zamieniła się w skurczoną staruszkę, coraz bardziej umęczoną przez choroby, które atakowały ją ze wszystkich stron.

* * *

Przez ostatnie, cudowne darowane im pół roku jeszcze byli razem, ale widział jak wymyka mu się z rąk. Może dlatego jakiś czas potem tak chętnie napisał kilka zdań na okładkę swojego tomiku „Szara jak wróbel” poświęconego mojemu zmarłemu ojcu Witowi? Opowiadał mi jak z pełnego sił mężczyzny zmienił się w niemowlę czekające na znak, by urodzić się do innego świata. Może w tych liniijkach odnalazł tamte miesiące przed jej odejściem, którego nie dało się powstrzymać?

Barbarę Kilar zabiło drugie z rzędu zapalenie płuc, którego nie wytrzymał wąty organizm. Zmarła 27 listopada 2007 na oddziale intensywnej terapii szpitala klinicznego w Katowicach-Ochojcu. Na zdjęciu wiszącym w ich domu w pokoju na parterze można było zobaczyć jak roześmiana i szczęśliwa siedzi obok męża w kwicistej sukience. Jakby tym strojem podkreślała, że była kwiatem jego życia. Nie zwracając uwagi, że jest coraz poważniej chora, tak jakby była zdrowa kupował jej eleganckie bluzeczki i kwiaty, żeby nadal czuła się piękna.

* * *

Kiedy ich poznałam, miał sześćdziesiąt lat, ona cztery lata mniej. Pod koniec spotkania w ich domu poprosiłam o wspólne zdjęcie z kompozytorem. Zgodził się na jedno, na którym stojmy obok siebie, ale do kolejnego zaprosił żonę. Nie chciał być

na nim sam, przywołał ją z innego pokoju ubraną w błękitną sukienkę, żeby została utrwalona razem z nami. Kiedy dziś oglądam tamtą fotę wydaje się, że wyraża jego stosunek do ukochanej. Pan Wojciech stoi w pewnej odległości ode mnie, za to lekko przytulony do żony i delikatnie trzyma jej dłoń, jakby wyszli na pierwszy wspólny spacer. Widać, że wie jakie cenne jest świętowanie miłości każdym gestem. To, że lubili trzymać się za ręce widać też na innych fotografiach. Ani przez moment nie chcieli zapominać, że ich uczucie stale musi być młode.

Właściwie to ona wiodła go przez zakręty życia, wyprowadzając na prostą.

Pan Wojciech opowiadając mi o filmach, które go poraziły wyłącznie obrazem wymienił na pierwszym miejscu „Lawrence’a z Arabii” Davida Leana:

– Jest tam niesamowity fragment, kiedy kamera na długo zatrzymuje się na widoku pustyni, a dopiero potem, gdzieś na horyzoncie, pojawia się mały punkcik postaci, która zbliża się, rośnie.

Stwierdziłam, że ta postać, która z każdym dniem staje się bliższa jest metaforą jego żony, a on potwierdził:

– Doceniałem ją za życia, ale jeszcze bardziej z dzisiejszej perspektywy.

To był piorun

Poznali się w 1954 w Katowicach. Basia, urodzona w Warszawie, mieszkała w stolicy Górnego Śląska z mamą, dziadkami i jedną z sióstr. Ojca straciła w Oświęcimiu jeszcze kiedy była małą dziewczynką.

– Kiedy się spotkaliśmy, miałem 22 lata, byłem już na roku dyplomowym Akademii Muzycznej a ona miała 18 lat, była w klasie maturalnej – opowiadał. – To był natychmiastowy piorun, który trafił Michaela Corleone w *Ojcu chrzestnym* Coppolli, kiedy mignęła mi gdzieś na schodach dzisiejszej Akademii Muzycznej w Katowicach. (*Wtedy na parterze budynku mieściło się Liceum Muzyczne, a na piętrze – Akademia – przyp. autorki*). Przydarzyło mi się to nie jak jemu wśród spalonych upałem sycylijskich pól, tylko na zakręcie szkolnych schodów. Tak sobie czasem myślę, że te kilka sekund lub minut nadało bieg mojemu życiu, które mogłoby potoczyć się w zupełnie innym kierunku, gdybym

poznał osobę o innych poglądach na świat. Gdybym wtedy tam nie przechodził, to może Basia nigdy by mi nie wpadła w oko. Już wtedy poczułem, że jesteśmy stworzeni dla siebie – jak się to banalnie mówi. Potem, ale – to są sprawy bardzo osobiste – jeszcze przez jakiś czas nie byliśmy razem. Zdarzały nam się chwile trudne przed naszym późnym ślubem, bo byłem już w wieku Chrystusowym. Nasz związek, perspektywa, że będziemy razem, nie była pewna. Sporo się wtedy wycierpiałem. Ale jestem Bogu za te ciężkie momenty wdzięczny, bo dzięki nim potem układało nam się tylko lepiej. Może dzięki temu potem nasza miłość była jak skała. W młodości miałem okres zabawowy – w Paryżu i po powrocie z niego. Ale to tak miało być, bo dzięki temu poznałem dwie różne odsłony życia. Za nic nigdy nie złorzeczyłem Bogu, ale starałem się zrozumieć Jego logikę.

Znali się 12 lat zanim w kwietniu 1966 wzięli ślub w katedrze Chrystusa Króla w Katowicach. Z dnia ślubu oprócz radości, że przed Bogiem przysięgli sobie miłość, wierność i uczciwość małżeńską, zostało mu wspomnienie ostatniego spotkania z ważnym dla nich obojga dziadkiem żony – Andrzejem Bajdą, który był też dziadkiem aktora Bogumiła Kobieli i ważną postacią powojennych Katowic:

– Miał wówczas 92 lata i leżał chory w szpitalu. Zaraz po ceremonii ślubnej pojechaliśmy go odwiedzić. Pamiętam, że uściśnął mnie szczególnie mocno, moją Basię również, ale mnie jakoś w pierwszej kolejności. Bardzo się cieszył z naszego ślubu. Wygląda na to, że na nas czekał, bo gdy wróciliśmy do gości, dotarła do nas wiadomość, że kilka minut później zmarł.

Kiedy pan Wojciech gdzieś wyjeżdżał, nie można się było dowiedzieć do jego żony ani na komórkę, ani na telefon stacjonarny, bo bez przerwy do niej telefonował, informując o każdym kroku. A przecież wręcz się chlubił tym, że go nie pouczała, nie ustawiała życiowo, nie kształtowała według swoich wyobrażeń, więc trudno sobie wyobrazić, że nieustannie jej się radził. On sam i najbliżsi przyznawali, że ona dyskretnie uczyła męża, jak wracać i żyć pośród ludzi, po tym jak na miesiąc kompromowania zniknął na pustyni.

Fragmety pochodzą z książki „Takie piękne życie. Portret Wojciecha Kilara”, która ukaże się nakładem wydawnictwa „Nieciale”.



Wojciech Kilar z prof. Andrzejem Jasińskim (z lewej) i prof. Eugeniuszem Knapikiem (w środku) w Akademii Muzycznej

• **Spółczesność współczesna** – **mnożność etykiet**

W najnowszych naukach społecznych uczeni i publicyści dwoją się i troją aby jak najlepiej, a jednocześnie błyskotliwie, opisać współczesne społeczeństwa Europy, Północnej Ameryki czy Basenu Pacyfiku. Pojawiają się niezwykle liczne określenia ilustrujące, zdaniem ich twórców, szczególne cechy tych społeczeństw. Mówi się zatem o społeczeństwach poprzemysłowych, informacyjnych, sieciowych, medialnych, społeczeństwach w sieci, społeczeństwach przepływów, ryzyka, społeczeństwach wiedzy. Każdy z tych terminów opisuje pewien tylko aspekt funkcjonowania społeczeństwa, a zatem żaden nie jest wystarczająco pojemny, aby uwzględnić wielowymiarową, a przy tym mozaikową jego istotę. Szczególnie często eksponowane są pojęcia związane z przepływem informacji i wiedzy oraz różnorakie technologie i sieci, które te transmisje umożliwiają. Na temat społeczeństw sieciowych napisano już bardzo wiele prac, czasem banalnych, z których wszelako stworzyć by można całkiem rozbudowaną bibliotekę.

• **Człowiek – węzeł sieci**

Trzeba jednoznacznie podkreślić, że wszystkie społeczeństwa od zarania cechował przepływ informacji czy wiedzy. Informacja była w obiegu zarówno w najbardziej archaicznych zbiorowościach ludzkich, jak i w antycznej Grecji czy Rzymie. W pierwszych dekadach XXI stulecia nastąpił wszakże jeden z przełomów technologicznych, który doprowadził do nieznaney w przeszłości intensyfikacji tych przepływów oraz wzroście wolumenu transmitowanych informacji i sposobach ich upowszechnienia. Ogromną rolę w tym informacyjnym skoku odegrały: telefonia komórkowa oraz Internet, a także niezbędna infrastruktura w postaci sieci światłowodowej. W wyniku tej rewolucji technologicznej pojedynczy człowiek, zbiorowości i społeczności ludzkie stały się, gdyby użyć nieznosnego żargonu naukowego, węzłami sieci, w których kumulują się informacje, i z których te informacje wypływają. Trudno oceniać wartość intelektualną tego przekazu, bo jest skrajnie zróżnicowana, poczynając od informacji kompletnie śmieciowych, a na transmisji wyrafinowanych treści, zgodnych z najnowszą wiedzą, kończąc.

• **Samotność w tłumie** – **samotny tłum**

Zdawałoby się zatem, że wielość kontaktów sieciowych ułatwi jednostce i grupie społeczne funkcjonowanie, pomnoży więzi i przełoży się na zagęszczenie relacji w warunkach rzeczywistych. Takie przełożenie wcale nie jest pewne, a w wielu przypadkach mówić można o samotności w sieci. To pojęcie nawiązuje do klasycznych terminów Davida Riesmana – samotny tłum, samotność w tłumie. Amerykański socjolog dowodził, że bliskości przestrzennej wcale nie musi towarzyszyć bliskość społeczna i najbliżsi nawet sąsiedzi w wielokondygnacyjnych czy kameralnych budynkach wcale nie muszą się znać osobiście. Przejmującą wersję tej bliskości i oddalenia zarazem dokumentuje film Krzysztofa Zanusiego – *Za ścianą*. Wówczas nie było jeszcze Internetu ani poczty elektronicznej, ale kwestia dystansów społecznych okazuje się wieczna i uniwersalna, w sieci i poza nią.



MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Notatnik
spóźnionego przybysza

W sieci, czyli w matni?

• **Normalsi, trolle i hejterzy – aktorzy sieci**

Można jednocześnie przyjąć, że sieci sprzyjają w niektórych przypadkach zagęszczeniu relacji społecznych, zwłaszcza w odniesieniu do ludzi i grup o jasno zdefiniowanych zainteresowaniach czy uwikłanych w czytelne obszary tematyczne. Choć i w tych warunkach trolling, czyli uporczywe wprowadzanie treści do dyskusji bez jakiegokolwiek z nią związku, albo hejterstwo – język dojmującej nienawiści – są na porządku dziennym. Internet jest bowiem najbardziej demokratycznym medium, niemożliwym w istocie do długoterminowej cenzury i kontroli, ułatwiającym wirtualne deliberacje zarówno miłośnikom Amadeo Modiglianego, jak i perwersyjnym pedofilom.

• **Bunt prosumentów**

W społeczeństwie sieciowym radykalnej zmianie uległo funkcjonowanie jednostki, nie tylko w wymiarze prywatnym, ale również publicznym, połączone między innymi ze sposobem codziennego zarobkowania i wykonywania pracy. Obok tradycyjnych usług, związanych z człowiekiem od tysiącleci i stuleci, takich jak handel czy rzemiosło, pojawiły się usługi świadczone drogą sieciową, nazywane w obiegu międzynarodowym e-services. Czego w nich nie ma? Od dobrych kilkun-

stu lat można pracować na odległość w systemie telepracy, można na odległość się uczyć, kupować, a nawet poddać procedurom medycznym. Oczywiście oba typy usług dopełniają się, choć kariera e-services przekroczyła już granice naukowej wyobraźni, a jej ekspansja mierzona jest w miliardach dolarów, także w Polsce. I znowu całkiem spora grupa ludzi, oszołomiona usługami sieciowymi i ich depersonalizacją, wraca do małych sklepów, biur, instytucji, zachowań prosumpcyjnych, wymagających udziału własnego w powstawaniu produktu. Ci ostatni próbują odejść od społeczeństw masowych i odnaleźć ślady choćby indywidualizacji, dokumentujących ich własną osobowość czy tożsamość.

• **Kim Dzong Un i cyberwykluczenie**

Współczesne społeczeństwa sieciowe są ugruntowane w najbardziej rozwiniętych krajach globu. Ale Internet czy telefonia komórkowa funkcjonuje nawet na Saharze czy nawet w najbardziej odludnych miejscach świata. Wiadomo, że w Chinach praktykowana jest cenzura niektórych treści, a w Północnej Korei tragiczny i operetkowy zarazem przywódca Kim Dzong Un regramentuje sieć, ale te działania skazane są w dłuższej perspektywie na porażkę. Jedno jest jednak pewne, że najlepiej prosperujące społeczeństwa sieciowe związane są, gdyby użyć terminologii Karola Marksa, z rynkiem kapitalistycznym. A to oznacza nierówność dostępu do sieci, związanej między innymi z kosztem akcesu do tego medium i jego różnych rewirów. W ten oto sposób pojawia się wcale nie marginalny problem cyberwykluczenia czyli nieobecności w świecie wirtualnym. Jest ono związane nie tylko z zasobnością finansową, ale także z wiekiem. Im starszy jest bowiem człowiek, tym mniejsze szanse na serfowanie w sieci. Bardzo często wiąże się to z niskimi kompetencjami cywilizacyjnymi, zdolnościami do odbioru czy po prostu brakiem zasobów finansowych na zakup odpowiedniego sprzętu. Choć i w tych przypadkach dostrzec należy tendencję niezwykle pouczającą. W rodzimych Uniwersytetach Trzeciego Wieku na przykład, w których uczestniczą tysiące Polaków (50+) kursy komputerowe obok zajęć gimnastycznych, rekreacyjnych i językowych, biją rekordy popularności, a portale randkowe pełne są propozycji składanych przez osoby w wieku dojrzałym.

• **Sieć i zdolność selekcji**

W tym kontekście powstaje naturalne pytanie czy społeczeństwa przenoszą się do sieci i to co było do tej pory realne staje się wirtualne? Można z całą pewnością założyć, że sieć nie zastąpi społecznej rzeczywistości, a jedynie ją dopełni i *vice versa*. To współwystępowanie obu przestrzeni jest oczywiste. Podobnie jak i to, że sieć nie jest matnią, w której upowszechnia się rzeczy bezwartościowe. Dużo w niej miejsca na przekaz cenny i pouczający. Kluczową w tym przypadku staje się jednak zdolność do poszukiwania informacji, ich analizowania, selekcji i w końcu praktycznego wykorzystania. Jest pewne, że to najważniejsza zdolność cywilizacyjna drugiej dekady XXI stulecia, warta pieśni, gdyby użyć frazy Zbigniewa Herberta.

Felieton powstał we współpracy
z prof. Anną Śliz
z Uniwersytetu Opolskiego



Wspomnienie o Henryku Buszce (1924-2015)



Fot. Zbigniew Sawicz

Wierzył w mądrość człowieka

IRMA
KOZINA

W końcu lat 90. XX wieku Henryk Buszko powoli zamykał swoją działalność w pracowni projektowej, którą prowadził razem z Aleksandrem Frantą od 1958 r. Wspólnika poznał

w okresie wczesnej młodości, kiedy obydwoj – jako nastoletni chłopcy – spędzali swoje wakacje w Nowym Targu. Poza architekturą łączyło ich zamiłowanie do pieszych wędrówek górskich

oraz do narciarstwa. Mniej więcej w tym samym czasie wszystkie z tych pasji trzeba było porzucić, by zacząć spokojny żywot emeryta. Dla Henryka oznaczało to jedynie zmianę sposobu działania. Zdał sobie sprawę z tego, że uczestniczył w niezwykle ważnych procesach architektoniczno-urbanistycznych Górnego Śląska, toteż coraz chętniej wspominał przeszłość, opowiadając historię swojej zawodowej kariery studentom oraz w pełni już dorosłym miłośnikom sztuki budowania.

Dbał zawsze o formę tych opowiadań. Był to swoisty nawyk z dzieciństwa. Jego ojciec osierocił rodzinę w 1931 r., gdy Henryk miał zaledwie sześć lat. Od tego momentu w jego wychowaniu uczestniczyła siostra matki, Stanisława Łuczek, nauczycielka z Hrubieszowa. Ukochana „ciocia Stasia”, jak mawiał o niej architekt jeszcze niedługo przed swoim odejściem, wymagała od siostrzeńca ładnego budowania zdań i logicznego formułowania myśli. To okazało się niezwykle przydatne już po wojnie, gdy Buszko przybył do Katowic.

Zarówno Buszko, jak też jego uczelniany kolega Franta, po dyplomie zajęli się pracą naukową. Leszek (jak nazywano Aleksandra Frantę w bliskich relacjach) związał się z Krakowem, Henryk prowadził zajęcia we Wrocławiu. Ich przyjaciel Jerzy Gottfried poszukał sobie na przemysłowym Śląsku zlecenia architektoniczne właściwie jeszcze jako student. Słyszając jego opowieści o realnym projektowaniu budowli, świeżo upieczeni asystenci dołączyli do kolegi, podejmując pracę w Miastoprojekcie Katowice. „Świeża krew” z Krakowa dała się w Katowicach szybko poznać jako trzysobowy zespół wyróżniających się projektantów. Myśleli nawet o utworzeniu swoistego tercetu BuFraGo (nazwa utworzona od nazwisk Buszko, Franta i Gottfried). Razem pracowali przy wznoszeniu szkoły zawodowej dla huty Baildon (dziś siedziba Śląskich Technicznych Zakładów Naukowych, tuż za hotelem Angelo przy ulicy Sokolskiej 26) oraz domu kultury przy hucie Zgoda w Świętochłowicach. Projektowali też siedzibę Okręgowej Rady Związków Zawodowych naprzeciwko Urzędu Wojewódzkiego. Startowali w konkursie na zagospodarowanie pierzei przy Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. Te wczesne realizacje przypadły na okres socrealizmu, trwający w Polsce w latach 1949–1956. Młodzi architekci musieli wówczas stawać w obronie swoich rozwiązań, dyskutując na temat wymyślonych przez nich detali z sekretarzami partii i starszymi kolegami po fachu, którzy zdecydowali się pilnować dogmatycznego przestrzegania zasad narzuconej architektom ideologii. Henryk po raz pierwszy podejmował negocjacje z politykami. Wielu z nich określał potem w swoich opowiadaniach jako „prawdziwych mężów stanu”, wykształconych przez przedwojennych profesorów, zaprawionych w boju o wolność Polski

w czasie drugiej wojny światowej i przez to poważnie podchodzących do pracy społecznej. Najwyżej cenił wojewodę Jerzego Ziętkę. Określał go jako regionalnego patriotę, przedkładającego interes województwa nad politykę krajową, prowadzoną przez stołecznych działaczy partyjnych.

Często relacjonował w swych opowieściach osobiste spotkania z Ziętkiem. Ich pierwsza wspólna inicjatywa związana była z Pałacem Kultury Zagłębia w Dąbrowie Górniczej, projektowanym przez Zbigniewa Rzepeckiego. Ten wybitny przedwojenny architekt został zmuszony do zastosowania w swym projekcie motywów dekoracyjnych charakterystycznych dla socrealizmu. Jego rozwiązania nie utraciły jednak przez to dobrej jakości, składając się na monumentalną budowlę, która po dziś dzień stanowi perłę miejscowej architektury. Jednak w latach 1955–1956 właśnie ten obiekt skoncentrował na sobie agresję miejscowych polityków, którzy wybrali sobie pałac jako przysłowiowego kozła ofiarnego „do spalenia na stosie” w celu rozładowania negatywnych nastrojów społecznych. Ziętek powołał wówczas Henryka jako rzeczoznawcę. Obydwaj z Frantą przeprowadzili skrzętną analizę form architektonicznych budynku i ostatecznie przekonali Ziętkę, by ukończyć jego wznoszenie. Najbardziej przekonującym argumentem okazał się przedstawiony kosztorys, z którego wyraźnie wynikało, że burzenie dzieła Rzepeckiego byłoby marnowaniem społecznych funduszy. Dzięki temu rozważnemu sądowi Dąbrowa Górnicza może się obecnie poszczycić wysokiej klasy

architekturą, która coraz rzadziej oceniana bywa emocjonalnie (przez pryzmat negatywnie kojarzonej marksistowsko-leninowskiej ideologii), zyskując na wartości w analizach dokonywanych przez znających się na rzeczy fachowców.

Kolejne spotkanie Henryka Buszko z Ziętkiem miało znacznie bardziej frustrującą atmosferę. Pracując nad zabudową mieszkalną osiedla Tysiąclecia Buszko i Franta (prowadzący od 1958 r. samodzielną Pracownię Projektową Budownictwa Ogólnego) wykonali studium badawcze, którego celem było ustalenie modułów normatywnych dla tanich mieszkań. W wyniku ich badań okazało się, że polska norma budowlana dla kuchni była zbyt mała. Obliczona przez nich jednostka opierała się na module 6,30 m, umożliwiającym w miarę przyzwoite umeblowanie kuchni. Sporządzili więc projekt, który w przypadku każdego mieszkania przewyższał socjalistyczne parametry o 30 cm. Udało się przeforsować zatwierdzenie tego modułu w Katowicach, ale warszawscy specjaliści natychmiast wychwycili ten zabieg. Do Ziętkę przyszło pismo nakazujące pozabawienia praw do wykonywania zawodu dwójki „śmiałków” z PPBO. Wojewoda wezwał Buszko i Frantę na rozmowę i zapytał, co w tej sytuacji ma zrobić. Henryk miał mu odpowiedzieć, że decyzja należała do niego. Na to Ziętek podarł warszawski „rozkaz” na strzępy, a mieszkańcy domów wielorodzinnych osiedla Tysiąclecia mogą dzięki temu ustawiać szafki i piece w swoich kuchniach.

Współcześni mieszkańcy tych domów narzekają na różnego rodzaju niewygodę, powstałe przede wszystkim ze względu na konieczność oszczędzania środków finansowych. Zapominają często o tym, że budowa osiedla Tysiąclecia rozpoczęta została zaledwie 15 lat po drugiej wojnie światowej. Pieniądzy na tego typu inwestycje było za mało, a w spółdzielniach mieszkaniowych na terenie całego województwa ustawiały się „kilometrowe kolejki” oczekujących na własne M. Trzeba było budować jak najwięcej, wykorzystując dostępne środki tak, by każdemu zapewnić minimum egzystencjalne. Henryk współprojektował mieszkania osiedla Różdzieńskiego i Tysiąclecia także z myślą o własnych dzieciach. W małometrażowym mieszkanku ikonicznego już dzisiaj „Tauzena” przez wiele lat egzystowała z całą swoją rodziną jego córka. Wszelkie zarzuty względem projektantów tej mieszkaniówki są bezpodstawne, gdy weźmie się pod uwagę uwarunkowania historyczne determinujące charakter budownictwa mieszkaniowego PRL.

Krytyczni w stosunku do socjalistycznych wieżowców Tysiąclecia katowiczanie wydają się zadziwiająco bierni w obecnej sytuacji, gdy deweloperzy „wciskają” pomiędzy stojące już wysokościowce nowe obiekty, łamiąc przy tym wszelkie normy w zakresie zachowania przyzwoitej odległości pomiędzy budynkami mieszkalnymi, które ze sobą mają sąsiadować. Buszko i Franta do końca próbowali z tym walczyć, pozywając nachalnego dewelopera do sądu. Niestety, zarówno lokalna prasa, jak też zaśle-



Fot. Zbigniew Sawicz



pieni spóźnioną nienawiścią do socjalizmu użytkownicy zaprojektowanych przez nich budowli nie potrafili zrozumieć rzeczywistych intencji architektów. Przyjęto im łatkę „pieszczoszków komuny”, pragnących wybielić swoją „niecną działalność” z czasów PRL.

W ostatnich dniach lipca 2015 r. pożegnaliśmy Henryka Buszko, który pochowany został obok swojej ukochanej żony na cmentarzu w Zakopanem. Ta strata może się stać okazją do przemy-

ślenia na nowo postulatów architektonicznych naszych rodzimych modernistów, odpowiedzialnych za budownictwo mieszkaniowe w latach 1945–1989. Być może udałoby się jeszcze ocalić niektóre ich rozwiązania przed bezmyślną dewastacją. Henryk Buszko do końca wierzył w mądrość człowieka i w siłę inicjatyw społecznych. Najwyższy czas, by katowiczanie udowodnili, że te wartości potrafią ich obronić przed bezwzględny-
mi poczynaniami współczesnych bosów

zarządzających rynkiem inwestycyjnym w dziedzinie mieszkalnictwa. W dwudziestolecie międzywojennym Polska także opowiadała się po stronie zasad kapitalizmu, jednak spółdzielczość mieszkaniowa potrafiła zapewnić swoim zwolennikom przyzwoite warunki mieszkaniowe. Nadszedł właśnie ów krytyczny moment, by sobie o tym przypomnieć...



Borki świętowały 155 urodziny

To było biesiadowanie!

MARIA SZTUKA

Tegoroczny wrzesień mieszkańcy Katowic będą zapewne długo pamiętali. 150 urodziny miasta stały się okazją do hucznych obchodów jubileuszu. 5 września świętowały także Borki. Powodów do radości było tu wiele. Pierwszy to 155. (tak, to nie pomyłka) rocznica istnienia robotniczej osady, drugi to wpis osiedla do wojewódzkiej ewidencji zabytków, osiedla czyli familoków, pamiętających świetność XIX-wiecznego Roźdzenia. Trzecim powodem była nieukrywana ogromna satysfakcja mieszkańców sta-

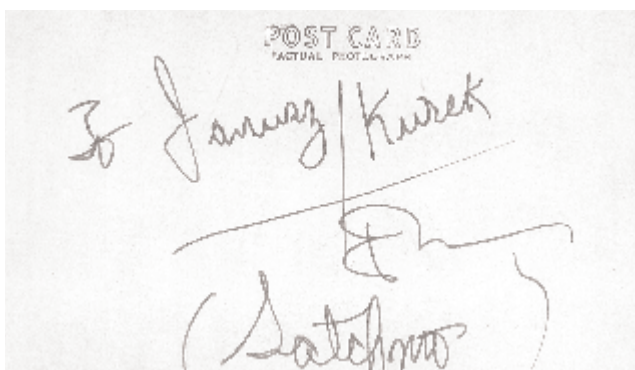
rej kolonii, którzy osamotnieni w walce o przetrwanie, zdołali własnymi siłami wybronić swoje domostwa przed wyburzeniem. Przy biesiadnych stołach zasiadły trzy pokolenia borcniaków. Były wspaniałe kołoczki, pajdy chleba z tustym, ogórki kwaszone, pieczone kiełbaski, żur (wszystko wyroby własne), tańce zabawy i niekończące się wspomnienia. Nie mogło zabraknąć także sportowych emocji, wszak w latach 1922–1923 miejscowa drużyna palanta „Gwiazda Borki” rozstrawiła osadę zdobywając dwukrotnie

mistrzostwo Polski. Nie rozegrano wprawdzie meczu palanta, ale godnie zastąpili go piłkarze „Białe Anioły” i „Czerwone Diabły” walczyli do ostatniej kropli potu, kończąc spotkanie wynikiem dwa do jednego dla „Diabłów”. Emocje sięgały zenitu. Warto dodać, że z rekultywacją dawnego boiska mieszkańcy Borek poradzili sobie w ciągu kilkunastu dni. Zniknęła groźba wyburzeń, teraz przyszedł więc czas na rewitalizację osiedla, o czym zapewnili katowiccy urzędnicy. ■





LOUIS ARMSTRONG



Wielki Satchmo w Częstochowie

Z TADEUSZEM EHRHARDTEM-ORGIELEWSKIM,
JANUSZEM KURKIEM
oraz JANUSZEM SOŁTYSIKIEM
rozmawia MAREK LYSZCZYNA

– Mam w ręce najnowszą płytę Five O’Clock Orchestra. Czego mogę się spodziewać, kiedy włożę ją do odtwarzacza CD?

– Tadeusz Ehrhardt-Orgielewski: Dixielandu, i to wysokiej jakości.

– Przeglądając tytuły widzę jednak utwory współczesne, jak i sięgające korzeniami XIX wieku.

– Tadeusz Ehrhardt-Orgielewski: Jesteśmy z definicji zespołem dixielandowym (gramy na kornecie i saksofonach). Na płycie mamy dwanaście utworów programowych i jako bonus dwa utwory, które nieco odbiegają od całości. Pierwszy z nich nagrał siedzący obok nas Janusz Sołtysik. Chciał nagrać utwór *Nuages*, taki ukłon w stronę Sidneya Becheta i nagrał go z sekcją rytmiczną. Natomiast ostatni na płycie to Oscara Petersona, *hymn for freedom*. Wojtek Kamiński, członek naszego zespołu, nagrał go we wczesnych latach siedemdziesiątych dla Polskich Nagrań. Długo szukał tego nagrania i nie znalazł. Wtedy poprosił mnie, by mógł to nagrać też z towarzyszeniem kontrabasu i perkusji, bo to jego ukochany utwór. Oscar Peterson jest jego mistrzem. Zatem te dwanaście utworów to podstawa, pierwszy numer na płycie, *at the georgia camp meeting*, to nasz sygnał rozpoznawczy – od dziesiątek lat rozpoczynamy nim koncerty. W pozostałych utworach mamy przekrój dixielandu, głównie są to kompozycje z lat dwudziestych i trzydziestych, ale niektóre korzeniami sięgają nawet XIX wieku.

– Powiedział pan, że utworem *at the georgia camp meeting* zawsze zaczynacie koncerty. A pamięta pan, kiedy to rozbrzmiało po raz pierwszy?

– Tadeusz Ehrhardt-Orgielewski: Po raz pierwszy – nie pamiętam (*śmiech*), ale pamiętam, że byłem studentem politechniki...

– Janusz Kurek: Politechniki Częstochowskiej...

– Tadeusz Ehrhardt-Orgielewski:... Politechniki Częstochowskiej, wydziału metalurgicznego. Graliśmy w czwórkę. Sekcja rytmiczna i trąbka. Grałem wtedy na trąbce, a teraz na kornecie. Postanowiliśmy rozszerzyć nasz skład o puzon i klawet i tak powstało Five O’Clock Orchestra. Oczywiście to nie nazwa jest najważniejsza, ale powiem, skąd się wzięła. W czasach naszej młodości nie mieliśmy takiego wyboru herbat jak dzisiaj... były tylko dwa rodzaje. Jedna nazywała się Five o’clock, i w ten sposób powstała nasza nazwa. Kto by się spodziewał, że ten zespół tak się rozwinie... To był październik 1969 roku, pierwszy koncert w klubie studenckim Filutek.

– Czyli korzenie zespołu były studenckie. Jak w czasach rock’n’rolla zareagowała publiczność?

– Tadeusz Ehrhardt-Orgielewski: Wtedy rządili Beatlesi, Rolling Stonesi, ale był również Jazz Revival, był w tej muzyce rozmach i ludzie chętnie jej słuchali. Louis Armstrong w tych czasach śpiewał „Hello Dolly”, i to był numer jeden na liście top 20. To nie tak, że wszyscy słuchali wtedy muzyki rockowej... Dixieland miał bardzo duże grono zwolenników.

– Jak był przyjmowany w PRL? Wasza muzyka musiała być wówczas wielką egzotyką!

– Tadeusz Ehrhardt-Orgielewski: Wiadomo, W Polsce grali wtedy Czerwono- i Niebiesko-Czarni, odbywały się tak zwane gitariady... znalazłem niedawno archiwalny numer *Jazzu*, który potem zamienił się w *Jazz Forum*, gdzie wydrukowano mój list do redakcji, w którym uskarżałem się, że organizowane są tylko gitariady i tylko głośna muzyka jest promowana. Byliśmy od samego początku takimi bojownikami, o to, żeby pamiętać tę muzykę. Nie było co prawda aż tak tragicznie jak teraz, kiedy jest niezwykle mało di-

xielandu w radio i telewizji, a jazz kojarzy się wszystkim z jazzem nowoczesnym, nieco przeintelektualizowanym, technicznie stojącym na wysokim poziomie. Taka muzyka jest dla szerszej publiczności nie do przyjęcia, trzeba mieć poważnie przygotowanie muzyczne, żeby ją zrozumieć. Swing i dixie są proste, można je nucić, śpiewać, to jest taka muzyka pop lat dwudziestych i trzydziestych... wtedy tańczono, bawiono się, a przy jazzie nowoczesnym nie jest to takie łatwe. Zanucić, zaśpiewać dixie czy swing jest w stanie każdy. A ciężko jest zanucić sobie na przykład Parkera czy Coltrane'a. Dlatego my wciąż walczymy, żeby ta muzyka nie umarła razem z nami.

– **Janusz Soltysik:** To się także wiąże z osobami dużo starszymi od nas... to tym ludziom przypomina młodość – nieważne, czy ktoś się znał na tej muzyce, czy robił płytoteki itd. Kiedy jest się młodym, poznaje się kobiety, młodzież balanguje – zawsze balangowała – proszę sobie nie dać wmówić, że było inaczej... (*śmiech*), wtedy ludzie bawili się przy tej muzyce. Dopóki te pokolenia żyją, to ta muzyka ma w umyśle emocjonalne i praktyczne zastosowanie, budzi emocje i jest przyczynkiem do wspomnień.

Do czasu Beatlesów, nie było praktycznie popowej muzyki, ale jazz spełniał tę funkcję – wszyscy bawili się wspaniale, to była muzyka dla inteligencji, bardziej związana z miejscami studenckimi, z klubami... była kochana i lubiana, choć wcześniej była tępiona. Ale młodzi lubią władzę... kontestować.

– **Janusz Kurek:** Skoro wspominałyśmy tamten okres, to przypomnijmy sobie, jak słuchaliśmy w tych latach z Waszyngtonu The Voice of America i czekaliśmy z biciem serca na „Godzinę Jazzu”, prowadzoną przez legendarnego Willisa Conovera. Prezentował nie tylko muzykę ale także wywiady z największymi artystami jazzowymi; Duke Ellingtonem, Ellą Fitzgerald czy Louisem Armstrongiem. Już wtedy Louis był blisko nas. Podobnie Radio Luxembourg, które nadawało dużo muzyki pop.

– **Nie jest jednak tak, że wy się nie zmieniacie. Pewna ewolucja nastąpiła na przykład w zakresie instrumentarium – od trąbki do kornetu.**

– **Tadeusz Ehrhardt-Orgielewski:** (*śmiech*) To jest ewolucja wstecz. Louis Armstrong do roku 1925 grał na kornecie. Dopiero później zaczął grać na trąbce. Kornet jest tym instrumentem, od którego wszystko się zaczęło, to taki pradziadek trąbki. W Nowym Orleanie w latach dwudziestych wszyscy grali na kornetach. Bunk Johnson kiedyś nawet powiedział, że aby grać na trąbce, trzeba mieć wyższe studia. U mnie jest odwrotnie. W latach sześćdziesiątych, kiedy rozpoczynałem swoją drogę muzyczną, nie można było dostać kornetu. Siłą rzeczy była więc trąbka, ale obecnie gram tylko na kornecie.

– **Co Louis Armstrong ma wspólnego z Częstochową?**

– **Tadeusz Ehrhardt-Orgielewski:** Jest jednostką inspirującą wszystkich trębaczy i wszystkich muzyków jazzowych... Miles Davies powiedział kiedyś, że nie ma na świecie trębacza, który kiedyś nie był pod wpływem Armstronga. Jeżeli Davis to mówi...

– **Janusz Kurek:**... Wynton Marsalis i Piotr Wojtasik też, i wielu muzyków oraz wokalistów. Michał Urbaniak wspominał, że kiedy jako nastolatek usłyszał nagrania Louisa Armstronga, odmieniło to jego życie i zakochał się w jazzie, chociaż od dzieciństwa uczył się gry na skrzypcach. Krzysztof Krawczyk powiedział kiedyś, że „Louis Armstrong poruszył struny jego serca i duszy”. Dodam, że wiele lat temu Louis zagościł na krótko w Częstochowie, kiedy to znakomity artysta malarz Tomek Sętowski namalował obraz „Louis & Janusz”, który można było zobaczyć w Muzeum Wyobraźni w Częstochowie.

– **Tadeusz Ehrhardt-Orgielewski:** Do dzisiaj o tym się dyskutuje, ale Hot Five Armstronga to był kamień milowy w rozwoju muzyki, i przynajmniej do wszystkich – nie tylko muzyki ale i krytycy. On był wielką postacią.

A Częstochowa – bez fałszywej dumy mogę powiedzieć, to wspaniale, że pomnik mistrza został niedawno odsłonięty podczas festiwalu Hot Jazz Spring. Katowice także mają w tym swoją zasługę... jest taki pan, Janusz Kurek... (*śmiech*), który był bardzo zainteresowany tym przedsięwzięciem. Pan Janusz jest jednym z członków założycie-



Five O'Clock Orchestra



U stóp Luisa Armstronga w Częstochowie stoją (od lewej): prezes PSJT Tadeusz Ehrhardt-Orgielewski (kornecista), twórca pomnika Jerzy Kędzióra i Janusz Kurek (pianista), amikus Louisa

li Polskiego Stowarzyszenia Jazzu Tradycyjnego i brał aktywny udział w tym projekcie. Pomnik wykonał znakomity rzeźbiarz Jerzy Kędzióra, stoi tuż przy Filharmonii Częstochowskiej, *notabene* mieszczącej się przy placu Louisa Armstronga. To jedyny taki pomnik w Europie. Możemy być dumni, że stanął nie w Lizbonie, nie w Berlinie czy Londynie – ale w Częstochowie.

– **Janusz Kurek:** I jesteśmy dumni, a ja szczęśliwy, na uroczystości odsłonięcia pomnika byłem bardzo wzruszony. Minęło wiele lat od naszego spotkania po koncercie Wielkiego Satchmo w Waszyngtonie. Był jak zawsze uśmiechnięty i przyjacielski. Przyjął młodego pianistę z Polski niezwykle życzliwie. Żałował, że nie odwiedził Polski,

Tadeusz Ehrhardt-Orgielewski – muzyk, absolwent Politechniki Częstochowskiej, gry na trąbce uczył się u prof. A. Stępniewskiego. Założyciel i lider studenckiego zespołu „Five o’Clock” (od 2003 r. „Five o’Clock Orchestra”) zdobywcy „Złotej Tarki” (w 2001 r. i 2002 r.) a w 2009 r. „Honorowej Złotej Tarki”. Inicjator i dyrektor artystyczny częstochowskiego festiwalu jazzu tradycyjnego Hot Jazz Spring (w tym roku odbyła się 11 edycja), współinicjator powstania (2011 r.) Polskiego Stowarzyszenia Jazzu Tradycyjnego, pierwszy jego prezes, w sierpniu br. ponownie wybrany na to stanowisko. Założyciel i lider działającego w Niemczech od 2005 r. zespołu „Aix Dixie Connection” i działającego w Polsce od 2008 r. zespołu „Tador Swingtet”. Zdobywca tegorocznej indywidualnej „Złotej Tarki”.

Janusz Kurek – animator kultury, m.in. wieloletni dyrektor Centrum Kultury Budowlanych, Wojewódzkiego Ośrodka Kultury w Katowicach, b. dyrektor artystyczny Pałacu w Rybnej SPAM, obecnie dyrektor Agencji Reklamy Radia Ka-

nie przypuszczał, że w Częstochowie będzie już na stałe. Podpisał i podarował mi swoje zdjęcie, byłem przeszczeniśliwy mając autograf Louisa, a on poprosił o przeliterowanie mojego nazwiska i na odwrocie napisał dedykację. To zdjęcie jest dla mnie jak relikwia. Nie sposób w kilku zdaniach opowiedzieć o niesamowitym spotkaniu z Królem Jazzu. Byłem kilka razy w domu, w którym mieszkał w Nowym Jorku, na 107 ulicy dzielnicy Queen Corona, gdzie wszystko było tak, jak zostawił, nieruszone. Po kilku latach przygotowań otwarto tam muzeum Louisa Armstronga, na którego otwarcie – jako jedyny z Polski – zostałem zaproszony. Do muzeum zawiozłem statuetkę Louisa z brązu, wykonaną przez znakomitego rzeźbiarza Zygmunta Brachmańskiego na pamiątkę tamtego spotkania.

– **Wspomniał pan o Polskim Stowarzyszeniu Jazzu Tradycyjnego – jak ono powstało?**

– **Tadeusz Ehrhardt-Orgielewski:** W stowarzyszeniu jest pełny zakres zawodów – są pracownicy umysłowi, są gospodynie domowe... ale wszyscy kochają jazz. Nie ma tam przypadkowych ludzi. Najpierw rozpuściliśmy wici, echo było duże, zjechali się koledzy z Katowic, Adam Solski, który prowadzi Fundację Jazzu Tradycyjnego oraz zespół Enerjazz, przyjechał z Gliwic. Trzydziestu sześciu członków założycieli zebrało się w gościnnej stajni u Leszka Piłarskiego w Złotym Potoku. W stajni – choć do tej nazwy trzeba było się przyzwyczaić... jest malowniczo pięknie, grill stoi między muzykami a publicznością, wiatr zawieje i dym gryzie w oczy raz publiczność, a raz muzyków. Dlaczego w nazwie zdecydowaliśmy się umieścić słowo „tradycyjnego”? Mieszkam też w Akwizgranie i przywiozłem stamtąd niemieckie czasopismo *Jazz Podium*. Oni poświęcają dość dużo miejsca jazzowi tradycyjnemu, zaprezentowałem te artykuły. A w polskim *Jazz Forum* piszą o kimś jeśli akurat umarł – i to wszystko. Jak ja umrę, to też będzie o mnie artykuł w *Jazz Forum*... (*śmiech*).

– **Janusz Kurek:** Nie będziemy czekać na *Jazz Forum* (*śmiech*). Kiedy przed laty poznałem Tadeusza, zobaczyłem w nim człowieka „pozytywnie zakreconego” dla jazzu tradycyjnego i dla mojego idola Louisa Armstronga – „czuł Bluesa”! Śmiało mogę powiedzieć, że bez Tadeusza, bez jego inicjatywy i uporu nie byłoby pomnika i wielu innych przedsięwzięć. Dziękujemy Ci Tadziu!

– **Tadeusz Ehrhardt-Orgielewski:** W trakcie pisania statutu miałem takich przezornych członków, którzy chcieli, żeby nie było zapisu o jazzie tradycyjnym. Pod tym pojęciem jest rozumiany jazz do stylu swing włącznie. Zrobiliśmy to po, żeby ktoś mądry nie stwierdził, że Parker czy Rollins to

towice, uhonorowany wpisem biograficznym do książki „Pionierzy i Tytani Polskiej Reklamy”. Pianista, grał m.in. w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, Francji, Wenezueli, Kanadzie, Związku Radzieckim i Izraelu. Członek Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków, Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej, Towarzystwa Kultury Teatralnej, IAA – Międzynarodowego Stowarzyszenia Reklamy oraz Polskiego Stowarzyszenia Jazzu Tradycyjnego.

Sołtysik Janusz – saksofonista, pianista, twórca muzycznego klubu jazzowego i Stowarzyszenia Jazzowego w Częstochowie. Współpracował z Lotharem Dziwoki i Manfredem Niezgodą, w Estradzie Opolskiej pracował z Piotrem Kottem. Wiele lat przebywał w Finlandii. Preferuje muzykę swing i mainstream. Pod koniec lat 60. współpracując z Helmutem Nadolskim, Jackiem Bednarkiem i Andrzejem Przybielskim, zetknął się z free jazzem. W ostatnich latach za namową T. Orgielewskiego powrócił do korzeni jazzu, współpracuje obecnie z formacją jazzu tradycyjnego „Five o’Clock Orchestra”.



W radiowym studiu Henryk Cierpiol rozmawia z Tadeuszem Ehrhardt-Orgielewskim i Januszem Sołtysikiem.

jest jazz tradycyjny. Ta definicja została przyjęta po to, żeby tradycyjny jazz nie zginął, nie umarł razem z nami.

Staramy się przybliżyć tę muzykę. Mamy wiele radości z koncertów szkolnych. Z satysfakcją, ale i z przerażeniem dostrzegamy, że młodzi ludzie spotykają się z tą muzyką po raz pierwszy, na szczęście mówią, „o! jakie to jest fajne!”. To jest taka muzyka pop lat dwudziestych i trzydziestych, walczymy, żeby była dziś grana i słyszana, żeby żyła.

To jest dobro kultury światowej, trzeba dbać o nie tak, jak na przykład o muzykę ludową. Wcześniej, w latach pięćdziesiątych było mnóstwo w Polsce zespołów ludowych, powstało „Mazowsze”, „Śląsk”. Jazz tradycyjny tak samo jest dobrem kultury światowej. Trzeba go chronić tak, jak muzykę klasyczną, tak jak chroni się dobro muzyki Mozarta, Beethovena, Mahlera czy Chopina. To nie może popaść w zapomnienie.

– **Jaką widzi pan przyszłość jazzu tradycyjnego?**

– **Tadeusz Ehrhardt-Orgielewski:** Czekam na jazz revival, czekam na powrót tego, co było. Jak się popatrzy na historię jazzu, Nowy Orlean, lata dwudzieste, trzydzieste, potem swing potem be-pop, Parker... ta muzyka była w ciągłym rozwoju, następowały zmiany w harmoniach, skomplikowane szybkie tempa.

Może za pięćdziesiąt lat, ktoś weźmie taką płytę („Jubilee” Five O’Clock Orchestra) i ona będzie wtedy już historyczna... (*śmiech*). Sztuka nie lubi monotonii, nie znosi marazmu. Wychodzę z założenia, że w pewnym momencie jazz tradycyjny stanie się znowu bardzo popularny, bo w muzyce pop nic się nie dzieje od lat. Dzisiejsze przeboje równie dobrze mogłyby być nagrane w latach dziewięćdziesiątych czy nawet osiemdziesiątych...

Przyjaciele Feliksowi Netzowi

Jubileusz Katowic jest okazją nie tylko do przypominania dziejów miasta, ale także ludzi, którzy z grodem nad Rawą związali swoje życie, tworząc jego historię. Jedną z najcenniejszych ikon Katowic niewątpliwie stał się Feliks Netz. Niestety miast świętować 75 urodziny twórcy, w kwietniu tego roku pożegnaliśmy tego wybitnego poetę, prozaika, tłumacza, krytyka filmowego. Spuścizna literacka, jaką zostawił nam autor „Urodzonego w Święto Zmarłych”, weszła na stałe do kanonu literatury polskiej. W roku jubileuszowym Katowic nie mogło więc zabraknąć tej niezwykłej postaci. Okazją do przypomnienia dorobku literackiego pisarza była inauguracja po wakacyjnej przerwie *Jubileuszowych Spotkań Poetyckich* w ramach, których odbyły się trzydniowe (8–10 września) spotkania *Feliks Netz i Przyjaciele*, prowadzone przez Macieja Szczawińskiego. Wśród zaproszonych do dyskusji gości znaleźli się m.in. dr Przemysław Dakowicz (poeta, eseista, krytyk literacki, historyk literatury), Wojciech Kass (poeta, eseista, animator kultury, dyrektor Muzeum K.I. Gałczyńskiego w Praniu), Krzysztof Kuczkowski (poeta, naczelny redaktor „Toposu”, wydawca najnowszego tomu poezji Feliksa Netza zatytułowanego „Krzyk sowy”). Spotkania odbywały się w sali Parnassos w Bibliotece Śląskiej,

Fot. Zbigniew Sawicz



Uczestnicy spotkań Feliks Netz i Przyjaciele: Wojciech Kass, Przemysław Dakowicz, żona poety Beata Netz i Krzysztof Kuczkowski.

w Pałacu Młodzieży i MDK „Koszutka”. Uczestnicy mieli także okazję obejrzeć film obrazujący twórczą obecność Feliksa Netza w Katowicach – „Miasto poety” a także wysłuchać (i przeżyć) niezwykle poruszające słuchowisko Krzysztofa Kiczka – „Bestsariusz”, kompilacji tekstów autora „Trzech dni nieśmiertelności”.

Pożegnania

jak je opowiedzieć
gdy brakuje słów

zwykle powszechnie
jednak wyjątkowe

za każdym razem
a jakby na nowo

powtarzalne
pierwsze

niby do jutra
a przecież na wieczność

Kiedy umrę

Kiedy umrę,
nic nie zmieni się przecież,

wierzba zakwitnie tak samo,

świat będzie trwał,
tyle że z drugiej strony.

Jak Łazarz

Jak Łazarz... – tak mówiła, skarżąc się na los swój.
Jak Łazarz... – nie inaczej, od ponad lat dwóch.

Tam za oknem śnieg, mróz i szczypią policzki.
Tu przy łóżku tylko kubki, łyżki, miski.

Tam słońce się ukrywa w obfitych koronach
Drzew, które szumią po rodzinne strony.

Tu żarówka lampki oświetla biel ściany.
I tylko z rąk zajęczki pędzą na polanę.

Ej, Łazarzu, Łazarzu dobrze tobie w grobie.
Nie widziałeś tych spojrzeń, co ona, na sobie.

Pamięci Mamy

12 kwietnia 2015

Pamięci Feliksa Netza

teraz jak inni
miało być inaczej

inaczej nie ma
zawsze jest tak samo

odpływają myśli
od tego co ziemskie

jednoczą się
w nagości

piękna jest nagość
w wieczności

4 marca 2015

Pamięci Stanisława Krawczyka

teraz już wie
więcej wiedzieć nie chce

po co mu wiedza
z której nie skorzysta

w bezmiernej ciszy
ostateczna przystań

już żadnej śmierci
tylko to czekanie

* * *

dobrze wymyślono
z tym ciał zmartwychwstaniem

stare ziarno się chowa
pod pierzynką ziemi

a popatrz już kiełkuje
i pnie się do słońca

30 września 2012

Pamięci Włodzimierza Wójcika

jakże ja się uspokoję
gdy nie będzie was już przy mnie
cóż ja wtedy z sobą zrobię

kogo słuchać kogo czytać
już nazwiska nie są znane
już nazwiska odpłynęły

żadnej twarzy ani oczu
co przez lata gdzieś się śmiały
teraz nikt i nie ma twarzy

więc jak mi się uspokoić
na ostatnim krześle w sali
kiedy z przodu same plecy

patrzę szukam chcę powiedzieć
ale pustka nie ma komu ciemność
i ostatnie krzesło trzeszczy

tak jak trzeszczą kości w grobie
kiedy chcą się wyprostować
ale siły już nie mają

11 czerwca 2015

*Pamięci Jana F.
Lewandowskiego*

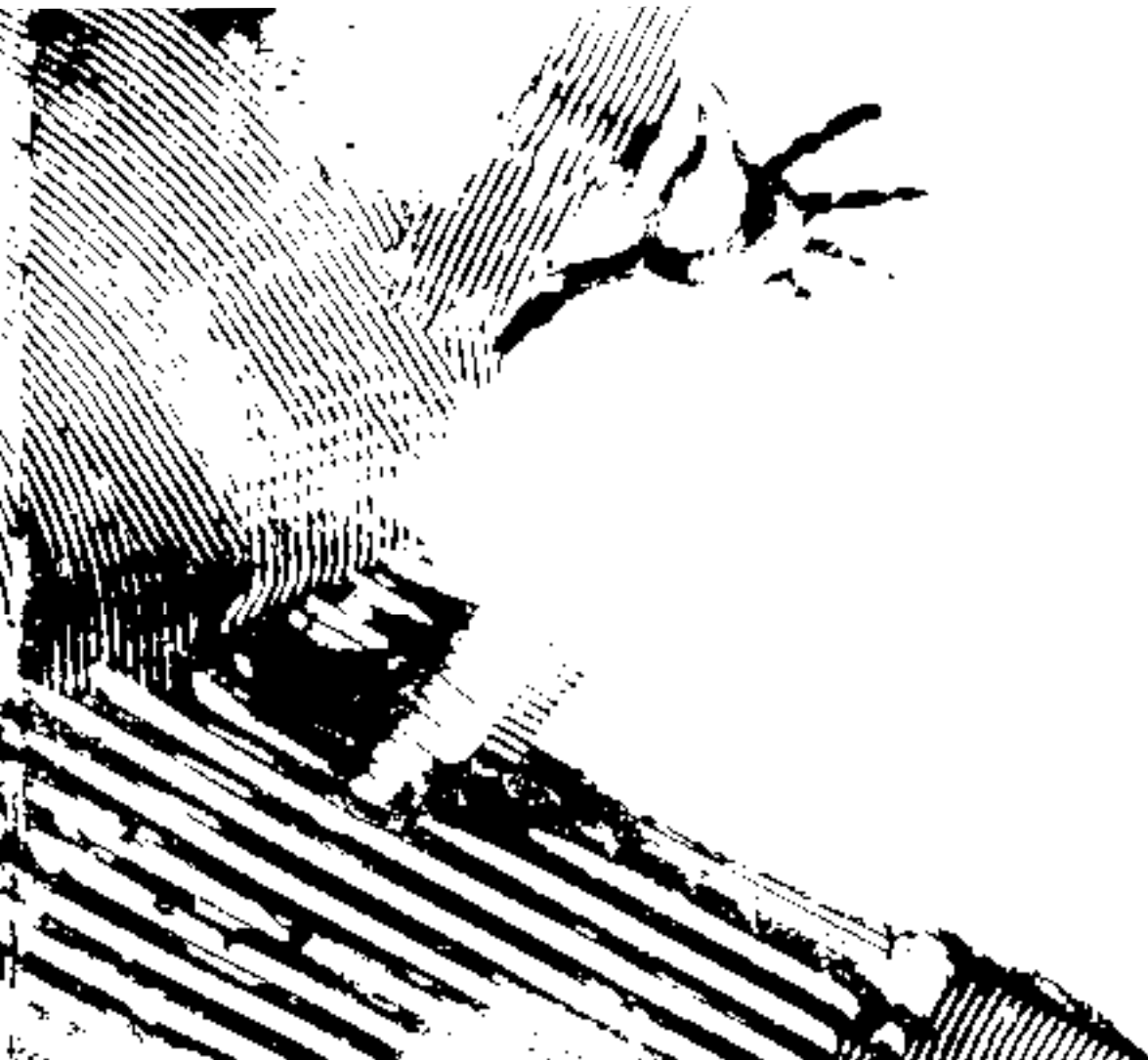
upał w drzewach
i kojący świegot

o świecie
i wieczorem

mowa ptaków
szum skrzydeł

jeszcze jedna kawa
jeden papieros

i można to zapisać
na wieczność





Dom, w którym mieszka pamięć



BOGDAN WIDERA

Oj, bywało tam wesoło. W budynku przy ul. Szafranka 9 w Katowicach mieszkał w latach sześćdziesiątych mój licealny kolega Stefan. W mieszkaniu, w którym było 11 pokoi. Jednak po wojnie rozdzielono tę imponującą przestrzeń pomiędzy 5 rodzin. Wspólny tam był tylko przedpokój. Siedziba rodziny Stefana nie robiło wtedy na mnie specjalnego wrażenia, bo sam urodziłem się w czteropokojowym mieszkaniu przy ul. Kochanowskiego 2. Dopiero z czasem docierało do mnie, że kamienica przy Szafranka 9 to coś wyjątkowego, nigdy nie przypuszczałem, że tam właśnie będzie kiedyś Muzeum Historii Katowic i że z tym budynkiem związany będzie kawałek mojego własnego życia.

Bardzo nowoczesna kamienica

Redakcja miesięcznika *Śląsk* współpracuje z MHK od lat. Korzystamy ze zgromadzonych w dziale fotograficznym archiwalnych zdjęć, ze swej strony zaś odnotowujemy wydarzenia dziejące się w tej placówce, i nie są to tylko omówienia organizowanych tu wystaw czy wykładów, ale także m.in. relacje z odbywających się tutaj od lat, zawsze w dniach sąsiadujących z urodzinami miasta, „Konferencji katowickich”. Tak się złożyło, że to głównie ja jestem w kontakcie z Muzeum, znam tu niemal wszystkich, więc kiedy w redakcji zrodził się pomysł, żeby z okazji stu pięćdziesięciolecia uzyskania przez Katowice praw miejskich odbyć spacer po tej instytucji z uwzględ-

nieniem miejsc, które nie są przeznaczone do zwiedzania, mnie wydelegowano do realizacji tego tematu.

Dyrektor Muzeum Historii Katowic Jacek Siebel zgodził się być moim przewodnikiem. Zaczęliśmy od rozmowy o samej siedzibie. Dowiedziałem się, że kamienica przy ul. Szafranka 9 powstała w roku 1910, czyli tuż przed wybuchem I wojny światowej, na podstawie przygotowanego 4 lata wcześniej projektu. W wybudowanym budynku od początku były 2 rodzaje mieszkań. Jedne o powierzchni 150 metrów kwadratowych, drugie były 2 razy większe. Imponujący metraż, trzeba przyznać.

– Jak na tamte czasy była to kamienica bardzo nowoczesna – opowiada dyrektor. – Od samego początku było tu centralne ogrzewanie, instalacja wodno-kanalizacyjna, elektryczna i był gaz. Dom stał nieco na uboczu, dość oddalony od centrum, mimo to niesłychanie nowoczesny. Nic więc dziwnego, że znajdujące się tu mieszkania zostały bardzo szybko zasiedlone.

Dobry duch Asymetrycznej Damy

Mieszkały tu osoby znane, najbar-dziej z nich wdowa po Wojciechu Korfantym, Elżbieta, która przy ul. Szafranka 9 zamieszkiwała od roku 1947 do 1967. Gdzieś wyczytałem, że już wcześniej mieszkali tu ludzie związani z dyktatorem III powstania śląskiego, była to zatem taka antysanacyjna enklawa, bo pobliską willę przy ul. Zaczysze zajmował marszałek Sejmu Śląskiego Konstanty Wolny.

– Niestety osoby, które tu mieszkały, wyprowadziły się z całym dobytkiem – żałuje Jacek Siebel, w którym odezwała się dusza muzealnika. – Nie możemy więc zaprosić zwiedzających słowami: „Proszę zobaczyć, to jest umebłowany pokój, w którym żyła pani Elżbieta Korfantowa”. To, co mamy, to wnętrza odtworzone, trochę idealne, ale jednak oddające ducha tamtych czasów.

– Czy istnieje wykaz lokatorów od czasów niemieckich, potem z czasów międzywojnia?

– Paradoksem jest to, że sami muzealnicy nie stworzyli pełnej monografii tego miejsca, w którym mamy siedzibę.

– Zatem zadanie przed wami.

– Podjęła się go pani dyrektor Jadwiga Lipońska-Sajdak kilka lat temu. Jej zawdzięczamy to, co wiemy, ale ciągle jeszcze wiemy mało. Myślę, że nadszedł dobry czas na poszperanie w archiwach, bo w przyszłym roku Muzeum będzie obchodzić okrągłe, trzydzieste piąte urodziny.

Dyrektor opowiada o początkach placówki (1. Stycznia 1981), która – choć już miała nazwę „Muzeum Historii Katowic” – była jedynie oddziałem Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu. Starania o powstanie takiej instytucji trwały przez kilka lat. A już 2 lata wcześniej miasto

wybrało lokalizację, właśnie ul. Szafranka 9, jedno mieszkanie. Z tego, co pamiętam, w jednym z pokoi prezentowano jakąś hutniczą makietę (nie wiem, czy to była huta „Marta”). A w kamienicy mieszkali jeszcze wówczas zwykli, normalni lokatorzy. Znalazł się tu także Zespół Filmowy „Silesia”, kierowany przez Kazimierza Kutza. I być może MHK nadal gnieździłoby się w tym jednym mieszkaniu, gdyby nie zrządzenie losu. W Katowicach osiedliła się po wojnie Eugenia Wyszomirska-Kuźnicka – modelka Witkacego, słynna *Asymetryczna Dama*. Kolekcję swoich portretów, wykonanych przez mistrza z Zakopanego, przekazała w testamencie Katowicom. Z tym skarbem ówczesne władze musiały coś zrobić. Dzięki temu Muzeum zyskało swoją siedzibę – całą kamienicę. To znaczy: prawie całą. Ponieważ lokale zajmowane przez Zespół Filmowy „Silesia” przejęło Śląskie Towarzystwo Filmowe, też powstałe z inicjatywy m. in. Kazimierza Kutza.

– To było fajne sąsiedztwo – wspomina Siebel. – Nie mogę powiedzieć o sobie, że jestem Matuzalemem, ale pamiętam, kiedy jeszcze na dole to kino (*Klub Filmowca przy STF – przyp. Autora*) działało. Obejrzałem tam kilka bardzo dobrych filmów.

Pani dyrektor Jadwiga Lipońska-Sajdak była jednak z sąsiadów znacznie mniej zadowolona. Wiem, bo przez wiele lat byłem w Zarządzie Towarzystwa. Zajmowaliśmy wtedy połowę parteru, a te pomieszczenia bardzo by się MHK przydały. Sytuacja rozwiązała się sama po zmianie ustroju. Premiery kinowych hitów odbywały się niemal jednocześnie na świecie i w Polsce, znikła cenzura, więc pokazywanie filmów zakazanych przestało być atrakcją, pojawiły się magnetowidy... Śląskie Towarzystwo Filmowe dostało inną siedzibę, ale już nie wróciły czasy dawnej świetności.

Pamiętam, że w jednym z muzealnych pomieszczeń znajdował się gabinet prezydenta Katowic Adama Kocura.

– Jest za ścianą, na razie go nie udostępniamy – mówi dyrektor. – Zachował się w całości, będziemy go chcieli wyeksponować w przyszłości.

Znikł także gabinet Ludomira Różycykiego. To znaczy istnieje, ale też jest teraz niedostępny dla zwiedzających. Siebel wyjaśnia, że znacząco ograniczył przestrzeń przeznaczoną na wystawy czasowe. Trudno się z tym nie zgodzić, zważywszy rozmach ostatnich ekspozycji – choćby fotografii Anny Chojnackiej, czy prac Witkacego związanych z kobietami. A już niedługo Muzeum pokazywać będzie dzieła Hansa Bellmera, słynnego na cały świat surrealisty, który urodził się w Katowicach.

Pan na włościach

Jacek Siebel trafił do MHK jeszcze jako student.

– Minęły lata i teraz jest pan tutaj „panem na włościach”.

Protestuje, więc zaczynam wyliczać:

– Filia przy ul. Kopernika 11, czyli dawne mieszkanie Barbary i Stanisława Ptaków...

– To Dział Teatralno-Filmowy MHK. Składa się z dwóch części, Muzeum państwa Ptaków, to jest ekspozycja stała...

– Można tam z bliska oglądać wspaniałe kostiumy zaprojektowane przez panią Barbarę, które znamy ze znakomych filmów polskich, są zdjęcia...

– Wystawy czasowe pokazujemy w drugiej części tej przestrzeni, która nosi nazwę „Galeria pod 11”.

– Jest też oddział Muzeum przy ul. Kościuszki 47.

– Tam mieści się nasz Dział Grafiki im. Pawła Stellera...

– ... który nigdy w tym domu nie mieszkał. Żył i pracował w mieszkaniu z widokiem na plac Andrzeja, stworzył nawet drzeworyt, na którym przedstawił ten efektowny skwer. To

praca chyba jeszcze z lat międzywojennych.

– Teraz prace mistrza drzeworytu można podziwiać przy ul. Kościuszki, składają się na stałą wystawę *Pawel Steller – katowiczanie z wyboru*. W pozostałej części tego bardzo pięknego wnętrza, z zachowanymi stylowymi elementami wystroju, organizowane są ekspozycje czasowe, prezentujące sztukę współczesną. Ścisłe współpracujemy z katowicką ASP. No i trzeba w tym momencie dodać, że bezpośrednio nad naszym oddziałem mieszkań sławny Hans Bellmer. Zbieg okoliczności, ale mający jakiś wymiar symboliczny...

– Nawet, można powiedzieć – metafizyczny.

Krótką dygresja

– To taka moja mała obsesja – mówię – w Katowicach zamknięliśmy Bellmera w areszcie przy ul. Mi-



Fot: Piotr Sobański / ze zbiorów Muzeum Historii Katowic

Dział teatralno-filmowy MHK, ul. Kopernika 11

kołowskiej. Za „sztukę niemoralną”. W tym samym miejscu za włóczęgostwo (i może nie tylko) przesiedział jakiś czas Jean Genet. Tak sobie myślę, że oba te fakty mogłyby zostać upamiętnione odpowiednimi tablicami na wieziennym murze. W końcu nie każde miasto może się szczycić tym, że w jego areszcie trzymano noblistę.

Jacek Siebel „kupuje” żart.

– Więc być może powinna się tam znaleźć też tabliczka przypominająca kolejnego słynnego więźnia – Louisa Diebla, pierwszego burmistrza Katowic, który okradł kasę miasta, uciekł do Ameryki, tam złapano go w Baltimore i osadzono tam w procesie, w katowickim więzieniu.

– Tym obecnym, w areszcie przy Miłkołowskiej?

– Nie, prawdopodobnie wtedy był to niewielki budynek, przylegający do gmachu sądu.

Wracamy do „włości”

— Częścią MHK jest także „Magiel” w Nikiszowcu... – zaczynam.

– Nie ma „Magla”, jest Dział Etnologii Miasta MHK.

– Ale ta dawna nazwa nadal funkcjonuje. I chyba trudno będzie to zmienić. Moi dziadkowie posyłali mnie po coś na ul. Pierackiego, chociaż od lat nazywała się Wieczorka.

– Będziemy jednak forsować używanie nazwy Dział Etnologii Miasta, choćby dlatego, że bardziej oddaje charakter tego naszego oddziału. A poza tym nie możemy zgodzić się na to, żeby szefową tego niezwykłego działu nazywać „kierowniczką magla”. Ale oczywiście pokazujemy w naszym budynku także cały cykl domowego prania (to była bardzo ciężka praca), łącznie z maglowaniem. Ponadto jednak można tu zobaczyć wnętrze kompletnie urządzonego robotniczego mieszkania. Na tej podstawie możemy sobie wyobrazić życie codzienne z pierwszej połowy XX wieku.

– Mnie osobiście najbardziej cieszy stała ekspozycja *Mistrzowie Grupy Janowskiej*. Mam pewność, że moi krajowi a czasem zagraniczni goście będą mogli poznać to wyjątkowe malarstwo, tak charakterystyczne dla miasta jak impresjonści dla Paryża. W przeszłości zdarzało się, że Wróblem, Gawlikiem, czy Sówką nie mogłem się pochwalić przed znajomymi, bo akurat ani w MHK ani w Muzeum Śląskim nie byli w danym czasie prezentowani. I jeszcze w związku z Działem Etnologii – byłem niedawno w Nikiszowcu i usłyszałem, jak zdezorientowani przyjeźdźni rozpytują, gdzie właściwie jest to Muzeum. Wiem, że trudno na zabytkowych fasadach waszych obiektów umieszczać jakieś krzykliwe szyldy, ale przydałoby się jakieś wyrazistsze oznakowanie, jakiś element reklamowy...

– Właśnie jesteśmy w trakcie przygotowywania nowej akcji promującej Muzeum, wiąże się to też z modyfikacją na-

szej głównej wystawy historycznej *Z dziejów Katowic*. Mamy nadzieję, że uda się nam dotrzeć z informacją do większej ilości odbiorców. Chciałbym jeszcze dodać, że częścią naszego Muzeum jest również rzymskokatolicki kościół pw. św. Michała Archanioła w parku Kościuszki...

– Macie nawet swój kościół i pan dyrektor mi mówi, że nie jest „panem na włóściach”!

O tej szesnastowiecznej świątyni nagrywaliśmy kiedyś z Jackiem Sieblem audycję dla Radia Katowice. Opowiadał nam wtedy, że porządne śląskie gospodynie z Syryni, po sprzedaży kościółka Katowicom, tak gorliwie tę perełkę drewnianej architektury wymyły, że znikły zdobiące wnętrza polichromie.

Myślę, że jeden dzień to za mało, obejrzeć i obejrzeć wszystkie przynależne do Muzeum „włości”. Ale „kwatery główną” możemy obejść.

Schodami w górę, schodami w dół

Wychodzimy z gabinetu, w głębi korytarza widać drzwi do biblioteki, z której czasem korzystałem. Tym razem jednak chcę obejrzeć pracownię plastyczną. I tu dyrektor mnie zaskakuje – zamiast schodzić do piwnicy, w której się mieściła w dawnych czasach, kierujemy się na poddasze. To mi się nawet podoba, bo z literatury pamiętam, że malarze przeważnie zajmowali strychy. Żeby być bliżej nieba? Chyba niekoniecznie (rzadko wiedli świątobliwie żywoty), raczej ze względu na wysokość czynszu (którego – jako biedacy – i tak nie płacili). Przypomina mi się w tym momencie, że w tym samym kwartale budynków, od strony wschodniej, właśnie pod takim samym dachem mieszkali i pracowali znakomici twórcy – Anka Keyha i Zygmunt Lis. Miałem okazję u nich bywać, gadać o sztuce, książkach, życiu... On (wszystko się jakoś dziwnie plecie) tuż po studiach był instruktorem malarzy z Grupy Janowskiej, którym nie narzucał akademickich reguł, dbał natomiast o to,

żeby uprawiali sztukę „po swojemu”. Po drodze na górę przeciskamy się obok rusztowań, mijamy robotników w drelichach. Jacek Siebel tłumaczy, że chcą zdążyć z odnowieniem klatki schodowej na wrzesień – katowicki miesiąc. Schodzimy na trzecie piętro, zajmowane przez Dział Historii. W pierwszym, pustym pokoju oleodruk na ścianie przypomina mi, że to tu właśnie kiedyś mieścił się Dział Etnografii (chyba wtedy jeszcze nie Etnologii). Okres urlopowy, więc pokoje historyków mocno przerzedzone. Dyrektor zwraca mi uwagę na wystrój – połączenie tradycji z nowoczesnością. To też dla mnie odkrycie. Zazwyczaj bywam w tym gmachu w jakimś określonym celu i – wstyd przyznać – „takie widzę światło koło, jakie tępyimi zakreślałam oczy”. Tymczasem w tych „pokojach do pracy” wspaniałe, zabytkowe meble, bogato rzeźbione i warte drobiazgowego studiowania, sąsiadują z funkcjonalnymi biurkami, na których stoją komputery, skanery, drukarki...

Na nowe otwarcie wystawy *Z dziejów Katowic* chcę poczekać, więc schodzimy piętro niżej. Tam jeszcze ekspozycja poświęcona skomplikowanym relacjom biograficzno-artystycznym Witkacego z paniami. Pisałem o niej obszernie w poprzednim numerze naszego miesięcznika, więc nadal schodzimy w dół.

Pierwsze piętro. To – można powiedzieć – wizytówka (a może nawet „sztafeta”) MHK.

Słodkie życie mieszczan

Dwie stałe wystawy: *W kamienicy mieszczańskiej, codzienność i odświętność* oraz *U sąsiadów, na pokojach i w kuchni*. Wspaniałe wnętrza, i te bogate, ale i te biedniejsze budzą podziw. Mówię, że piękne pałace, pełne dzieł sztuki, budowała sobie arystokracja, którą później naśladowało mieszczaństwo, a na wsi pańskie dwory „kopiowali” na miarę swoich możliwości chłopci. Wydaje mi się to dość oczywiste. Ale dyrektor MHK zwraca mi uwagę, że to nie „wysoko urodzeni” tworzyli świetność swoich siedzib. Wszystkie cuda, te lustrzane sale, kasetonowe sufity, kunsztowne kominki, sztukaterie, meble i sprzęty były dziełem rzemieślników, czyli mieszczan a nawet domorosłych artystów wiejskich. Wchodzimy do Działu Sztuki, ale nie zaglądamy do wspaniałych wnętrz mieszczańskich, odwiedzamy „pokoje do pracy”. Teraz już przyglądam się im z uwagą. Rzecz jasna są w nich komputery, ale tu także prowadzi się prace badawcze w otoczeniu pięknych mebli, na ścianach wiszą dziewiętnastowieczne chyba obrazy, wokół urocze bibeloty.

Kiedy mijamy znane mi dobrze, wykwiłtne urządzone pokoje, Jacek Siebel ma dla mnie kolejną rewelację:

– Wie pan, coraz częściej pary młode chcą sobie u nas, na tle tych rzeczywiście pięknych wnętrz, robić zdjęcia poślubne.



Dyrektor Muzeum Historii Katowic Jacek Siebel

– Do tej pory wiedziałem, że w waszym muzealnym kościółku w parku Kościuszki chcą brać ślub.

Trzeba w tym miejscu wyjaśnić, że kościół pw. św. Michała Archaniola jest nie tylko zabytkiem, ale pełni też w dalszym ciągu rolę katolickiej świątyni, w której co niedziela odbywają się msze święte.

– Właśnie ukazała się moja książeczka o historii tego kościółka – informuje mnie mój przewodnik.

– Już ją mam, panie dyrektorze – mówię. – Kiedy tu wchodziłem, zauważyła mnie pani Monika i wręczyła mi ją do recenzowania w *Śląsku*.

Parter

Na parterze mieszczą się dwa działy. Po pierwsze fotograficzny, z którym redakcja *Śląska* współpracuje najczęściej. Tu na środku dużego pokoju stoi wielki okrągły stół, na nim korbę z książek inwentarzowych, obok starannie poukładane jakieś stosiki fotografii i pocztówek, wokół pisma urzędowe i wypełnione druki umów. Wszystko przygotowane na przybycie interesantów, którym te materiały są niezbędnie potrzebne. Zdjęciami interesują się historycy, wydawcy książek, filmowcy, więc zawsze panuje w tym dziale ruch. Muzeum rzadko i niechętnie wypożycza oryginały, ale dzisiaj można przecież wszystko zeskanować. W sąsiedztwie głównego pomieszczenia znajdują się inne, ale to magazyny, w których w pudłach, teczkach i kopertach spoczywają zbiory, między innymi bezcenna kolekcja prac Józefa Dańdy, który na swoich zdjęciach utrwalał przedwojenną Polskę, w tym także Górny Śląsk. Mieści się tu także pracownia fotograficzna. Tu pracuje fotograf, który na bieżąco dokumentuje muzealną działalność i najważniejsze wydarzenia w mieście.

Po drugiej stronie korytarza znajduje się Dział Naukowo-Oświatowy. Nazwa trochę myląca, bo przecież wszystkie działy prowadzą prace badawcze, przygotowują wydawnictwa i wystawy, a swoją wiedzę upowszechniają w ramach różnych przedsięwzięć edukacyjnych. Kiedy wpadaliśmy z dyrektorem do różnych pracowni z naprawdę niezapowiedzianą wizytą powtarzał się ten sam widok: pracownicy przy swoich biurkach nad czymś ślęczą. Może są w trakcie robienia kwerendy, może przygotowują scenariusz kolejnej wystawy, może szukają w rozmaitych źródłach potwierdzenia jakichś hipotez albo szukają materiały z myślą o naukowej konferencji. Laik może myśleć: „No, powiesili jakieś obrazy albo fotki i teraz mają przez miesiąc święty spokój”, ale jest to równie fałszywe jak powiedzenie, że „rolnik zimą śpi, a jemu rośnie”.

Czym więc zajmuje się Dział N-O? Promocją, organizacją otwartych wykładów historycznych i koncertów, zapewnieniem fachowej obsługi przewodników



Drewniany kościółek na Wzgórzu Beaty w Parku Kościuszki

po wystawach, przyjmowaniem zgłoszeń szkół zainteresowanych lekcjami muzealnymi albo warsztatami, umożliwia też korzystanie z zasobów biblioteki. Pewnie nie wyliczyłem wszystkiego. Dla mnie najważniejsza jest jednak sprzedaż wydawnictw MHK. W gablocie można oglądać efekt tego, co zaczęło się w Dziale Wydawniczym. A jest na co popatrzeć. Muzeum wydaje bowiem już nie skromne katalogi ze spisem eksponatów, ale wręcz szczegółowe monografie związane z przedmiotem danej ekspozycji. Są prace dotyczące historii miasta i regionu, biografie znanych Ślązaków, albumy. Łączy je jedno: są bardzo starannie wydane, piękne pod względem edytorskim. Pamiętam książki tu wydawane w latach osiemdziesiątych. Marny papier, haniebna jakość zdjęć (to były brudne plamy), poziom siermiężnej poligrafii – pożałuj Boże. Państwowe przydziały papieru, kolejki w drukarniach, cenzura...

W Dziale także ciekawe meble, na ścianie nad szafą obrazy mojego dobrego znajomego, Jana Dubiela. Z tymi pomieszczeniami związane są jeszcze inne moje wspomnienia. Przez wiele lat były to biura Śląskiego Towarzystwa Filmowego. Było w nich zawsze siwo od dymu z papierosów, bo niemal cały zarząd namiętnie palił. Na korytarzu kłębił się tłum czekających na seans kinomanów, większość stano-

wili studenci... Pewnego razu byli to sami klerycy ze Śląskiego Seminarium Duchownego.

Jak coś tu trafi...

W drodze do wyjścia dyrektor opowiada o planach MHK w roku jubileuszowym, ale prosi, aby o tym jeszcze nie pisać. Niech to na razie będzie sekret, żeby przypadkiem „nie zapeszyć”.

– Panie dyrektorze, kilka razy widziałem, że ktoś zgłaszał się do pracowników z ofertą darowizny, czy sprzedaży jakiegoś potencjalnego eksponatu – mówię. – Tymczasem Muzeum, choć w tak reprezentacyjnej wielkiej kamienicy, wydaje mi się kompletnie zagospodarowane. Przestrzeń jest wypełniona. Gdzie więc są kierowane te wszystkie dary?

– Żadne muzeum nie zdradza lokalizacji swoich magazynów – odpowiada. – Po co kusić los? Ale mogę pana redaktora zapewnić, że jak już coś raz trafi do muzeum, to zostaje w nim na zawsze.

I tym optymistycznym zdaniem się żegnamy. Wychodzę przed budynek i – to taka moja tradycja – mówię Witkacemu wyrzeźbionemu przez Tomasza Wenklera:

– Do widzenia.



Fot. Jerzy Stemplewski

Z prof. STANISŁAWEM S. NICIEJĄ
rozmawia KATARZYNA BERETA

Lekcja martwego języka

– Czy pasja kolekcjonowania historii z Kresów to próba ocalenia tego, co pozostało po nie do końca zatopionej Atlantydzie? Wydaje się, że podobnie porucznik Kiekeritz w filmie *Lekcja martwego języka* Janusza Majewskiego

go gromadzi przedmioty, aby je uratować ze świata nieuchronnie przechodzącego do przeszłości.

– Mówi pani o jednej z najważniejszych powieści w moim życiu – *Lekcja martwego języka* Andrzeja Kuśniewicza. Film

Majewskiego jest natomiast genialną ekranizacją, z piękną rolą Łukaszewicza i wspaniałą muzyką Kurylewicza. Nie zastanawiałem się nad moim podobieństwem do Kiekeritza, ale gdy Pani o tym wspomniała, to sobie pomyślałem, że może rzeczywiście mam coś z niego. Wyrałem w Strzegomiu na Dolnym Śląsku, gdzie jest jeden z największych w Polsce kościołów gotyckich: z pięknymi barokowymi epitafiami i obrazami olejnymi. I jak się zastanawiam, skąd się wzięła moja fascynacja historią sztuki, to może właśnie z obcowania z tą strzegomską architekturą. Pochodzę bowiem z chłopskiej rodziny galicyjskich przesiedleńców, którzy z okolic Wadowic przenieśli się na Dolny Śląsk. Od dzieciństwa jednak fascynowała mnie historia sztuki i uroda budynków. Gdy już skończyłem studia i mogłem kolekcjonować, to rozpocząłem gromadzenie moich kolekcji, m. in. kafli piecowych, których dzisiaj mam już ponad trzysta. Zbieram, bo uważam, że obcowanie z rzeczami pięknymi zmienia i uszlachetnia człowieka. Może zatem coś z tego Kiekeritza jest we mnie...

Myślę, że z tej fascynacji wzięła się także moja pasja badania cmentarza na Łyczakowie. Kiedy przybyłem tam pierwszy raz w 1977 roku i zobaczyłem piękne rzeźby, ważne nazwiska i poezję im towarzyszącą, to stwierdziłem, że to trzeba opisać. Najpierw zrobiłem to dla siebie, do szuflady, a później okazało się, że także dla czytelników.

– Stanisław Lem w filmie dokumentalnym z 1996 roku stwierdził, że chociaż bardzo tęskni za Lwowem, to jednak nie chce go nawet odwiedzić, gdyż nie ma w nim już ludzi; a same kamienie, które pozostały, nie tworzą miasta. Zgadza się pan z tym zdaniem?

– Są dwa spojrzenia. Pierwsze Lemowskie. Jest pewna grupa lwowiaków, którzy kochali to miasto, i nie pojechali do niego po wysiedleniu, podobnie jak Lem, który nie chciał burzyć swojego wewnętrznego obrazu Lwowa, dlatego unikał jego odwiedzin. Ale jest też drugie spojrzenie, np. Janickiego, który często powracał do tego miasta. Hemar, gdyby mógł, również by przyjeżdżał, ale jako współpracownik Radia Wolna Europa i autor antykomunistycznych tekstów był na indeksie. Są zatem dwie postawy, które cały czas obserwuję. Jedni nie chcą wracać, gdyż uważają, że piękno Lwowa zostało zbrukane, a drudzy z uporem wciąż powracają i tęsknią. Ja należę do grupy, która uważa, że należy tam jeździć.

– Koniec cywilizacji na Kresach w różnym ujęciu opisuje wiele literackich i eseistycznych publikacji, by wspomnieć tylko *Austerię* Juliana Strykowskiego. Jakie są Kresy dzisiaj po tak trudnych przejściach, jak rzeź wolińska, II wojna światowa, ustanowienie nowego porządku w Jalcie czy pięćdziesięcioletnia sowietyzacja?

– Kresy w Polsce zostały w literaturze. Wielu pisarzy poruszało kresową tema-

tykę. Natomiast w okresie PRL były wypierane ze świadomości społecznej, by nie rozbudzać jakichś rewanżystowskich postaw. Był polityczny nakaz, by ten temat zaryglować. Jednak on nie uległ zapomnieniu. Dowodem na jego żywotność była recepcja mojej książki *Cmentarz Lyczakowski we Lwowie*. Gdy ukazała się w 1989 roku, to wybuchł jej czytelniczy fenomen. Ustawiały się kolejki. Rozeszło się 250 000 egzemplarzy. Trzeba było do drukować, bo takie było zapotrzebowanie. Dlaczego? Bo żyła jeszcze generacja, która we Lwowie, Tarnopolu czy Wilnie kończyła studia, zdawała maturę, miała z Kresami związek sentymentalny. I nagle ktoś napisał o miejscu, które było im bliskie. Później wybuchła wielka moda na Kresy. Zaczęły powstawać towarzystwa miłośników Lwowa i innych miast. Wydaje się periodyki, np. „Z nurtem Stryja”, „Gazeta Kołomyjska”, „Biuletyn Stowarzyszenia Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej” czy „Zeszyty Tlumackie”. Kresy się odrodziły dzięki aktywności towarzystw, dzięki temu, że się o nich pisze, że zbiera się wspomnienia kresowian i ich potomków. Widzę to podczas setek moich spotkań autorskich organizowanych wokół kolejnych tomów *Kresowej Atlantydy*. Na każde ludzkie przynoszą zdjęcia, dokumenty, a później przesyłają mi swoje wspomnienia. Kresy żyją i to żyją już w późnym wnuku, który chce powracać do swoich korzeni, chce odwiedzić miasta, z których pochodzili jego przodkowie.

Oczywiście nie wszyscy mają taką potrzebę i takie spojrzenie. Część na przykład jest cynicznie nastawiona, a na wspomnienie Kresów macha ręką i mówi, że to było dziadostwo, że były tam tylko kurne chaty, błoto i pijani chłopcy w karczmach. Inni natomiast dostrzegają wartość Kresów w tym, że były tam: rafineria ropy w Drohobyczu, Towarzystwo Soli Potasowych (TESP) w Kałuszu czy cukrownia w Chodorowie, jedna z największych w Europie. Kresy zatem to zjawisko wielopłaszczyznowe, niezwykle trudne do zdefiniowania.

– **Galicja to także martyrologia tych, którzy stanęli w obronie osób prześladowanej narodowości. Trzeba przede wszystkim przypomnieć bohaterską postawę rodziny Ulmów z Markowej pod Łańcutem, którzy zginęli wraz z ukrywającymi się u nich Żydami. To ważna karta w historii Galicji.**

– Tak. Dwa totalitaryzmy zderzyły się nad głowami mieszkańców tych ziem i unicestwiły ich różnorodność. I to jest największe przestępstwo hitlerysty i stalinizmu w tym regionie. Sowietci np. likwidowali Hucułów, hitlerowcy Żydów. Doszło tam do niewyobrażalnego kataklizmu. Poza tym ludzie w okropny sposób mordowali siebie nawzajem, często sąsiad sąsiada. I ta trudna historia ciąży nad tymi terenami do dzisiaj. Trudno jest przyznać się np. Ukraińcom, że ulegli filozofii Doncowa. Z drugiej strony takie historie jak w Jedwabnem

Ukraińcy zrobili Polakom w setkach wiosek. Tylko one nie są tak nagłośnione. Paskudne ideologie wyłączości, które się zderzyły ze sobą, z silnymi mocami sprawczymi spowodowały, że zniszczono różnorodność i zgodne współzycie różnych kultur w Galicji. I z tym nie możemy sobie do dzisiaj dać rady. Chociaż Ukraińcy już trochę próbują myśleć inaczej. Sądzę, że działania w ramach partnerskich miast, wzajemne odwiedzanie się i współpraca, pomagają zabić te okropne rany. Powoli Ukraińcom nie przeszkadza mówienie, że budynek politechniki we Lwowie wybudowali Polacy, podobnie jak nie przeszkadza już Polakom mówienie, że ratusz w Opolu wybudowali Niemcy. Na całkowite zabięcie ran potrzeba czasu, ale to się dokona. Chyba że przyjdzie jakaś nowa wariacka ideologia, która ponownie skłóci ludzi.

Natomiast odnosząc się do historii z Markowej, to spotkałem się ze wspomnieniami o uratowaniu życia Polakom przez Ukraińców. I myślę, że tego nam właśnie brakuje w stosunku do Ukrainy. Żydzi stworzyli odznaczenie „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” dla takich bohaterów jak rodzina Ulmów. Natomiast my nie mówimy o tych Ukraińcach, którzy nie ulegli filozofii Doncowa i ratowali Polaków.

– **Krzysztof Czyżewski w Linii powrotu interesując opisuje fenomen Bukowiny, określając typ człowieka zamieszkującego niegdyś ten obszar jako *homo bukoviensis*, czyli człowieka tolerancyjnego, otwartego na inność, znającego obyczaje, język i religię swoich sąsiadów. Na przełomie XVIII i XIX wieku żyło w Bukowinie jedenaście grup etnicznych, deklarujących przynależność do dziewięciu wyznań, dlatego Zbigniew Herbert nazwał Czerniowce „ostatnią Aleksandrią Europy”. Czy dziś można jeszcze znaleźć potomków tamtej cywilizacji dialogu i pokojowego współzycia?**

– Znam Czerniowce. Dzisiaj jest to miasto jednorodne, ukraińsko-rosyjskie. Jego różnorodność została zniszczona. Nie ma już Żydów ani Niemców. Sądzę, że w małych miasteczkach nie da się tej wielokulturowości i wieloetniczności odbudować, gdyż ludzie po prostu zostali wymordowani lub wywiezieni, ale ona się odradza w większych miastach, np. we Lwowie czy Stanisławowie (Iwano-Frankiwsku). Coraz częściej widzi i słyszy się dumę z tego, że ktoś ma polskie korzenie. Podobnie jest z innymi nacjami. Może poza Rosjanami, do których jest obecnie dość duża niechęć. Ekspozuje się natomiast pochodzenie austriackie czy węgierskie. Z tego złamanego odziumka puszczają zatem młode pędy, które uważają, że różnorodność etniczna jest dobra, i zrywają z modelem radzieckiej unijności.

– **W 2011 roku odbyła się w Katowicach konferencja *Niezwykła więź***

Kresów Wschodnich i Zachodnich, którą zorganizowano w 70. rocznicę mordu na Wzgórzach Wuleckich. W publikacji pokonferencyjnej zebrano opracowania i świadectwa wpływu lwowian na rozwój nauki i kultury na Górnym Śląsku po 1945 roku. Ja jednak chciałabym, aby pan profesor przeprowadził własną historyczną paralelę pomiędzy Kresami Wschodnimi i Zachodnimi, pomiędzy Galicją a Śląskiem.

– Powojenny kształt Śląska ma niewątpliwie kresowe rysy. Jest to związane z tym, jak szły transporty. Są tzw. miasta przeszczepione. Lwów po wojnie stał się trójmiastem, osiadł bowiem głównie w Gliwicach, Bytomiu i Wrocławiu. Inteligencki Lwów zamieszkał w Gliwicach i we Wrocławiu, a robotniczy w Bytomiu. Do Opola i Gliwicy został przeszczepiony Stanisławów. Borysław siedzi w Wałbrzychu, gdzie dawni naftciarze stali się górnikami. Chodorów osiadł w Raciborzu, bo tam była poniemiecka cukrownia. Ośrodki uniwersyteckie w Katowicach i Opolu budowane były właśnie przez kresowian. Rektorami Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu byli lwowscy profesorowie: Stanisław Kolbuszewski, Antoni Opolski, Maurycy Horn. Co prawda, naziści wymordowali część profesorów na Wzgórzach Wuleckich, ale nie wszystkich. Niektórzy przeżyli w okropnych warunkach. Wielu uratował prof. Rudolf Weigl, który w prowadzonym przez siebie Instytucie Badań nad Tyfusem Plamistym i Wirusami zatrudniał pracowników naukowych Lwowa, ratując w ten sposób ok. 5 000 osób.

– **W latach 2001-2005 zasiadał pan profesor w ławie senatorskiej wspólnie z kilkoma znanymi postaciami nauki i kultury na Śląsku, by wymienić: prof. Dorotę Simonides, prof. Genowefę Grabowską, Krystynę Bochenek, prof. Zbigniewa Religę czy Kazimierza Kutza. Jakie problemy szeroko rozumianego Śląska były poruszane podczas tej kadencji?**

– To jest mój epizod polityczny. Ja nie jestem politykiem. Czasami dorabiali mi taką łatkę. Oczywiście jako rektor uważam, że muszę się zmagać z polityką, muszę w niej być, bo nie ma rzeczy niepolitycznych.

Tamten senat był bardzo dobry. Poznałem w nim wielu wspaniałych ludzi. Śląsk natomiast nie był w nim za bardzo eksponowany, poza głosami prof. Simonides czy Kutza. Uważam, że Śląsk od lat ma za słabą reprezentację polityczną, a przecież jest regionem zasobnym i interesującym. Nie ma on jednak tak elektryzujących i twórczych osobowości w polityce jak np. Gdańsk. A ziemia musi rodzić indywidualności, które będą się o nią upominały, bo jeśli ziemia wydaje indywidualności, to kwitnie, a jeśli nie, to szarzeje.

– **Taką wyrazistą osobowością z Opolszczyzny był Edmund Jan**

Osmańczyk. Co z jego dziedzictwa jest dzisiaj dla nas najważniejsze?

– Zasypano go popiołami. Wrzucono do piekła zapomnienia. Część lustratorów próbowała z niego zrobić komunistę, obrażała go. Dzisiaj staramy się przywrócić pamięć o nim na uniwersytecie, mówiąc: „wielkie śląskie nazwisko, wielkie polskie nazwisko”. Stworzyliśmy jego pomnik na Wzgórzu Uniwersyteckim i powoli się już uspokaja atmosfera wokół jego odsłonięcia. Uważam, że *Sprawy Polaków* powinny być katechizmem każdego polskiego polityka. Osmańczyk dobrze służył Opolszczyźnie, Śląskowi. Jego spuścizna musi wrócić na sale uniwersyteckie, na politologię, historię, bo to był nie tylko dobry polityk, ale i sprawny pisarz. Ubolewam nad tym, że trudno jest przebić się z takim myśleniem wyżej. A przecież już Gałczyński pisał: „Mniej Grottgera, więcej Osmańczyka, a Polska będzie bogatsza”.

– Pełni pan funkcję rektora Uniwersytetu Opolskiego już 12. rok, sumując oczywiście wszystkie kadencje od 1996 roku. Jaki był kierunek przemian Uniwersytetu Opolskiego w tym czasie?

– Dla Uniwersytetu Opolskiego rok 1994 był przeskokiem cywilizacyjnym. Wyszliśmy ze słabej, siermiężnej WSP i stworzyliśmy porządną uniwersytet z solidnymi budynkami. Mamy 40 obiektów o dużej kubaturze (w tym dwa zamki) i 8 wydziałów z dobrymi kierunkami, jak: anglistyka, germanistyka, prawo, psychologia, socjologia, historia, chemia, teologia. Nastąpiła niewątpliwie jakościowa zmiana. Sprawdziły się zapowiedzi ojców-założycieli uniwersytetu, że powołano go w Opolu zmieni bieg życia naukowego w tym mieście. I to się stało. Uniwersytet Opolski jest znaczącą i prężną uczelnią. Czy się utrzymamy w obecnym czasie depopulacji i braku studentów, to się oczywiście okaże. Na razie trwamy. Także dlatego, że prowadzę uniwersytet bardzo autorsko. Wywalczyłem na przykład, aby Collegium Maius znajdowało się w niebanalnej, barokowej budowlu poklasztornej z dziedzińcem, bo uważam, że akademickość wymaga ładnych budynków i wnętrza. Collegium otoczone jest ogrodami, w których zgromadzono pomniki Grotowskiego, Niemena, Grechuty, Osieckiej, Przybory, Kofty, Osmańczyka, ponadto rzeźby barokowe, neogotyckie, a z Kopic przywieziono rzeźbę Joannę Gryzik Schaffgotschowej. Bez uniwersytetu nie byłoby tego. Musimy tylko zachować ten stan, utrzymać i umocnić.

– Prof. Simonides w wywiadzie, którego udzieliła „Śląskowi”, na pytanie, czy dzisiejsze uczelnie są nadal kuźniami wiedzy i osobowości, odpowiedziała: „Niestety, nie. Ja miałam mistrzów, u których mogłam się uczyć (...). Miałam autorytety, które mnie wspierały, podnosiły, wskazywały kierunek. Mogłam dyskutować z nimi, pytać o radę. W tej chwili nie ma tego. Jest przerost biurokracji (...). Poza tym widzę, że

dzisiaj profesorami zostają osoby, które nie powinny być nimi nigdy zostać”. Panie profesorze, a jakie pan dostrzega największe bolączki naukowca na polskiej uczelni?

– Podzielał w pełni poglądy prof. Simonides. W ostatnich 20 latach zepsuło naukę poprzez mnożenie bez opamiętania prywatnych uczelni, w których można było za darmo dostać dyplom, na których można było byle jak wykladać, w których zepsuło się morale profesora. To bardzo obniżyło poziom. Podczas spotkania oplatkowego pracowników uniwersytetu pozwoliłem sobie na dość ostrą uwagę, że zdarza mi się nie odróżnić profesora od menela w zachowaniu. Bywałem na takich obronach doktoratu, na które profesorem przychodzili w trampkach, podkoszulkach z angielskim napisem, nieuczescani i zarośnięci. To są niewyobrażalne rzeczy. O tym trzeba mówić. Ja staram się to czynić i staram się takie postawy napiętnować, choć dzisiaj można być za to posądzonym o mobbing. Ale tak postrzegam uniwersytet. Jest to świątynia nauki, do której trzeba przyjść porządnie ubranym i używać w niej porządnego języka. Nie wszyscy to uznają, uważając, że jest nowa epoka, postmodernizm i wszystko wolno. Ja takiego spojrzenia nie akceptuję.

– Jakie jest pana spojrzenie jako historyka na cześć roku 1989 w Polsce?

– Rok wielkich nadziei, rok wielkiego marzenia, które zmieniło system w Polsce. Chyba nie było nikogo, kto nie dostrzegł tego wyzwolenia ludzkiej energii. Później to się wyhamowało. Ja bardzo ubolewam nad tym, co się stało z jakością polskiej kultury po 1989 roku. I to przekonywanie mainstreamu, że ma się ona bardzo dobrze, a kino polskie jest tak świetne jak za czasów młodego Wajdy, Munka czy Kawalerowicza, zwyczajnie mnie śmieczy. To, co było w polskim plakacie, malarstwie, muzyce, filmie, teatrze, telewizji, radiu, to zostało zamknięte. Dzisiaj radio i telewizja nie edukują. Jesteśmy pod bardzo silną presją amerykańskiej kultury popularnej. I takie epatowanie wulgaryzmami na ekranie, zwłaszcza w filmach historycznych, odpycha mnie. To jest język ahistoryczny. Ja tak nie mówiłem. Także to, co proponuje teatr i literatura, nie uważam za sztukę wysokiego lotu. Zamiast tarzania się na scenie w błocie i biegania nago chciałbym zobaczyć klasyczną sztukę Fredry, Słowackiego czy Szekspira. Nie potrafię również powiedzieć, że pisarstwo Witkowskiego, Twardocha czy Kuczoka jest wielkie, a Masłowska jest nowym Mickiewiczem. Po prostu nie potrafię.

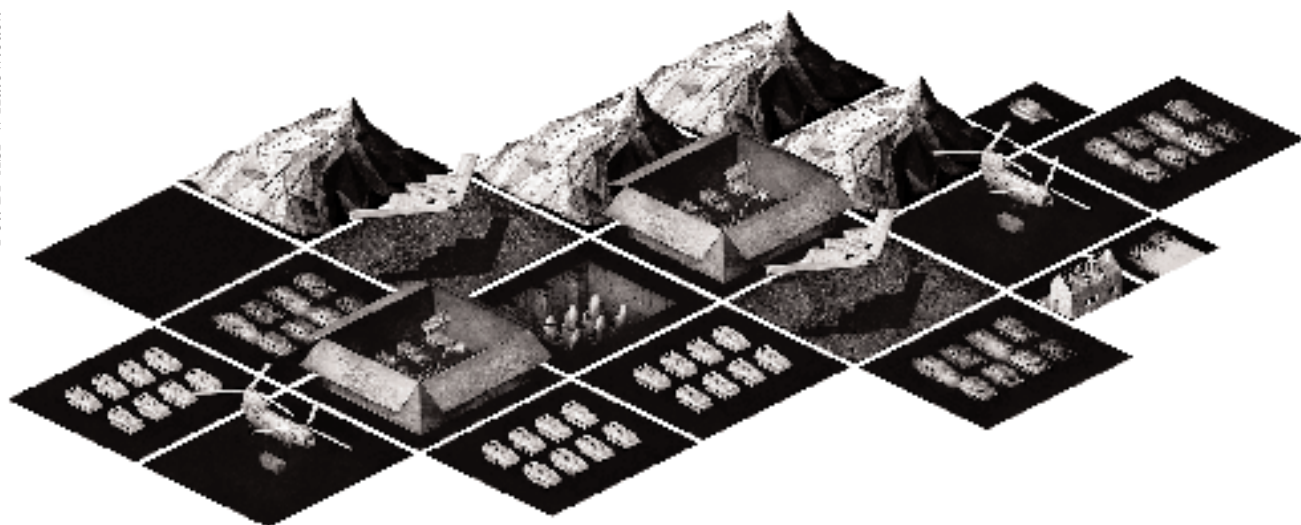
– A obecna sytuacja w Europie Wschodniej? Czy to nie dalsze trzeszczenie jałtańskich granic? A może dawny Związek Radziecki cofnął swoje ciche przyzwolenie na demokratyzację, niezależnienie i reformy państw z jego bylej strefy wpływów?

– Rosja zawsze była potęgą. Miała momenty, kiedy dominowała, i miała momenty, kiedy się cofała. Jeszcze do niedawna była wycofana, a teraz znowu się uaktywniła. Trzeba pamiętać, że to jest naród ambitny, który zawsze miał wybitnych przywódców. Czasami morderców, ale jednak wybitnych polityków, którzy o swoje racje walczyli bezwzględnie, nieraz cynicznie. To państwo tak właśnie jest skonstruowane i trzeba o tym wiedzieć.

Natomiast odnośnie obecnej sytuacji. Nie odpowiada mi proamerykańska polityka naszego rządu. Nie zgadzam się z tym, że pakujemy się na pierwszą linię wojny amerykańsko-rosyjskiej. Amerykanie to przecież ten sam kaliber, co Rosjanie. Polska polityka zagraniczna jest fatalna i tak było zawsze. Zawsze mieliśmy jakichś Becków. Cześć i Węgrzy potrafią się do tego jakoś spokojnie ustawić. My się pchamy na pierwszą linię z pożyczonymi amerykańskimi samolotami z demobilu i próbujemy coś demonstrować. Obecnie rozgrywa się batalia pomiędzy Amerykanami i Rosjanami o wpływy w tej części Europy, głównie na Ukrainie. Amerykanie bardzo dużo zyskali przez to, że są w Polsce. A w tej chwili walka toczy się o Ukrainę. Ja wiem, czy trzeszczy Jałta? Chyba nie, bo gdyby tak było, dawno byśmy stracili Wrocław, Słupsk i Gdańsk. Raczek toczona jest brudna gra interesów i potrzeba nam mądrych polityków, którzy będą wiedzieli, jak się w niej odnaleźć. Obawiam się, że nie mamy takich, że ciągle jesteśmy na jakimś pasku. Ci sami, którzy cieszyli się, gdy rosyjskie wojska stąd poszły, teraz cieszą się, że amerykańskie przyszły. Nie rozumiem tego. Albo jesteśmy dumnym, dużym narodem europejskim, albo jesteśmy jakimś pionkiem, który raz jest przy klamce sowieckiej, a drugi raz przy amerykańskiej czy jakiejś innej.

– Jakie zatem wnioski na przyszłość powinniśmy wyciągnąć z historii, która pogrzebała już tak wiele Atlantyd?

– Uważać, by nie dopuszczać do władzy wariatów, którzy głoszą nietolerancję, narzucają coś w bezwzględny sposób, bo to jest rak, który toczy historię. Co jakiś czas pojawiają się siły, które lansują swoją filozofię. Ona sama nie jest groźna, dopóki jest tylko na papierze. Groźna jest, gdy jej głosiciel ma instrument, by ją wprowadzić w życie. Jeżeli się pojawi talent, który ma chorą wyobraźnię i zdolności przełożenia jej wytworów w czyn, to wtedy jest dramat. Wtedy pojawia się realne niebezpieczeństwo. I na tym polega rola politologów i świata intelektualistów, że powinni umieć rozpoznać w porę prawdziwe zagrożenie i wytłumaczyć jego istotę społeczeństwu. Ale dzisiaj brakuje takich światłych osób w radiu i telewizji. Brakuje mi w mediach edukacji. Zamiast niej jest tylko show.



Kamil Kocurek, „Topografia wojny”, intaglio 560x220cm, 2015

Celem Triennale jest wychwycenie aktualnych i najbardziej wartościowych postaw oraz trendów w grafice. Dlatego też w tym roku przeformatowano formułę konkursu. Po raz pierwszy prace oceniano w dwóch kategoriach. Pierwsza z nich – drukowalne – koncentrowała się na tradycyjnej grafice, oceniano między innymi podejście artysty do problemu utrwalenia obrazu. Ważny był tu zarówno warsztat graficzny, przeniesienie idei na podłoże, jak i twórcze podejście do materii podłoża. Druga kategoria – matrycowe idee – zachęcała do prezentacji dzieł o charakterze intermedialnym lub instalacyjnym. Ocena prac uwzględniała głównie aktywne ujęcie idei matrycy: od kreacji intermedialnych i cyfrowego modelowania obrazu po przestrzenne, bądź też złożone instalacje graficzne oraz conceptualne definiowania graficznej matrycy. W ramach tej kategorii zgłaszane mogły być także prace mieszczące się w idei tradycyjnego graficznego druku, podkreślające jednakże innowacyjny i nowatorski stosunek artysty do matrycy. Podział na kategorie okazał się dobrym rozwiązaniem. Frekwencja dopisała. Zgłoszono 623 prace 254 autorów. Dominowały prace wykonane tradycyjnymi technikami graficznymi, jednak dużym zainteresowaniem cieszyła się także kategoria matrycowe idee.

Jury w składzie: Andrzej Bednarczyk, Tomasz Daniec, Sebastian Dudzik, Ryszard W. Kluszczyński, Andrzej Łabuz, Mirosław Pawłowski, Krystyna Piotrowska, Małgorzata Et Ber Warlikowska zdecydowało, że GRAND PRIX – Nagrodę Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego otrzymuje Kamil Kocurek, tegoroczny absolwent ASP w Katowicach (dyplom w Pracowni Druku



9. Triennale Grafiki Polskiej

Pierwsze takie triennale



Znany wyniki najbardziej prestiżowego przeglądu grafiki współczesnej w kraju. Katowicka Akademia Sztuk Pięknych potwierdziła swoją pozycję. Grand Prix zdobył Kamil Kocurek, II nagrodę otrzymała Marta Czarnicka – tegoroczni absolwenci katowickiej ASP. Wyróżniono także pracę Szymona Prandziocha, asystenta w Pracowni Rysunku I Roku w Katedrze Grafiki.



Obrady jury.

Wkłęskiego prof. Jana Szmatocha). II Nagroda – Nagroda Marszałka Województwa Śląskiego trafiła w ręce Marty Czarnickiej, nagrodzona praca jest aneksem do dyplomu malarskiego, który powstał w Pracowni Sitodruku prof. Waldemara Węgrzyna. III Nagroda – Nagroda Prezydenta Miasta Kato-

wice została przyznana Jarosławowi Janasowi, asystentowi w Pracowni Serigrafii UAP w Poznaniu.

– Choć prawdą jest, że w tak prestiżowym konkursie warsztat uczestników jest już transparentny, w niczym im nie przeszkadza i trzeba stwierdzić, że spora część prac wręcz porywała techniką. Mało tego, bardzo często właśnie w takich pracach autorzy wchodzili w dialog ze światem, przedstawiali swoje przemyślenia i wątpliwości. Słowem były to prace ważne, pełne treści i bardzo często autorstwa całkiem jeszcze młodych artystów – zauważył Mirosław Pawłowski, juror Triennale, profesor Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu.

– Być może właśnie dzięki rozbudowaniu formuły, 9. Triennale Grafiki Polskiej potwierdziło, że jest ono dobrą okazją do przyjrzenia się czym i gdzie dziś jest polska grafika artystyczna, a co szczególnie ciekawe, zaobserwowania w jaki sposób rezonuje na przestrzenie nowe i jeszcze niezdefiniowane – podsumowuje Grzegorz Hańderek, kurator Triennale.

Wszystkie nagrody zostaną oficjalnie wręczone w trakcie wernisazu pokonkursowego, zaplanowanego na 2 października 2015 r. w nowej siedzibie Muzeum Śląskiego. To właśnie Muzeum Śląskie wraz z Akademią Sztuk Pięknych w Katowicach są, po raz pierwszy w historii tej imprezy, jej głównymi organizatorami. Poza główną wystawą, przewidziana

no także szereg wydarzeń towarzyszących. Szczegółowe informacje znajdują się na:

- <http://www.tgp.asp.katowice.pl/>
- <https://www.facebook.com/TGP.Katowice?ref=hl>

Isolde pod warunkiem

przyjaciółko kwiecie jak nie myśleć tobą w głąb życia wbity strwożony
nie mgłą zza której słabo cię widać tylko kiedy ciszę siejesz hojnie
przez lata z wodą w ustach; drzę
pasterko smutku kwiecie obfity dziś w nocy znowu wiedziałem nie zdążę
tak cię objąć jak tamci w sekundzie mniej lub bardziej wymuszonego
zachwytu; że nic nie zostanie wiedziałem nie wróci! nie wróci! jak wtedy
chore po deszczu Gliwice mają chłodny uścisk
świecیدło ciemne instytut onkologia: nic?
nikogo? nikogo; do starości w samotność? słyszałem
to będzie to się nasuwa jak smutek
jak gwiazda spokojna wycieka rozplywa
Isolde! życia woda żywa w życiu nie moim
prawdziwa już nieobecna obecna urojona
Isolde pod warunkiem że wszystko co o niej
skończy się słowem *była*
zawsze kiedy najdalej.

ze słów

tak! tak pisze się już teraz jak wczoraj jak przedwczoraj
tak samo się pisze już kiedy pism nikt nie czyta nie wie
czy rozumieć to coś ponad czy spod ubywania może ty
nie jesteś jak nie było cię wcześniej stąd brak tu jakichś
detali typu włosy cienki płaszczyk albo okno bez szyby już
nie wie nie płacze ani woła uśmiecha przecież do siebie
kiedy szkło mimo lat posłuszne brzęczy nocą więc tak to
się trzyma do krwi na palcach śpiewa ach gwizdże szybko
w miejscu gdzie śnieg albo co innego leci z nieba na łeb
i tyle miłości w odbłaskach ulicy dawno startej buty buty
buty obce mnogie nowych liter podkucia pełzną mu po głowie
już go nie ma pośród chłopca co dobrze się składał do środka;
ze słów

Pierwsza

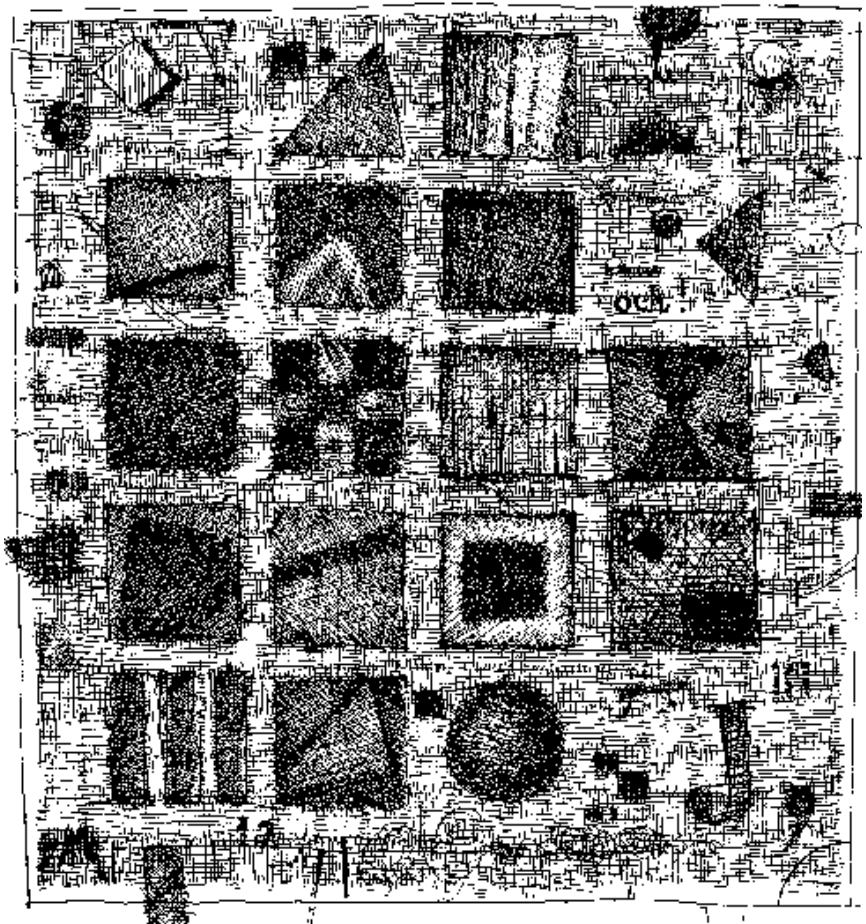
kiedy oczy otwierasz ze snu jeszcze ciężkie
masz powieki i ranek cię widzi za mgłą
przecież wiesz ja już w drodze po omacku
węszę głodnym snem więc ręce ci drżą

bo gość przecież nieproszony ale wszędzie
się wciska; oto kiedy stopą
chcesz pantofel namacać on też wszedł
i na palcach się lepi pieszczotą

więc nie wracasz do łóżka tylko bosa
szukasz żeby zaprzeczyło
lustro; nowej zmarszczki żeby potwierdziła
kratę lat

ale co to jak on przez lustro miękko
przeszedł jego deszcz kropel tyle
każdą
 kropkę
 ścierasz

nie bój się nie bój miła
przecież tak umiera



Rys. Adam Dutkiewicz

Zakochani

BEATA
TOMANEK



w Katowicach

— Wyskoczył na ulicę i zatrzymał cały ruch, samochody, nawet tramwaj! Tam na Gliwickiej. Wyobrażasz to sobie!!!

— Kto?

— Taki zwyczajny facet, siwawy już, akurat byłem przy tym. Niesamowite widowisko.

— Ale po co?

— No, jak już wszystko stanęło, na środek ulicy wyszła też już niemłoda pani, taka elegancka, loki na głowie i spokojnie zrobiła zdjęcie; najpierw jedno, potem drugie, a ruchem jak dyrygent kierował ten starszy pan.

— Komu robiła to zdjęcie, jemu?

— Nie, wyobraź sobie, że fotografowała jakiś budynek!

— Czego to ludzie nie wymyślą!

— To musi być jakaś romantyczna historia...

Ludzie na przystanku autobusowym rozmawiają o różnych sprawach. Można się czasem czegoś ciekawego nawet dowiedzieć. Tym razem uśmiechnęłam się do siebie, bo tak się złożyło, że znałam tę historię, tę oryginalną parę i wiedziałam to zdjęcie.

Dyrygentem dla kierowców na ulicy Gliwickiej w Katowicach był Ginter Pierończyk. Ruch jest tam zwykle duży, ale Ginter ma wielkie poczucie obowiązku. Taki już jest. Kiedy pracował w kopalni zdarzało mu się być w bardziej niebezpiecznych sytuacjach. „Ale mus – to

mus” – jak się chce coś zrobić dokładnie i porządnie, tak jak ma być, trzeba być gotowym na wszystko – to dewiza Pierończyka. Natomiast dama z ulicy Gliwickiej z aparatem fotograficznym w ręce to Ola Różycka, również katowiczanka. Poznali się niedawno i można powiedzieć, że połączyła ich miłość do miasta Katowice i jego historii. Ta sesja zdjęciowa w Załężu była ich pierwszą wspólną akcją. Potem odbyły się kolejne wypadki na „wizje lokalne”, konfrontacje historii ze współczesnością, zbieranie dokumentów, wywiady... A w kilka miesięcy później została ukończona w formie ebooka książka *Historia Załęża cegłą pisana*.

Fedrowanie

to jo mom we krwi od urodzenia – mówi Ginter z dumą – Ale jak siedym pokoleń robiło na grubie, to inaczej nie może być. Razem z rodziną to my pracowali na kopalni 300 lot, w tym 178 na dole. Jo, tak jak mój ojciec, fedrowolżech na Kleofasie. Na emeryturze też zech miał tako potrzeba. Więc dalej grzebia, ale już nie w ziemi, ino w dokumentach.

Ukochaną dzielnicą pana Gintera jest Załęże. Tam spędził dzieciństwo. Dzisiaj boli go serce, że dzielnica, która w przeszłości była elegancka, mieszka-

li w niej bowiem inżynierowie i urzędnicy, tak bardzo podupadła. Kiedy idzie się przez Załęże często mija się lumpów, widzi ruiny, zaniedbane, niebezpieczne kąty, i tylko uważny pieszy wypatrzy czasem jakieś resztki świetności tego miejsca – takich „strażników przeszłości”. Właśnie im poświęcona jest książka. Zaczyna się tak jak historia Załęża, od daty: 15 grudnia 1360 r. To wtedy Otton z Pilczy otrzymał potwierdzenie własności majątku myslowickiego obejmującego wsie Jażwice, Załęże, Bogucice oraz miasto Mysłówice. Potem w swojej książce Pierończyk przypomniał ważne dla tej dzielnicy miejsca, przytoczył ich historie, a Różycka skonfrontowała ich wspaniały, dawny wygląd zachowany na fotografiach, rycinach i pocztówkach z dzisiejszym. Właśnie po to, żeby uchwycić sposób kadrowania zgodny ze starymi dokumentami czasem musiały wyjść na środek ulicy. Wiele lat temu być może była w tym miejscu łąka i łatwiej było pstryknąć fotografię. Dzisiaj potrzebowała wsparcia Gintera, który odważnie wstrzymywał ruch samochodów na ulicy Gliwickiej. Warto dodać, że cytaty i wzmianki ze starych dokumentów uzupełniają mapy wybrane i opracowane specjalnie do tej publikacji przez innego pasjonata historii – Jana Gąsiora.

Dla Pierończyka jest to druga książka o Katowicach i o Załężu. Pierwszą też napisał na emeryturze. Właśnie wtedy, na krótko przed rozpoczęciem pisania, poznałam osobiście tego miłośnika historii. Był w momencie wahania i rozterek. Dręczyło go pytanie: „Czy górnik, który zna się na fedrowaniu na grubie, może zajmować się tak szlachetną dziedziną jak literatura?”. Jego odpowiedzią była publikacja *Asty kasztana*. Jest to sentymentalną opowieść o ludziach, którzy mają w pamięci „stare” Załęże. Ginter rozmawiał z mieszkańcami, których zapamiętał z dzieciństwa. Chodził od domu do domu, zachęcał do wycią-



Przewodzący audycję „Czy to prawda, że...” przedstawiali Zakochanych w Katowicach podczas spotkań w Bibliotece Śląskiej

gania z szuflad starych zdjęć, dokumentów. Słuchał, nagrywał, spisywał. Dodał własne wspomnienia. Wszystko po to, żeby przypomnieć lata wspianłości Załęża, zatrzymać w pamięci ludzi i wydarzenia, które – jak wiele spośród starych kamienic – znikają z krajobrazu bez śladu. Dzięki niemu w mojej głowie na zawsze pozostanie wspomnienie pierwszego spotkania z „Klubem Osiemnastolatków” – przyjaciół jeszcze z przedszkola, mieszkających w jednym miejscu od 70 lat. „Osiemnastolatków”, bo dziś brakuje im 18 lat do setki. Wiem, że brali udział w bitwie pod Grunwaldem jako małe dzieci. Byli za młodzi, żeby zagrać króla czy rycerzy, więc pobiegli „pod Grunwald” jako giermkowie. Tym samym wpisali się w historyczne wydarzenie otwarcia Ogrodu Jordanowskiego w Załężu w 1939 roku. Znam też wojenne losy mieszkańców kamienicy przy ul. Zamułkowej i wiem, gdzie w piwnicy znajduje się do dzisiaj schron przeciwlotniczy. To fakty już uratowane od niepamięci. Tak Ginter, górnik-emeryt, dokumentuje dzieje Załęża. I wstrzymuje tam nie tylko ruch uliczny, ale i czas, ocalony na stronach jego książek.

Ola patrzy w niebo

Głównie w to nad Katowicami. Całe swoje życie spędziła w centrum i nie wyobraża sobie zmiany. Zna tutaj każdy centymetr. Zwłaszcza w tej przestrzeni nad głowami, której przeciętni ludzie zazwyczaj nie dostrzegają. Zbyt są zapatrzeni w to, co pod nogami. A tam, gdzie krążą ptaki, czasem przysiadając na gzymsach, zwieńczeniach portali, fantazyjnych ozdobach architektonicznych toczy się równoległa do naszego życia i trwa przeszłość zaklęta w kamieniu. Każda żabka, maskaron, gargulec, twarz czy zwierzę z reliefów wołają: „Czy znasz moją historię?”. Każdy

z motywów może rozwinąć opowieść o tym, kto tu mieszkał, jak żył, jakie podejmował decyzje, czy się wprowadził, czy budował ten dom, ile miał dzieci, co zdziałał? Świat fantastycznych stworzeń, ślad twórczej inicjatywy budowniczych, właścicieli kamienic, artystów otrzymuje drugie życie na zdjęciach Oli Różyckiej. Niedostrzegane przez przechodniów detale stają się pierwszoplanowymi bohaterami. Znam takich, którzy mówią o Oli: „łowca głów”. I warto tu podkreślić, że niektóre z tych głów przepadły już na zawsze, tylko na jej fotografiach wciąż trwają dając świadectwo przeszłości. Fotografowanie detali architektonicznych, zwłaszcza głów, ludzkich i zwierzęcych jest jej pasją. Dzięki niej zobaczyłam intrygującą kamienną pszczołkę nad drzwiami jednej z kamienic przy ul. Kościuszki, którą wcześniej wielokrotnie mijałam, niczego nie dostrzegając.

Ola jest emerytowaną nauczycielką Liceum im. Adama Mickiewicza w Katowicach. Jej kronikarski nerw ujawnił się już wiele lat temu, kiedy postanowiła dokumentować losy wybitnych absolwentów tej szkoły wydając kolejne edycje ich biogramów. W ten sposób na bieżąco dopisuje do szacownej historii liceum kolejne rozdziały.

– W tym, co pozostaje z przeszłości, jest coś urzekającego – powiedziała mi kiedyś – może to, że z dni, które minęły, pozostała tylko ich uroda. Patrząc na fasady kamienic, zachwycam się detalami, fotografuję i czuję tę energię przeszłości. Ona jest już bezpieczna, niesie ze sobą tylko to, co miłe i piękne. To, co przykre, złe, smutne zostało w dziejach. Teraz z przyjemnością mogę zajmować się tym, co uważam za ważne – zaprzeczać, że Katowice są brzydkie, bez wyrazu, że architektura nieciekawa. To nieprawda, proszę spojrzeć na moje zdjęcia!

Byłam na wystawie fotografii Różyckiej, która odbywała się w Muzeum Hi-

storii Katowic pt. *Kamienne głowy*. Ciekawi katowiczanie zadawali właściwie tylko dwa pytania: „To jest naprawdę w Katowicach?”, „A gdzie to można zobaczyć?”

Ściany opowiadają historię

Dotąd słyszałam, że ściany mają Duszy. Uważałam je więc za co najmniej niebezpieczne, ale Anna Podsiadło, która również jest amatorką fotografii zakochaną w Katowicach, przekonała mnie, że nie ma powodu do obaw. Ściany, a właściwie mury opowiadają tylko swoją historię. I nie kłamią.

– Na początku zafascynowały mnie walory estetyczne kamienic zbudowanych z cegły – opowiadała o swojej pasji Ania. – Niezwykle efektowne są wzory w jakie układa się cegła klinkierowa z różnymi elementami. Na przykład na elewacji budynku przy ul. Leśny Potok są to zygzaki, łańcuszkowe oczka, na każdym piętrze ułożone w inny kolorowy wzorek. W kamienicy przy placu Miarki widoczne są motywy kwiatowe.

Rzeczywiście, kiedy spojrzę się na zdjęcia, są one tak skomponowane, że nie widać na nich budynków, tylko warianty różnych wzorów z różnych kamienic.

– Później zaczęłam odkrywać, jaka wiedza jest z nimi związana. Jakich wzorów i cegieł używali bogaci mieszczaństwo, gdzie mieszkał rzeźnik, a gdzie piekarz, jakie pomysły mieli skromni właściciele, żeby fasady ich domów prezentowały się „bogato”.

Inny pomysł na to, żeby przypominać i uzupełniać wiedzę jaka „siedzi” w starych murach miał Jerzy Czogała, kolejny zakochany w Katowicach. Kilka lat temu upowszechnił on grę miejską, w której uczestnicy odpowiadając na zadane pytania zbierali informacje



i punkty. Najpierw w poszukiwaniu opowiedzi wędrowali po Katowicach, a potem meldowali się na mecie. Pan Jurek bardzo poważnie traktował swój pomysł i misję popularyzowania wiedzy o dziejach Katowic. Do każdej gry dodawał specjalne wydanie gazety, która ukazywała się w czasach, gdy nasze miasto było jeszcze bardzo młode. Na pamiątkę przechowuję w domu „Siedem groszy”, dziennik ilustrowany dla wszystkich o wszystkim z 5 sierpnia 1936 roku. Oczywiście zawartość gazety stanowiły artykuły i wzmianki związane z charakterem gry, w tym konkretnym numerze chodziło o ślady katowickich kabaretów, kawiarni i restauracji. Pamiętam, jak Jurek zbierał materiały do tego pisemka. Poszukiwał informacji, spacerował po Katowicach, szukał starych szyldów, albo śladów po nich, prowadził swoje „śledztwa” w poszukiwaniu miejsc konkretnych, znanych niegdyś i szeroko opisywanych lokali, o których dzisiaj już prawie nikt nie pamięta. Konfrontowaliśmy archiwalne zdjęcia z dzisiejszym wyglądem ulic w poszukiwaniu miejsc gdzie ulokowane było niegdyś „Polskie Chicago”, „Mały Paryż”, działał kabaret „Trocadero”. Często próbowaliśmy zidentyfikować osoby ze starych zdjęć, które znakomicie bawiły się w modnych wówczas lokalach. Na podstawie zdobytej wiedzy, często bezpośrednio od starych katowiczian, powstawały pytania, na przykład: „W 1936 roku prezydent Katowic Adam Kocur udzielił ślubu słynnej parze światowych artystów operowych. Przyjęcie odbyło się w hotelu Monopol. Podaj nazwiska tych artystów”. Lub: „W 1906 roku ukończono rozbudowę jednego z najpiękniejszych dworców. Katowicki dworzec był wizytówką miasta. Ile restauracji znajdowało się na dworcu i jak długo były otwarte?”.

Ważne też to, czego nie ma

Młodsze pokolenie nawet nie wie, czym był Balkan, albo gdzie znajdował się Torkat – pierwsze w Polsce sztuczne lodowisko, w którym miejscu stała synagoga, gdzie był cmentarz, na którym pochowani są założyciele Katowic. Gabriel Markiewicz znajduje takie miejsca i umieszcza je na trasach swoich „spacerowników” po Katowicach. Redaguje je samodzielnie w domu. Wybiera zdjęcia, szuka materiałów źródłowych, wyszukuje informacje, skanuje, materiał drukuje i rozdaje zainteresowanym. Często właśnie w ich towarzystwie wychodzi na miasto i oprowadza. Każdy może dołączyć do grupy. Takie spacerowanie cieszą się dużym powodzeniem, zwłaszcza wśród seniorów. Ich zbiorowa pamięć wtedy ożywia się i znów przywołuje zapomniane wydarzenia, ludzi, miejsca, przeżycia. Markiewicz razem z Czogałą, założyli koło historyczne na Uniwersytecie Trzeciego

Wieku US. Szerzenie wiedzy o Katowicach, naszych dziejach, traktują jako powinność starszego pokolenia. To jednak nie znaczy, że zakochani w Katowicach są tylko starzyki. Sylwester Schweda jest zdecydowanie młodszy. Pochodzi z Murcek i tam mieszka oraz tworzy. Zaraził swoim entuzjazmem do poznawania historii rodzinnego miejsca sąsiadów, znajomych i innych mieszkańców. Podzielił zadania i każdy zdobywał wiedzę do swojego rozdziału w książce, która ukazała się w ubiegłym roku *Ach te Murcki*. Poważna publikacja. Można poczytać w niej o zapomnianych studniach, historii starych buków, dziejach tej dzielnicy Katowic, zasłużonych ludziach, legendach, wiedźmach i nimfach, ale również o górnikach, którzy „zamurkani” wracali z szczytu „do dom”. Załącznikiem do książki jest płyta CD, na której Sylwek nagrał piosenki, często do ludowych melodii, w własnymi tekstami. Czytelnik może sobie zanucić i westchnąć jak autor: „Ach te Murcki, ach te Murcki, to jest piykne miejsce, a w tych Murckach rosną buki i som coraz większe”... a potem przyjechać i je zobaczyć.

Zakochani są zdolni do wszystkiego

Nawet do obrony miejsca własnym ciałem przed wandalami. Znam osobiście takich dwóch współczesnych rycerzy, którzy w imię obrony szacunku dla przodków i miejsc uświęconych ich pracą postanowili nie spać nocami, tylko stać na straży dziedzictwa i bronić go w sytuacji bezpośredniego zagrożenia. Gerard Sacherski i Adrian Juraszczyk po przepracowaniu całego swojego życia w Hucie Metali Nieżelaznych w Szopienicach postanowili po przejściu na emeryturę pilnować mienia swojego zakładu, który również w 2002 roku po niemal 170 latach zakończył produkcję. Już wcześniej, bo w 1976 roku wstrzymano produkcję cynku metodą muflową, zwaną w Europie „metodą śląską”. Osiem obiektów huty uznano za zabytkowe. Cynk produkowano metodą elektrolizy jeszcze do 2002 roku. Wtedy dziarscy starsi panowie dwaj założyli Stowarzyszenie Na Rzecz Powstania Muzeum Hutnictwa Cynku. Postanowili ratować stare maszyny, sprzęty oraz pamięć o hucie. Zaopiekowali się i wzbogacili Izbą Tradycji w budynku dawnego Centralnego Laboratorium Chemicznego, która dzisiaj funkcjonuje jako Muzeum Hutnictwa Cynku w Katowicach Szopienicach. Na swojej stronie napisali: „Huta nasza wybudowana w 1834 roku, weszła w skład koncernu Giesche i wpisana się niewątpliwie w historię przemysłowego rozwoju Śląska i miasta Katowice. W szczytowym okresie produkcji w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku wytwarzała 200 tysięcy ton produkcji, zatrudniając ponad 5 tysięcy

pracowników. Była żywicielką wielu pokoleń mieszkańców Szopienic i okolic.”

Stefan Nendza kilka lat temu też zaskoczył mnie swoją desperacką miłością do Katowic, swojego miejsca na Ziemi. Urodził się i całe życie siedemdziesięcioletka spędził przy ul. Mariackiej, jako mieszkaniec jednej z kamienic. Wolne chwile spędzał na ławeczce nie opodal i opowiadał wszystkim zainteresowanym o dziejach tego miejsca – domów i kościoła Mariackiego. Kiedy z budynków wysiedlono lokatorów i nastąpił proces naturalnej dewastacji, Stefan codziennie zamykał okna w swojej kamienicy, ryglował drzwi i czuwał jako jej jedyny mieszkaniec. Tak robił co dzień przez kilka lat. Uchronił swój dom przed ruiną, ale przed jego remontem musiał przenieść się i zamieszkać gdzieś indziej. Walczył o miejsce w pobliżu. Udało się. Mieszka w suterenie przy Mielęckiego i może dalej zasiadać na tej samej ławeczce.

Zakochani są wśród nas

i przyciągają się nawzajem. Ryszard Liczboń, dziś mieszkający w Niemczech, który opracowuje drzewo genealogiczne Skibów i odtwarza dzieje tego słynnego rodu, wytropił w Internecie Gintera. Ola na ulicy poznała panią Anię, która skontaktowała ją z Zofią Wiczorek, zajmującą się historią katowickich i okolicznych kapliczek. Studenci Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach wykorzystują fotografie katowickich budowli, a nawet układy ulic do wzorów na tkaninach, a młoda stylistka Ilona Kanclerz organizuje pokazy mody na katowickich deptakach. Młodzi portretują w swoim stylu wybitne katowickie osobistości na muralach. Wszyscy oni zasługują na miano kronikarzy swoich czasów. Zatrzymują bowiem czas na swoich fotografiach, w artykułach, spisanych opowieściach, pamiętnikach, obrazach i przekazują swoją wiedzę innym. Tworzą zbiorowy portret Katowic i przekazują następnemu pokoleniu.

Każdy może być kronikarzem

– to przesłanie radiowej audycji pt. „Czy to prawda, że...?” emitowanej w Radiu Katowice w niedzielne poranki od 10 lat. Wszystkie zaprezentowane w artykule osoby są laureatami tej społecznej kampanii zachęcającej do dokumentowania historii swojego miejsca, wydobywania z pamięci bliskich tego, co ważne dla przyszłych pokoleń. Zakochanych w Katowicach można zobaczyć lub poznać osobiście zaglądając na strony: www.radio.katowice.pl w zakładkę „Czy to prawda, że...” oraz www.tomanek.fotonet.net.pl lub przychodząc na spotkania autorów audycji Beaty Tomanek i Bogdana Widery do Biblioteki Śląskiej.

Inny poziom tego samego położenia

Było ci nieraz dane inne rozdanie, lecz zawsze temu brakowało
Ostatniego rękawa, suchego piasku w błotnej urnie, owej końcówce rytej
Tępy gwoździem na blasze. Wynikałeś z takiej to oto matrycy, którą
Trawił piolunowy nalot, mechanizm wszak nigdy nie szwankował, dołki kopał
Tylko dreszcz, więc igrał tym luźno zarzucany spławik losu, kłykieć dymu
Smakował jak jesienny sad, i tak rozdany nie miałeś skąd na nowo się wziąć.

Skulone widma, ciekłe jak spław, przybierały postaci broniące zawsze jakichś
Dennych spraw, otwierały się kolejne wejrzenia, zamykały się przed nosem
Szkłane drzwi, w trzynastym dniu była nie tylko zmowa pecha, grasowały w nim
Kierunki przyszłych chwil, choć lubowaliśmy się w tym zaplataniu coraz to
Nowych sfer, zmieniając gwałtownie kurs o parę stopni w dół, co rusz
Wychodząc na powierzchnię danej rzeczy w masce klauna lub domowym
Ubraniu, by salwować się śmiechem, zamek błyskawiczny wprawiając w skłębione
Tła niedawnych zwad. Ludziom żyje się znośnie, są bowiem nieustannie znoszeni
W stronę ostrych, skalistych wydm, i nie liczą już zmarnowanych godzin
Czy feralnych dat, powetowawszy sobie każdy niefortunny krok wycieczką
Do miejskiej galerii – szynku swych marzeń, celów ozdrowieńczych i
Prostodusznych strat. Obejdź się sam. Ów dookolny szkwał to księżycowa

Grzywa, spieniona rynna zadyszki kostnego układu. Trenujemy wciąż przysiady
I skręty w bok. Mgławica tego wyścielonego ptasimi piórami dna, nie przedostaje
Się przez dźwiękoszczelny ekran każdego widoku, rozpełza się tylko tu, w torze
Twego wrzenia, na dachu niejednego śnienia o wyrazistej komorze wszelkiego
Odstąpienia od ścian przebijanych kołkami kłótni, by kolejna dziura niosła aż
Na koniec tunelu chyboczący się płomyk, niejaki czubek życiodajnej nadziei migotu.
Patrzyliśmy często na ten zapadający się szyb, słońce kosiło jak
Przeciąg, potem każdy troił się w trójkącie nieco zmrużonego oka, połówka
Była zawsze sieroca, stanowiła więc jedyną znaną całość tego świata, innego już
Dawno nie było, zastępował go pocztówkowy przesył obrazów skaczących na
Kanałach, trzymaliśmy się więc liny, choć tylko chodziliśmy wzdłuż domów czy
Pojedynczych bloków, potrzebnej jak tyczka cienia do wahadłowych ruchów,
Tych jedynych już, sprawdzających puls na przegubach wyrostłych krat,
By dojść do danej mety jak do linii startu. Nie wypełniaj żadnych luk, pozostaw
Je najściom mroku, niech zespoli je z ciałem miasta rzutki strzemię wszelkich

Urazów, na odchodne skropi je wiosenny deszcz, w tej kwadraturze kroków wobec
Wyzutego z kąta pochylenia muru naszych zwichrowanych trosk o jutrzejszy stan
Pobudki, zadań narzuconych sobie jak płonący wieniec, na tym kwartale bieganiny,
W tym równoramiennym podziale na zmańczonych i klarownych. Koniuszku
Tej jawy, wystawaj z nas niczym lśniący hak, ażeby mogli się uwieszać na nim
Wszyscy spragnieni stabilnej tożsamości z surową pracą zewu natury. Wiedzą
O tym zepchnięte podwórka, maskowane przepierzeniami, grodzone pierzejami,
W ciągu ujawniając swą żrącą żywotność, i jak na beczce ropy siedzi tu każdy
W pozycji usztywnionej końcem jasnej pory, która odchodząc, czyni z nich mary
Mające wciąż aspiracje do życia w prawdzie, jak po kolędzie, kiedy drzwi
Niektórych mieszkań są nieuchylone, bo prawda jest zawsze przebita jakimś
Oszczepem, i poza tym zaklinaniem wciąż osobno pomieszkuje. Kryj się tedy
Do ostatka, w tej wyprostowanej podkowie upadku dopatruj się przyczyny tego
Raptownego otwarcia na zawężony do cna przelyk każdego wyjścia. Nie ma
Innego poziomu bez tego samego położenia. Dwa kominy między dwiema wieżami.

Szlachetne powołanie

Schyłek szatranqu

(Fragment powieści, cz. I)

Izydor Spengler już jako małe dziecko czynnie opowiadał się po stronie dobra, a tym samym przeciwko złu. Pierwszą interwencję przeprowadził w kinie na burlesce o strażakach. Kiedy gruby sierżant uraczył sympatycznego bohatera dziesiątym kopniakiem, Izydor zerwał się z miejsca, podbiegł do przodu i dobytym z pochewki plastikowym mieczykiem, bez którego nigdzie się nie ruszał, ostro natarł na brutalnego gbura. „Uciekaj, Czeplinie!” – krzyczał, z dziką furią okładając ekran. Wąsaty człowieczek w meloniku rzeczywiście czmychnął, a przerażona matka oraz pracownik kina musieli się zdrowo nateżyć, zanim odciągnęli od ekranu wojowniczego czterolatka. Zgromadzona w sali dziecięca publiczność nagrodziła go spontanicznym aplauzem. Oklasków tych chłopiec nigdy nie zapomniał: na pierwsze skinienie pamięci rozbrzmiewały mu w uszach, niczym łopot olbrzymich skrzydeł niosących go ku glorii.

Matka Izydora, eksksięgowa, która spełniając marzenie swojego życia, zatrudniła się w kwaciarni, i jego ojciec, były sztangista, który porzucił sport, żeby zostać pracownikiem telekomunikacji, poznali się podczas urlopu w nadmorskim kurorcie. Ich romans rozpoczął się przed telewizorem w świetlicy domu czasowego, w której oboje spędzali większość czasu. Wkrótce po ślubie zrozumieli, że łączy ich jedynie miłość do telewizora. Okazało się to wystarczające do stworzenia harmonijnego związku: być może dlatego, że nigdy nie kłócili się o wybór kanału, z równym zainteresowaniem oglądając Jedynekę i Dwójkę. W przerwach między programami pośpiesznie omawiali bieżące tematy. Zwykle mówili równocześnie, nie kolidując ze sobą, jako że tubalny bas ojca rozlegał się w zupełnie innych rejestrach niż igielkowy dyszkant matki. Dla leżącego w kołysce Izydora głosy rodziców stanowiły dwa bieguny przestrzeni akustycznej, którą wypełniały setki różnych dźwięków. Mając pół roku, odkrył, że ich źródło stanowi telewizor, stale włączony w jadalni. Chłopiec przez długi czas sądził, że jest to czwarty, nieco inaczej skonstruowany członek rodziny, więc uśmiechał się i gaworzył do niego zapamiętale, a telewizor odpowiadał mu na swój sposób.

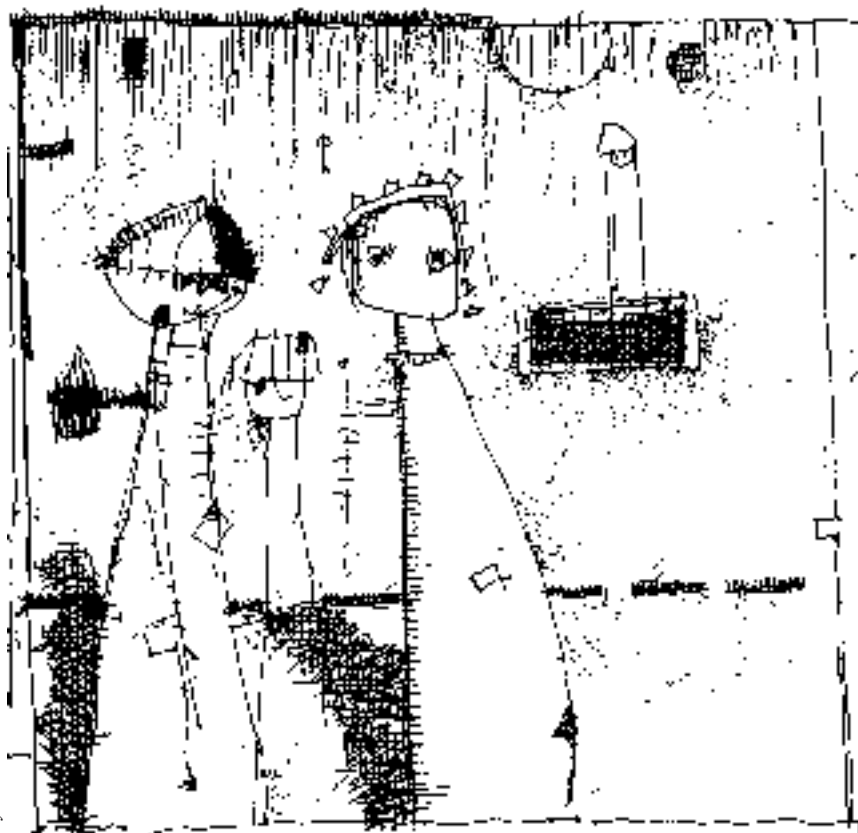
Skończywszy rok, Izydor nauczył się chodzić. Matka nie popierała tej nowej formy aktywności.

– Upadniesz i będziesz płakał – przestrzegała proroczo. – Lepiej sobie usiądź.

Prędzej czy później niemowlak przewracał się i wybuchał płaczem.

– A nie mówiłam? – wołała, biorąc go na ręce. – Nie płacz, bo się zakrzusisz – i chłopczyk krztusił się posłusznie.

Żeby ustrzec go od licznych niebezpieczeństw, matka kupiła kojec, w którym Izydor przesiedział, z przerwami na posiłki i spacer, cały następny rok.



Rys. Adam Dutkiewicz

Dzięki temu wcześniej przyswoił sobie umiejętność oglądania świata przez pręty, co miało mu się kiedyś bardzo przydać. Skończywszy dwa lata, nauczył się mówić. Odbyło się to dość nietypowo: dotąd nie mówił w ogóle nic, nagle, z dnia na dzień, umiał już powiedzieć wszystko. Natychmiast w dobitnych słowach dał wyraz swojej nienawiści do kojca. Stropiona matka zgodziła się na przedterminowe zwolnienie, lecz postawiła twardy warunek: Izydor pozostanie pod ciągłym nadzorem wynajętej opiekunki. Polecona osoba, tłustowłosa emerytka o monstualnych uszach, z miejsca wzbudziła w nim żywą odrazę. Swoje zadanie wykonywała jednak dobrze, a jej zaiste genialny słuch spełniał funkcję trzeciego, zdalnego oka. Izydor wciąż testował skuteczność tego żywego systemu alarmowego.

– Ma nie łazić po szafach – mówiła nienawistnym, monotonnym głosem, siedząc dwa pokoje dalej nad gazetą z nekrologami. – Spadnie, połamie giczoły i wylądjuje w szpitalu, a jak się wda gangrena, to może nawet na cmentarzu.

Myśli opiekunki stale krążyły wokół śmierci i grobów. Gdy chowano kogoś, kogo znała choćby ze słyszenia, brała wychodne – albo ciągnęła ze sobą Izydora, który w ten sposób bardzo wcześniej zaliczył kilka modelowych pogrzebów. Ponieważ jednak nie przejawiał zainteresowania tematyką funeralną, uważała że jest cośkolwiek niedorozwinięty. Z litości i poczucia obowiązku przytaczała mu różne pouczające egzemplia. Pracownik pobliskiej huty wpadł do kadzi z płynnym żelazem, a gdy nie dało się wyizolować roztopionych zwłok, w grobie umieszczono całą stutonową kadź. Dziewczynka pogłaskała na ulicy bezpańskiego kota i potarła sobie oczy, a wkrótce ogromne białe larwy wypchnęły jej gałki z oczodołów. Chłopiec połknął pestkę wiśni i w brzuchu wyrosło mu drzewo. – Dzięki takim dykteryjkom rzeczywistość stopniowo przesiąkała magią.

Izydor męczył się z opiekunką cały rok, tęskniąc wspominając czasy odsiadki w kojcu. Wszelkie próby zgubienia się na spacerze były błyskawicznie udaremniane przez czujną i żwawą starkę. Nadszedł jednak dzień wybawienia: chłopiec zdołał umknąć, wykorzystując moment, kiedy opiekunka zagapiła się na przejeżdżający karawan. Schował się w ciasnej, zupełnie ciemnej wnęce pod schodkami zjeżdżalni. Szukano go przez kilka godzin. W akcji wziął udział cały plac zabaw, lecz nikt nie wpadł na pomysł, żeby zajrzeć do wnęki. Izydor, wykazując godny podziwu hart ducha, przetrzymał płaczące nawoływania matki i wyszedł dopiero, kiedy wytropiła go milicjantka z latarką. Wieczorem przyznał, że ukrył się, bo nie mógł już znieść opiekunki i jej ciągłego gadania o trupach. Matka odprawiła niańkę i wzięła dwuletni urlop, uznając, że nikt nie zadba o bezpieczeństwo chłopca lepiej niż ona sama.

Przede wszystkim sprawiła mu puszonek, czyli miniaturową uprząż dla psów, którą musiał odtąd nosić na spacerach. Do puszonek przymocowana była mocna, trzymetrowa linka. Dzięki temu zestawowi wydatnie zmalało ryzyko, że Izydor gdzieś się zapodzieje albo wpadnie pod samochód. Chłopiec szybko dostosował się do sytuacji: chodził grzecznie przy nodze i prawie wcale nie ciągnął smyczy. Napotkane psy obwąchiwały go przyjaźnie. Matka nie miała tu zastrzeżeń, chroniła syna tylko przed kontaktem z innymi dziećmi, ponieważ mogły zarazić go ospą, różyczką lub świnką. Jeśli któreś zbliżyło się zanadto, przeganiała je, tupiąc i prychając jak na kota: w efekcie Izydor przeszedł wszystkie te choroby znacznie później.

Czasem całymi tygodniami nie wychodzili z domu. Matka starała się zaszczepić synowi miłość do roślin, które hodowała w kilkudziesięciu doniczkach w jadalni, w kuchni i na balkonie. Uważając kwiaty za stworzenia czujące i myślące, stawiała je w hierarchii wyżej niż zwierzęta i ludzi.

– Po co mi przyjaciółki? – mówiła. – Rośliny nigdy mnie nie zawiodą, nie oszukają, nie oplotkują. Są łagodne i cierpliwe jak anioły.

Twierdziła, że o ile celem istnienia kwiatów jest dostarczenie ludziom rozkoszy estetycznych, o tyle owoce wzięły na siebie szlachetniejszą misję służenia nam jako pokarm. Nie do wiary, ale one wręcz pragną, byśmy je zrywali i jedli. Nie ma w przyrodzie wielu przypadków podobnie wzniesłego poświęcenia. Sięga ono tak daleko, że owoce, których nikt nie chce zjeść, popadają w melancholię i umierają. Za wszystkie ich dobrodziejstwa człowiek odpłaca bezmyślnym okrucieństwem. Matka przytaczała drastyczne przykłady maltretowania owoców. Sama postanowiła stworzyć mały, prywatny raj dla roślin. Starannie myła je i pielęgnowała, jak każda dobra gospodyni, ale oprócz tego głaskała je, całowała i przemawiała do nich z czułością. Chętnie uszyłaby im zimowe wdzianka – powstrzymywała ją tylko obawa przed drwinami męża. Kochała rośliny wstydliwie i skrycie: na myśl o nich robiło jej się ciepło pod sercem. Oczywiście mały synek wywoływał w niej uczucia podobne i niemal równie intensywne.

Ojciec zaangażował się w wychowywanie Izydora, kiedy ten skończył cztery lata. Z powodu ogromnego wzrostu i tuszy jawił się chłopcu jako istny tytan. Był nieco przygłuchy, nie słuchał więc zbyt uważnie tego, co do niego mówiono, a własne kwestie wypowiadał powoli i bardzo donośnie. W rozmowach poruszał często temat ścigania złodziei miedzianego drutu, co, jak podkreślał, należało do jego służbowych obowiązków. Pracując dla przedsiębiorstwa, które ponosiło ogromne straty wskutek kradzieży kabli, stale miał do czynienia ze skutkami niecnego procederu.

– Jedno centrum dozoru w kanalizacji – mówił z namaszczeniem – drugie przy szafkach rozdzielczych, a trzecie bezpośrednio na przyłączach.

Kiedyś wziął syna do pracy, żeby pokazać mu kanalizację, szafki i przyłącza.

– Najważniejszą rzeczą jest klucz uniwersalny – tłumaczył – który otwiera wszystkie szafki rozdzielcze w mieście i nic poza nimi. Mają go tylko pracownicy telekomunikacji.

Izydor zapytał, czy i on mógłby otrzymać taki klucz.

– Najpierw musisz skończyć sześć lat i dokładnie poznać przepisy BHP.

Przed szóstymi urodzinami Izydor przypomniał ojcu o obietnicy. Nie dostał uniwersalnego klucza, chociaż przepisy miał już wtedy w małym palcu: ojciec, zamiast bajek, które uważał za niepraktyczne, regularnie czytywał mu do snu Państwowy Kodeks BHP. Ulubionym ich działem była ochrona ppoż.: po paru tygodniach wspólnej lektury Izydor cytował z pamięci całe ustępy.

Dla syna ojciec był postacią heroiczną. W rzeczywistości jego funkcja spowodowała się do spisywania protokołów z miejsc kradzieży. Nosił w sobie wielkie, nieusuwalne pokłady zgorzknienia, spowodowane tym, że jako ciężarowiec nigdy nie wygrał ważniejszych zawodów. Miał wielkiego pecha, ponieważ rozpoczął karierę równocześnie ze słynnym Bendrakowskim: startowali w tym samym klubie i w tej samej kategorii wagowej. Podczas gdy rywal rok po roku sięgał po mistrzostwo kraju, a co cztery lata jeździł na igrzyska, skąd przywiózł dwa srebrne medale, ojciec Izydora wiecznie tkwił w cieniu. Przed trzecią olimpiadą stanął wobec życiowej szansy: trenował z takim poświęceniem, że na turnieju kwalifikacyjnym uzyskał najlepszy wynik w podrzucie, wyprzedzając nawet Bendrakowskiego, który wygrał konkurs rwania. Ojciec Izydora do końca wierzył, że sędziowie i działacze, ustalający skład kadry olimpijskiej, postawią tym razem na niego, oni jednak ponownie wytypowali Bendrakowskiego. Wtedy ojciec postanowił przerwać karierę. Ogłaszając swoją decyzję na walnym zebraniu podnoszenia ciężarów, wygłosił pełną sarkazmu przemowę, zakończoną słowami: „Przebaczam,

ale nigdy nie zapomnę”. Fakt, że Bendrakowski wrócił z olimpiady bez medalu, stanowił drobną, absolutnie niewystarczającą pociechę.

Wkrótce po rozstaniu ze sportem ojciec Izydora popadł w łagodny piwny alkoholizm, wskutek czego solidnie się rozżył. Przesiadawał całe godziny nad kuflem, wpatrując się w przypadkowego interlokutora i co pewien czas wzdychając: „Wiecznie drugi. A mogłem pojechać do Tokio”. Z rzadka udawało mu się zainteresować kogoś tematem. Potrafił godzinami analizować swoje atuty (siła rąk) i braki (słabsze nogi) oraz braki Bendrakowskiego (arogancja), którego atuty, powszechnie znane i przypieczętowane wieloma sukcesami, nie wymagały bliższego omawiania. Wypowiadając nazwisko rywala, ojciec nie umiał powstrzymać bolesnego grymasu. W miarę upływu lat uraza, jaką żywił wobec trenerów i działaczy, okrzepła i zatraciła pierwotną dynamikę. Podświadomie był im nawet wdzięczny, bo krzywdząc go, sprawili, że życie stało się dla niego nagle zrozumiałe, z czym wcześniej miewał problem.

Chociaż Izydor wiedział już, że telewizor nie jest żywą istotą, nadal uważał go za autorytet i wyrocznik w wielu kwestiach. Telewizor surowo piętnował przestępstwa popełniane przez różnych łotrów, takich jak prywaciarze czy skorpumpowani dyrektorzy. Na szczęście istniały też postacie pozytywne. W czołówce oficjalnych rankingów znajdowali się milicjanci, którzy ofiarnie ścigali przestępców, oraz urzędnicy skarbowi wlepiający złoczyńcom domiar (zapewne rodzaj chłosty). Tak oto matka, ojciec i telewizor, przy nieznanym udziale opiekunki, wpoili chłopcu fundamenty moralności. Na początku panował w tym względzie pewien chaos: złodzieje kabli szli ramię w ramię z oprawcami roślin, prywaciarz przepijał do dyrektora, a uzbrojony w lizak do kierowania ruchem ormowiec spuszczał im wszystkim domiar na gołe tyłki. Chcąc usystematyzować ten etyczny rozgardiasz, pięcioletni Izydor wziął gruby zeszyt, podzielił strony na dwie rubryki i zaczął sporządzać listę dobrych i złych elementów rzeczywistości. Wówczas wierzył jeszcze, że świat jest w swej substancji dobry, zło zaś stanowi jedynie szkodliwy naddatek, jak gdyby ontologiczny liszaj, możliwy do usunięcia odpowiednimi środkami. Wyjątek stanowili Niemcy, których zło było immanentne i nieuleczalne (co do tego zgadzały się ze sobą wszystkie filmy, tak wschodnie, jak i zachodnie), ale na szczęście mieszkali oni daleko, bo aż za granicą.

Skoro tylko jego życie zostało ujęte w karby regulujących norm, zapragnął obdzielić innych zdobytą wiedzą. Ujrawszy w parku dwóch braci, którzy skakali z mocno rozbujanymi huśtawkami, Izydor stanął przed nimi i wygłosił obszerną pogadankę na temat nieroztropności takiej zabawy. Huśtawkę w ogóle nie należy użytkować na stojąco: można się ześlizgnąć, spaść i boleśnie potłuc, a poza tym brudzi się butami siedząco ze szkodą dla czystości spodenek kolejnych użytkowników. Zeskakiwanie niesie za sobą szereg poważnych zagrożeń: można połamać nogi i żebra, doznać wstrząśnienia mózgu lub okaleczyć dziecko przechodzące akurat przy huśtawce. No i poza wszystkim to zły przykład dla młodszych.

Bracia z ciekawością wysłuchali przemowy, po czym zaraz wznowili skoki. Izydor, przekonawszy się, że interwencje bezpośrednie nie są zbyt skuteczne, postanowił zainicjować krzewienie cnót obywatelskich za pomocą własnoręcznie rysowanych plakatów. Sposobność przedstawienia ich światu nadarzyła się pewnej soboty, kiedy Izydor został sam w domu i łamiąc zakaz matki, wyszedł na balkon. Przez moment przyglądał się chłopakom biegającym po podwórku za piłką, następnie poinformował ich, że nie powinni kopać jej tak mocno, bo mogą stłuc szyję, co w rażący sposób uchybiłoby przepisom BHP. Piłkarze, otrząsnąwszy się ze zdziwienia, powiedzieli, że coś-tam z tego i że Izydor ma się coś-tam, bo inaczej oni przyjdą do niego i zrobią coś-tam (nie rozumiał połowy słów, któ-

rych używali). Izydor odparł na to, że chętnie ich zaprosi. Chłopcy przestali grać, a jeden z nich zapytał, czy starych nie ma w chacie. Izydor domyślił się, że chodzi o rodziców, i skinął głową. Po chwili, łamiąc kolejny zakaz, tak surowy i zarazem oczywisty, że nigdy niesformułowany, wpuścił czterech umorusanych piłkarzy do mieszkania.

– Muszę wam coś pokazać – powiedział.

Zaprowadziwszy ich do swojego pokoju, z dumą zaprezentował najnowszy plakat:

**BOLI CIĘ GŁOWA?
ZAMIĄST ŁYKAĆ TABLETKĘ
WYJDŹ NA SPACER!**

Chłopcy przez chwilę bez zrozumienia patrzyli na narysowanego kredką krasnoludka, toczącego przed sobą dużą, przekreśloną tabletkę, potem porozglądali się po mieszkaniu. Pierwszy przetrząsnął lodówkę i wyjadł palcem dżem ze słoika, drugi wysypał sportowe medale ojca, najbardziej błyszcząco chowając do kieszeni, trzeci wylał na siebie flakonik perfum, a czwarty pożarł karłowate pomidorki pieczolowicie hodowane przez matkę. Izydor z niepokojem przyglądał się poczynaniom gości, ale nie chcąc okazać się nieuprzejmy, wyjątkowo powstrzymał się od uwag i przestróg. Kiedy rozległ się zgrzyt klucza w zamku, chłopcy błyskawicznie pobiegli do przedpokoju i wtoczyli się do szafy. Byli pewni, że Izydor postąpi w tej sytuacji zgodnie z przyjętymi procedurami i zdrowym rozsądkiem, to znaczy, odwróciwszy uwagę matki, wypuści ich z mieszkania. Stało się jednak inaczej, bo matka natychmiast spostrzegła ślady zbytej obecności i kategorycznie zażądała wyjaśnień. Izydor zamachał ręką na znak, że wszystko jest w porządku.

– Odwiedzili mnie czterej nowi przyjaciele – oświadczył z dumą.

Matka osłupiała. Nie umiała zaakceptować potwornego faktu, że jakieś obce, szkodnicze istnienia buszowały po najświętszym przybytku jej domu, udzieliła więc synowi ostrej reprimendy. Zakończyła stwierdzeniem, że nie może być mowy o przyjaciółach w odniesieniu do indywidualności, które zostawiają po sobie taki bałagan. Izydor roześmiał się na to radośnie i zawołał:

– Ależ mamo, oni jeszcze nie wyszli: dla zabawy schowali się w szafie.

Po powrocie ojca i oszacowaniu strat – w pokoju jadalnym odbył się rodzicielski sąd nad Izydorem. Uznawszy, że ojciec ma rękę za ciężką, a matka – za lekką, podsądnemu darowano lanie i ukarano go zamknięciem na godzinę w szafie – tej samej, z której nieco wcześniej matka, dobywając niemilosiernie wysokich tonów, wypędziła jego czterech nowych przyjaciół.

Kara okazała się chybiona, ponieważ w ciemnej szafie Izydor czuł się doskonale. Był tam sam ze sobą, i to tak, jak nigdy dotąd – może z wyjątkiem trzech godzin spędzonych kiedyś pod zjeżdżalnią. Miał poczucie pełnego zintegrowania z czasem i przestrzenią. Po upływie godziny, która zdawała się krótsza niż minuta i zarazem dłuższa niż miesiąc, odmówił opuszczenia szafy, skąd matka musiała wywabić go drożdżówką.

Od tamtego dnia żadne ostrzeżenia ani zakazy nie mogły zatrzymać go w domu. (odn.)

Marek Szalsza (ur. 1967 w Zabrze), pisarz i tłumacz. Dzieciństwo spędził w Katowicach i Gdańsku, mieszkał w Wiedniu, obecnie w Sopocie. Publikował opowiadania w czasopiśmie i antologiach.

Schylek szatragu to jego pierwsza powieść, nagrodzona w Konkursie Literackim Miasta Gdańska im. Bolesława Faca, która ukaże się w październiku 2015 roku nakładem Wydawnictwa w Podwórku.



Stoją w górnym rzędzie, od lewej: Jacek Sykora – prasa lokalna, Stanisław Szymański – wolny strzelec, Zdzisław Kempa – „Wiadomości Zagłębia”, Józef Makal – „Dziennik Zachodni”, Czesław Zieliński – „Panorama”, Stanisław Gadomski – „Trybuna Robotnicza”, w dolnym rzędzie, od lewej: Stanisław Jakubowski – CAF, Włodzimierz Wawrzyńkiewicz – „Trybuna Robotnicza”, Kazimierz Seko – CAF, Józef Wróbel – „Panorama” i nad nim Andrzej Sawa – wolny strzelec.

Śląscy fotoreporterzy należeli i nadal należą do czołówki. Zdjęcia Stanisława Gadomskiego (zmarł w 2013 r.), Ryszarda D’Antoniego, Bolesława Dymińskiego, Stanisława Jakubowskiego, Bogdana Kułakowskiego, Jerzego Lewczyńskiego, Józefa Makala, Władysława „Otką” Morawskiego (zmarł w 2015 r.), Jacka Tomeczka, Zygmunta Wieczorka, Józefa Wróbla... przez dziesiątki lat zdobyły (i czynią to nadal) śląskie dzienniki i czasopisma (m.in. Trybunę Robotniczą, Dziennik Zachodni, Panorama, Wieczór).
**Wiele z tych fotografii zdobyło najwyższe laury, łącznie ze Złotym Medalem na „World Press Photo”.
 Legendy śląskiej fotografii prasowej stały się bohaterami książki przedstawiciela młodszego pokolenia fotoreporterów Arkadiusza Goli, zatytułowanej *Poziom na dwa łamy. Śląska fotografia prasowa w „Trybunie Robotniczej” i „Dzienniku Zachodnim” 1960-1989.* (Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, 2015). W bogatych zbiorach fotografii Centralnej Agencji Fotograficznej dzieła „naszych” fotoreporterów zajmują poczesne miejsce. Na łamach „Śląska” gościmy ich często i czynimy to z wielką dumą.**



Fotoreporter przy tym był

ARKADIUSZ
GOLA

Praca fotoreportera w dużej redakcji prasowej była moim marzeniem od kiedy zacząłem się zastanawiać nad wyborem zawodu, po skończeniu szkoły podstawowej. Fotografia, to moja pasja i chyba najbardziej pożyteczne uzależnienie, jakie moim życiem zawładnęło. Na początku lat 90. zacząłem pracę najpierw dla „Głosu Zabrza i Rudy Śląskiej”, a potem dla „Dziennika Zachodniego”. Spotkałem w tych redakcjach starszych kolegów, którzy zyczliwie przyjęli mnie do hermetycznego grona fotoreporterów prasowych. Kilka lat wspólnej pracy zaowocowało przyjaźniami wykraczającymi daleko poza zawodowe kontakty. Kiedy fotoreporterska sztafeta przesunęła się o następne pokolenie, mimo emerytur niektórych ko-

legów, częsty kontakt z nimi nie stanowił żadnego problemu. To ludzie, od których miałem okazję wiele nauczyć się i zawsze mogłem na nich liczyć, gdy najbardziej tego potrzebowałem. Teraz, kiedy w redakcji zająłem ich miejsce, staram się postępować podobnie. Praca z nimi w jednym pokoju i ciemni fotograficznej dzień w dzień, od rana do wieczora, sprzyjała wspólnym rozmowom, anegdotom i wymianie doświadczeń w zawodzie tak nietuzinkowym jak fotoreporter.

Z perspektywy czasu uważam ten okres za wyjątkowo interesujący i to skłoniło mnie do napisania pracy magisterskiej właśnie na temat historii fotografii prasowej w latach 1960–1989 w dwóch największych dziennikach re-



Powódź w Beskidzie Żywieckim

gionalnych „Trybunie Robotniczej” i „Dzienniku Zachodnim”. Zawsze było mi żal ulotności rozmów i zebranych doświadczeń od starszych fotoreporterów. Pamięć ludzka jest często zawodna i krótka, a w dzisiejszym pędzącym świecie mediów już nawet nie liczy się to, co dzisiaj, ale to, co przed nami. Dlatego trochę z sentymentu do czasów, gdy zdjęcia najpierw trzeba było wywołać, a potem wydrukować, żeby czytelnik mógł je następnego dnia zobaczyć, a o internecie nikomu się nawet nie śniło, postanowiłem napisać o śląskiej pra-

sie. Praktycznie na rynku nie ma na ten temat gotowych opracowań, na których mógłbym się oprzeć, stąd książka „Poziom na dwa łamy”. Powstała ona na podstawie mojej pracy magisterskiej, składa się głównie z rozmów z fotoreporterami pracującymi w tamtych latach w tych dwóch największych dziennikach w regionie. Zbierając materiały spotykałem się z uwagami, że pewne zdarzenia miały inny przebieg niż przedstawili poprzednicy. Myślę jednak, że tę samą sytuację różnie mogą postrzegać i o niej opowiadać dwie osoby, któ-

re brały w niej udział. Nawet jeśli w tej danej chwili stały obok siebie. Wszystkie opinie w udzielonych wywiadach uważam za prawdziwe, ponieważ każdy ma prawo do przeżywania, postrzegania i odczuwania tych sytuacji indywidualnie, zgodnie ze swoim sumieniem.

Patrząc z perspektywy ponad trzydziestu lat, biorąc pod uwagę zmianę stroju, można teraz zastanawiać się czego było za mało, a czego za dużo w pracy fotoreporterów. Po zebraniu materiału do tej publikacji sądzę, że jest jedna kluczowa, wspólna idea, która przyświecała bez wyjątku wszystkim. Każdy z fotoreporterów pracując z aparatem w ręce starał się maksymalnie wykorzystać swój talent i pasję, bo chodziło tylko o jedno – dobre zdjęcie. Fotoreporter powinien rozglądać się wokół siebie i obserwować otaczający go świat. Wszyscy moi starsi koledzy tacy właśnie byli. Ciekawi świata, którego obraz starali się uwiecznić na miarę swoich umiejętności i zainteresowań. Podobnie, jak my wszyscy robimy to dzisiaj.

Pisząc tekst do książki żałowałem, że wielu z nich „twórczo nie wykorzystało” wydarzeń stanu wojennego i tych, które po nim nastąpiły, tak ważnych dla dzisiejszej Polski. Miałem nadzieję, że poza fotografowaniem dygnitarzy partyjnych ulegali także pokusie wejścia z aparatem np. do ciasnego mieszkanka wielodzietnej rodziny lub poruszali inny socjologiczny temat. Zazwyczaj tak się nie działo. Daleki jednak jestem



Józef Makal



Wizyta papieża

od krytyki, czy wytykania im błędów. Przeżyli swój zawodowy czas najlepiej jak potrafili. Byli świadkami zarówno ciekawych wydarzeń naszej historii, jak i też tych mrocznych.

Fotoreporterzy pracujący dzisiaj dla prasy zderzają się z inną rzeczywistością i innymi problemami. Mimo że daleko nam do realiów lat 60., 70. i 80., na pewno popełniłmy i popełniamy błędy bagatelizując, czy wprost nie zauważając ważnych dla przyszłych pokoleń problemów. Pomimo różnych czasów, w których przyszło nam żyć i pracować, odpowiedzialność za utrzymanie rodziny oraz pomoc koleżeńska i współpraca nadal są aktualne. Wielu moich starszych kolegów podczas swojego zawodowego życia nie organizowało wystaw, czy prezentacji swoich fotografii, przez co niestety nie pozycjonowali swoich najważniejszych tematów. Brak takiego wizualnego określenia danego twórcy często spycha jego pojedyncze znakomite zdjęcia, które giną w powodzi przeciętnych ilustracji robionych rzemieślniczo do codziennych gazet. Przykładem są zdjęcia z pochodów pierwszomajowych. Aktualnie nie ma dla mnie znaczenia czy zdjęcie przedstawia pochód w 1971, 1972, czy 1975 roku. Ważniejszy jest indywidualny, ciekawy sposób pokazania tego tematu. Wcześniej dominowało dosyć krótkie, najwyżej kilkudniowe myślenie o zrobionych zdjęciach. Istotniejsze było to, co dzisiaj, tu i teraz, trwające naj-

częściej do wydania numeru gazety, czyli do jutra. Następnego dnia były już nowe zlecenia i nowa gazeta.

Niestety w wielu przypadkach tak jest i teraz. Wczorajsza praca ma wartość negatywu zwiniętego w szafie, czy jeszcze jednego folderu na twardym dysku. Szerza skala wypowiedzi to było coś, czego z dzisiejszej perspektywy bardzo brakowało fotoreporterom, którzy nie przywiązywali do niej dużej wagi. Żeby pójść o krok dalej w tym, co robimy trzeba było wtedy i trzeba dzisiaj większej samodyscypliny i indywidualnego zaangażowania. Poświęcenia dodatkowego, przeważnie wolnego czasu, niestety często zabranego rodzinie, na to żeby zgłębić temat i sfotografować go jeszcze dokładniej niż oczekuje tego gazeta. Nasze ambicje powinny być zawsze większe niż potrzeby prasy.

Inaczej było w Związku Polskich Artystów Fotografików, tam górowały fotograficzne wypowiedzi autorskie realizowane latami i finalnie spajane w wystawy, czy albumy. Oba środowiska specjalnie wtedy za sobą nie przepadały, Uważam, że gdyby wówczas doszło między nimi

do większego porozumienia odbiłoby się to korzystnie na fotografii dokumentalnej i prasowej w regionie. Prawie wszyscy fotoreporterzy lat 60. – 80. byli samoukami, bywało, że później już w trakcie pracy doksztalcali się na kursach. Współcześnie działa wiele uczelni państwowych i prywatnych kształcących w kierunku fotografii. Mimo to, bardzo ważna w wyszkoleniu fotoreportera jest praktyka. Bohaterzy mojej publikacji zawsze podkreślali ogromną wagę umiejętności i wiedzy jaką zdobyli od swoich poprzedników.



Bogdan Kulakowski



Gomółka i Gierek

W latach, o których piszę dominowały dwie duże rewolucje: polityczna i technologiczna. Właściwie obie nałożyły się w czasie. Najpierw doszło do powstania i zrywu „Solidarności”, który to ruch społeczny doprowadził do obalenia komunizmu, a w naszym polskim przypadku tak zwanego realnego socjalizmu. Odzyskanie przez Polskę wolności zbiegło się z niezwykłym, jak dotąd, rozwojem światowych technologii. Zaczęły pojawiać się pierwsze komputery, co diametralnie zmieniło pracę w mediach. W latach 90., zaraz po trans-

formacji ustrojowej, odnoszono się z pogardą do wszystkiego, co było naznaczone propagandą socjalistycznego systemu, w tym również do fotografii. Uchodziła ona za kiepską, nieprawdziwą i bezwartościową. Niesłusznie, gdyż bez względu na powody jej powstania z pewnością pozostaje świadectwem swoich czasów. Od kilku lat jednak wraca do łask, jako swego rodzaju fotosocrealizm. Powstają ciekawe wydawnictwa albumowe, jak „Marzenia z betonu”, „802 procent normy, pierwsze lata Nowej Huty”, czy „Zakazane zdjęcia”, wydane przez Polską Agencję Prasową. Oddając tę publikację, pomimo wszelkich starań, jakie dołożyłem do jej napisania, jestem świadomy, że liczba wydażeń dotyczących fotografii prasowej na Śląsku na przestrzeni trzydziestolecia, jakie opisują była znacznie większa.

Pamięć czasu minionego (choćby to było wczoraj) jest wartością nadrzędną nie tylko dla fotoreportera, czy dokumentalisty, to historia konkretnych ludzi zatrzymana w kadrze. W zdjęciach są często ukryte swoistego rodzaju kody (przesłanie,

podtekst, symbol), które w ułamku sekundy tłumaczą czytelnikowi skomplikowaną sytuację. To międzynarodowy sposób wypowiedzi wizualnej, stoi ponad wszystkimi innymi metodami komunikacji. Siła oddziaływania obrazu na wrażliwego człowieka w różnych częściach świata będzie taka sama. Współczucie, gniew, czy radość to stany emocjonalne, jakie może wywołać fotografia prasowa. Jest to obraz za pomocą, którego człowiek może wyciągać wnioski i formułować sądy. Siła fotoreportera tkwi w świadomości mocy wizualnego oddziaływania na odbiorcę. Codziennie na świecie powstają miliony przeróżnych zdjęć. Odnoszę wrażenie, że prawie wszystkie są dostępne w Internecie, gdzie gubią się w swej masie. Współczesny świat zalał potok podobnych obrazów, w których autorzy chcą zwrócić uwagę odbiorcy jedynie na uwiecznioną chwilę, bez głębszej refleksji. Większość z nich to zdjęcia zupełnie przypadkowe, nieciekawe. Ilustracje publikowane często na portalach społecznościowych mają obrazować ułamek dnia codziennego człowieka żyjącego tu i teraz.

Na początku tego typu „mało istotne obrazki” nudziły mnie i uważałem je za zupełnie bezwartościowe. Wyrosłem w środowisku fotoreporterów prasowych starszego pokolenia, dla których sprawą niedopuszczalną było „marnowanie” klamek filmu na trywialne tematy. Z biegiem czasu powstała w mojej glo-



Władysław Morawski



Zygmunt Wieczorek



Jacek Tomczek



Ryszard D'Antoni

wie hierarchia wagi tematów, a co za tym idzie i zdjęć.

Teraz tak samo ważne jest dla mnie zdjęcie z otwarcia głównej inwestycji w mieście w epoce Gierka, jak i fotografia ukazująca posiłek robotnika, który to budował. Zbierając materiały dotyczące uwieczniania rzeczywistości lat minionych przez fotoreporterów „Dziennika Zachodniego” i „Trybuny Robotniczej”, zdałem sobie sprawę z wagi każdego dokumentu, nawet takiego, który kiedyś uważałem za pozornie błahy i nieistotny. Zebrane i zamieszczone w książce „Poziom na dwa łamy” materiały dotyczą nie tylko kluczowych wydarzeń w życiu regionu, można też dowiedzieć się z nich jak żyli zwykli ludzie w latach 60., 70. i 80. XX wieku. Należy jednak pamiętać, że media w tamtym czasie posiadały dużą dawkę propagandy politycznej. Żeby zrozumieć pracę fotoreportera dla najważniejszych tytułów prasowych w Polsce Ludowej

trzeba poznać merytoryczne granice publikacji, a tym samym zakodowany w nich ideologiczny wpływ na odbiorcę. Wielką przyjemność sprawiło mi nie tylko oglądanie fotografii moich starszych kolegów, ale przede wszystkim rozmowy z nimi, poznawanie mechanizmów funkcjonowania tego środowiska i całej prasowej maszyny w czasach, kiedy przyszedłem na świat.

Współcześnie różne środowiska mają w zwyczaju deprecjonować to, co było związane z epoką Gomułki, a potem Gierka. W mojej opinii niesłusznie. Po głębszej analizie tamtych lat, chociażby tylko z punktu widzenia fotografii prasowej, ukazuje się cały wachlarz fascynujących sytuacji, składających się na opowieść o życiu w minionej epoce. Ciekawie podsumował to Andrzej Batur (fotoreporter tygodnika ITD), wspominając działalność swoją, oraz kolegów w latach 70.

To były takie dawne czasy, że wydają się nierealne. Nie było wolnej prasy, ale udało nam się stworzyć krąg wolnych fotoreporterów. Lata siedemdziesiąte to był okres naszej młodości i absolutnego zafascynowania fotografią prasową, rozumianą jako wspaniała możliwość komentowania rzeczywistości i pokazywania jej nieoficjalnego oblicza. Nie chodziło o robienie pod czyjeś dyktando tzw. klatek, będących jedynie dodatkiem ilustracyjnym do obszernego tekstu. Tu szło o w pełni samodzielną, wielokolumnową fotograficzną wypowiedź publicystyczną.

Pragnę nadmienić, że książkę tę mogłem napisać przede wszystkim dzięki fotoreporterom, którzy podzielili się swoimi wspomnieniami i doświadczeniami z lat, kiedy pracowali w śląskiej prasie. Jestem wdzięczny wszystkim moim kolegom, którzy zechcieli się ze mną spotkać, niedawno zmarłym Stanisławowi Gadomskiemu i Władysławowi Morawskiemu oraz Ryszardowi D'Antoniemu, Bolesławowi Dymiń-

skiemu, Stanisławowi Jakubowskiemu, Bogdanowi Kułakowskiemu, Jerzemu Lewczyńskiemu, Józefowi Makalowi, Jackowi Tomczkowi, Zygmuntowi Wieczorkowi i Józefowi Wróblowi – za poświęcony czas i cierpliwość.

Arkadiusz Gola



Fot. Agnieszka Gola

Absolwent Instytutu Kreatywnej Fotografii Uniwersytetu Śląskiego w Opawie (Czechy). Zajmuje się fotografią dokumentalną, głównie rejestrując zmiany zachodzące w społeczeństwie na Górnym Śląsku po 1989 roku. Od 1991 r. pracuje jako fotoreporter prasowy, od 19 lat w redakcji „Dziennika Zachodniego” w Katowicach. Zdobył nagrody w konkursach: Polskiej Fotografii Prasowej, BZ WBK Pressfoto, Śląskiej Fotografii Prasowej, Grand Press Photo. Stypendysta Marszałka Województwa Śląskiego w dziedzinie kultury. Jego zdjęcia znajdują się w zbiorach Muzeum Śląskiego, Muzeum Historii Katowic, Muzeum Miejskiego w Zabrze, Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzu, Muzeum Historii Fotografii w Krakowie, Muzeum Umeni w Ołomuńcu. Jest członkiem ZPAF. Autor książki „Poziom na dwa łamy”. Historia fotografii prasowej w Dzienniku Zachodnim i Trybunie Robotniczej 1960–1989, oraz albumów „Ludzie z węgla”, „Nie muszę wracać...” i „Stany graniczne”. Wystawy w kraju i za granicą (Czechy, Francja, Niemcy, Belgia, Słowacja). Mieszka w Zabrzu.



Stanisław Gadomski



Katowice

Józefa Ligęzy

BOGDAN WIDERA

Wydaje mi się, że z autorem nigdy nie poznaliśmy się osobiście. To znaczy – pewnie mijaliśmy się wiele razy podczas jakichś fotograficznych wystaw czy innych kulturalnych imprez, ale nie pamiętam, żebyśmy kiedykolwiek rozmawiali „twarzą w twarz”. Bardzo dobrze znałem natomiast jego zdjęcia i kojarzę także jego głos, bo odbyliśmy kilka rozmów telefonicznych, co było okazją do wyrażenia mu swojego wielkiego uznania za to, co na swoich fotografiach potrafił widzom opowiedzieć. Nie piszę „uwiecznić”, „zatrzymać w czasie”, „zamknąć w kadrze”, czy „artystycznie pokazać”, bo dla mnie fotografie Ligęzy są zawsze narracją, opowiadaniem właśnie. Czasem nie znamy początku historii, którą chce nam przekazać, czasem znany zakończenie, ale możemy oglądać jedynie moment, fragment jakiegoś dziania się, które będzie się nadal rozgrywać. Myślę, że fotograf jest tego świadomy i chyba dlatego zatytułował jeden ze swoich albumów (mój ulubiony) *Katowice c.d.n.*

Najnowsza księga jego zdjęć *Katowice. Miasto i ludzie z historią w tle* przeleżała na mojej półce kilka ładnych miesięcy, ale postanowiłem, że jej omówienie zostawię sobie na uroczystą okazję – 150 urodziny stolicy województwa śląskiego. To bardzo piękny prezent artysty na tę okrągłą rocznicę, ale też świetny podarunek dla katowiczian, którzy trochę czasu w swoim mieście przeżyli, i teraz ze wzruszeniem patrzą na fotografie, na których mogą odnaleźć swoje młode (i stare) lata. Podejrzewam, że katowickich fotek starczyłoby Ligęzie na wielotomową publikację, dokumentującą niemal każdy zakątek, każdą ulicę, każde ważniejsze wydarzenie, które na przestrzeni ponad pół wieku tu się rozegrało. Pojedyncze wydawnictwa mają jednak ograniczoną pojemność, w albumie mieści się jedynie wybór obrazów uznanych przez autora za najważniejsze. To tylko my, subiektywnie patrzący odbiorcy, żałujemy, że w cyklu, który nas najbardziej dotyka, przywołuje najważniejsze wspomnienia, prosi się o więcej szczegółów, nie ma tych foto-

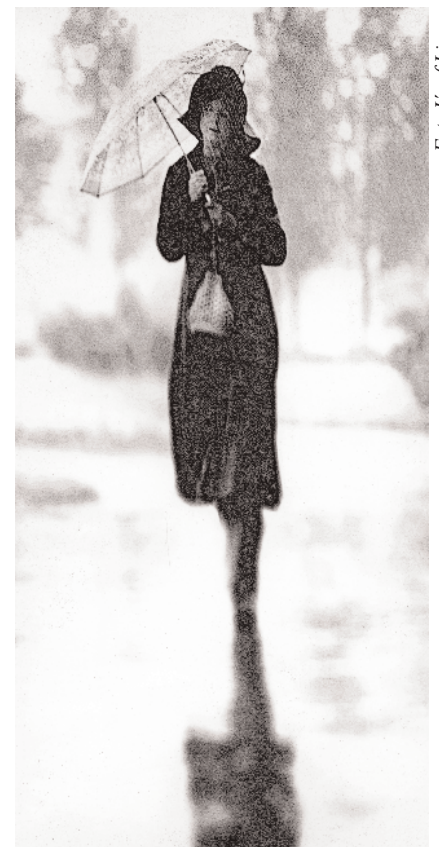
grafii (albo tylko widoków podsuwanych nam przez wyobraźnię) więcej.

W albumie znajdziemy obraz Katowic, ale nie jest to portret całego miasta, tylko jego wybranych miejsc. Ligęza konfrontuje na swoich zdjęciach przeszłość z dniem dzisiejszym; tak wyglądała ta ulica kiedyś, a tak się zmieniła, znikły te budynki, na ich miejscu powstało coś innego, nowoczesnego. Fotografia z założenia pokazuje rzeczywistość, zapisaną – jak to zostało wyrażone tytułem głośnego filmu – „chłodnym okiem”. To jednak nie do końca prawda, bo przecież już wybór fotografowanych obiektów obiektywny nie jest. Myślę, że artysta ma sporo sentymentu do dawnych Katowic, dlatego dokładnie rejestrował stopniową zagładę pozostałości po historycznej hucie „Marta”, wyburzenie młyna, od którego nazwę wzięła ulica Młyńska, też w części wysadzona w powietrze. Dobrze pamiętam ten moment, który jako nastolatek oglądałem na własne oczy z balkonu kamienicy przy ul. Kochanowskiego 2. Władze miejskie poleciły mieszkańcom domów sąsiadujących z wyburzeniami naklejanie na szybach okien używanej wówczas papierowej taśmy z klejem, który... no, ładnie to on nie pachniał. Miało to ustrzec przed masowym pękaniem i wylatywaniem okiennego szkła. Bardzo byłem rozcieszony, bo spodziewałem się jakiegoś pirotechnicznego spektaklu, kiedy bez większego huku, bez fruwających w wyniku eksplozji cegieł, dachówek i gzymsów, te domy po prostu zapadały się w siebie... Znikały jednak nie tylko „zabytki historyczne”, czyli to, co w Katowicach dla mnie istniało „od zawsze”. Okazało się, że również to, co powstawało na moich oczach i to zdawałoby się niedawno, „przechodzi do historii”. Dworzec zwany nowym – to już, ku żalowi wielu historyków sztuki – przeszłość (paradoksalnie „stary dworzec” jeszcze się trzyma, choć coraz bardziej podupada). Nowoczesny niegdyś Pałac Ślubów znikł, a jego rolę przejął wybudowany dawno temu pałacyk Goldsteinów. Nieistniejące znaki Katowic zostały już tylko na zdjęciach.

Józef Ligęza jest fotografem niekonsekwentnym i za to bardzo go cenię. Uprawia fotografię prasową, taką klasyczną „fotoreporterkę”, ale – choćby w pokazywaniu architektury – jawi się jako artysta, który daje widzowi przemyślaną kompozycję (np. jego zdjęcie Superjednostki zrobione z Hapeerowca to czysta grafika). Można go nazwać „portrecistą kultury” (np. od początku towarzyszył budowie Muzeum Śląskiego). Bywa poetą, świadczy o tym choćby zdjęcie kobiety spacerującej w deszczu. To dobry moment, żeby wspomnieć, iż jego album to nie tylko miejskie mury, ale – co zapowiada tytuł – także ludzie. Młodzi, starzy i dzieci. Robotnicy na budowie (w podpisach często wymienieni z nazwiska), katowicki oryginał zwany „białym aniołem”, rozbawione dziewczyny przy słynnej żabie z fontanny przy ul. Stawowej, najmłodszy katowiczanie dopiero wkraczający w historię miasta. I leż opowieści zarejestrowanych w kadrach.

Wstęp do tego pięknego albumu napisała Ewa Marcinek a autorem projektu graficznego publikacji jest Wojciech Smolarski.

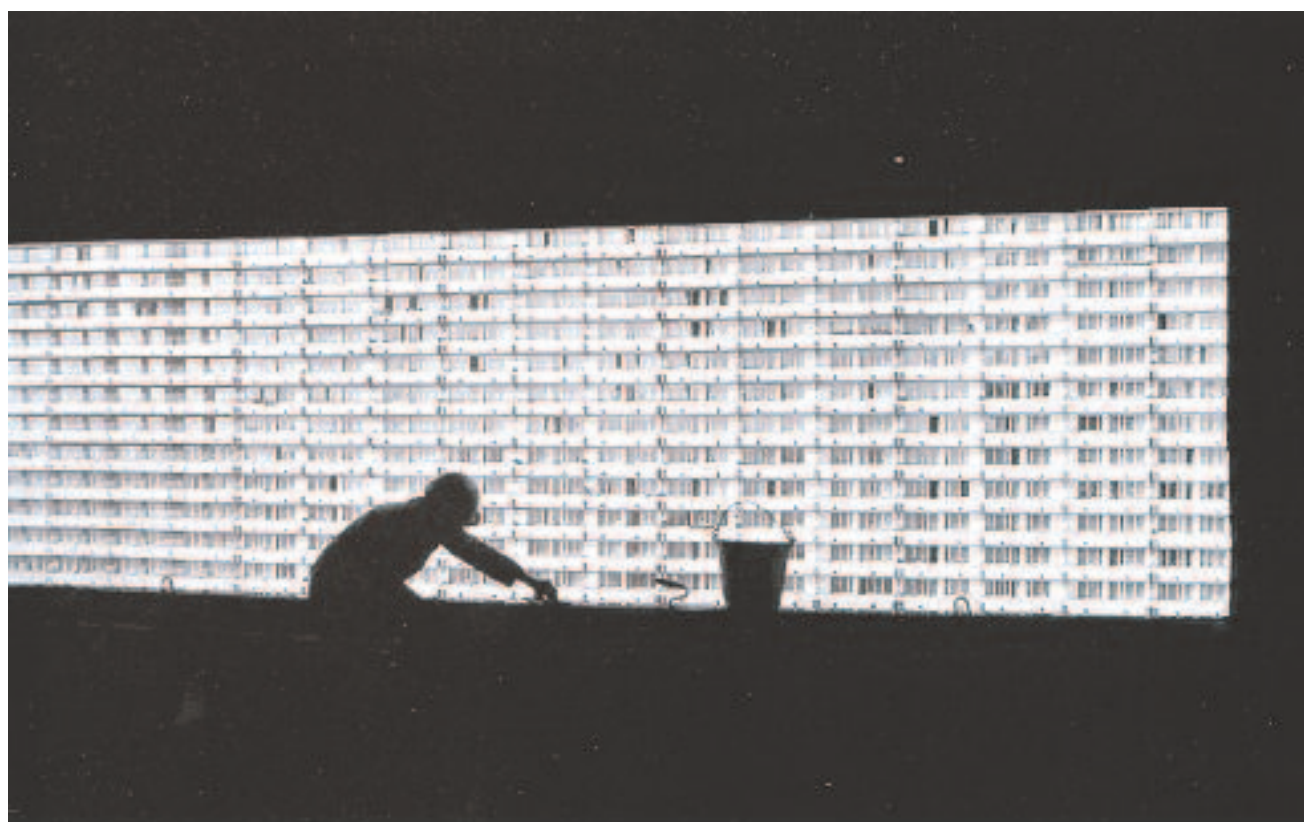
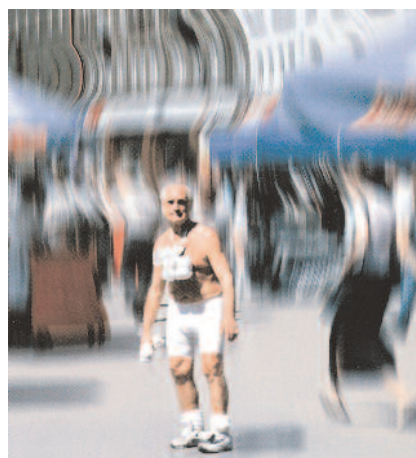
Katowice. Miasto i ludzie z historią w tle w fotografiach Józefa Ligęzy.
Wyd. Silesia City Center, Józef Ligęza, Katowice 2015, s. 164.



Fot. Józef Ligęza



Miasto,
ludzie,
historia
fotografie
Józefa Ligęzy

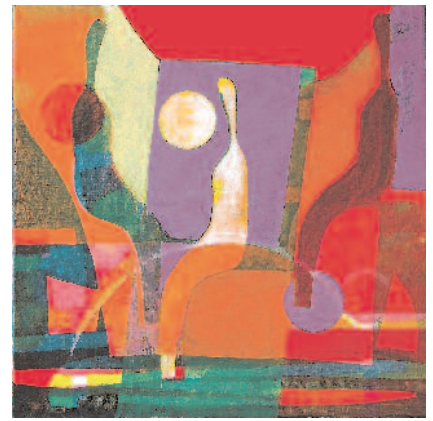




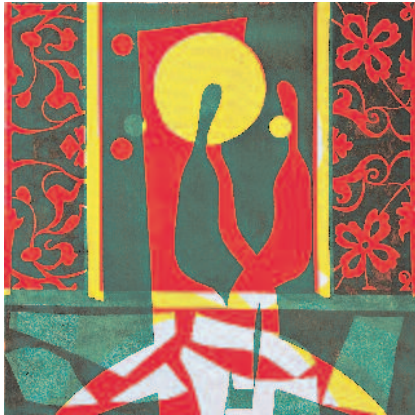
Relacje chromatyczne 50x50,
akryl na płótnie, nr kat. 35-37, 2015



Waga słów 50x50



Pełnia 50x50, akryl na płótnie,
nr kat. 35-24, 2015



Tajemnica 50x50, akryl na płótnie,
nr kat. 35-26, 2015



Nieobecni 50x50, akryl na płótnie
nr kat. 35-31, 2015



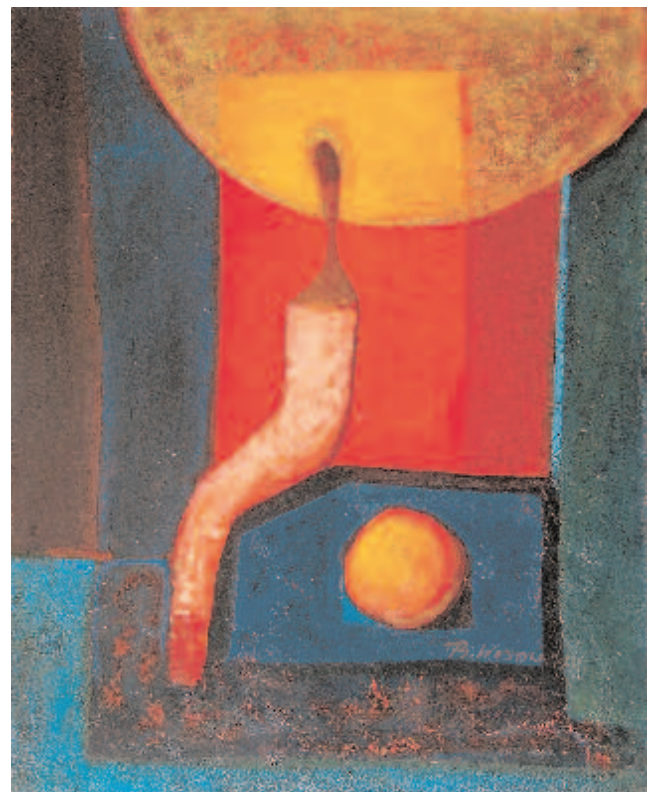
Ślady obecności 50x50, akryl na płótnie,
nr kat. 35-41, 2015

Beata Wąsowska
malarstwo

STUDIUM ZMIANY



Melancholia 40x50, akryl na płótnie, nr kat. 35-52, 2015



Urok, 50x40



Beata Wąsowska w swojej pracowni.

Świat w wymiarze 50x40

WIESŁAWA
KONOPELSKA

Beata Wąsowska to artystka rozpoznawalna. Jej mieniące się kolorami obrazy powstawały jakby na przekór temu, co ją otaczało. Ślask w tamtym czasie był szary, zadymiony, monotony, tylko gdzieś przebiegała się peryferyjna zielen. Jej rodzinne Tychy znakomicie wkomponowały się w ten krajobraz, a Katowice – gdzie studiowała, wtórowały im. Tę przekorę pewnie miała już w sobie, ale czy odważała się ją unaocznic studiując malarstwo w pracowni Jerzego Dudy-Gracza a potem Macieja Bieniasza, czy też konsekwentnie przekraczała tę swoją wielobarwnością szarzyznę dnia codziennego, zaklinając ją, negując jej obecność. Sposób, w jaki Wąsowska malowała obrazy: wielość barwnych plam, pomiędzy nimi postacie kobiet, wytworne, niezainteresowane zwykłością. Trochę jak u Witolda Pałki – elegancja, inny świat, ale statyczny, zapamiętany sprzed lat, wyrażający niezgodę na socrealistyczną bylejałość. A Wąsowska dystansuje się, a może skrywa za swoimi obrazami. Jest osobą młodą, pełną wigoru i energii, także twórczej. Od tamtego widzenia świata minęły lata. I oto poznajemy „nową” Wąsowską. Swoje rozedrgane malarstwo zdecydowała się sprowadzić do jednego wymiaru: 50x40. Umieszcza w tych okrojonych ramach swój nowy świat. Posługując się ledwo zarysowaną sylwetką kobiety – delikatnej, subtelnej, trochę jakby siebie umieszczając we wnętrzach powstających malarskich płaszczyzn. Maluje szybko i dużo. Sylwetka jest lokowana w rozmaitych kontekstach. Dominują figury geometryczne! Trochę zaprzecza sama sobie: ze świata plam, niekonkretnych kształtów, nakładających się światów, nagle ustawia wszystkie elementy w porządku, jaki narzuca geometry-

zowany świat. Ale tylko na pierwszy rzut oka to inna Wąsowska. Umieszczone w obrazach figury geometryczne: trójkąty równoramienne, koła, linie, uspokajają obraz, wprowadzają stabilizację. Rozedrganie przeszło w uspokojenie. Ale agresywność koloru pozostała. Mimo powtarzalności, trwania nieustającej przymiarki postaci do nowych okoliczności, nie wprowadza monotonii. Kolejne obrazy zaskakują, a ich zestawienia prowokują. Czy według artystki zatracamy coraz bardziej swoją indywidualność, stając się trybikiem machin, które nami na co dzień zarządzają, które organizują nam świat?

W malarstwie Beaty Wąsowskiej dokonała się ogromna przemiana – i to bez okresu „próbne”. Zaskoczyła swoją najnowszą wystawą w galerii katowickich plastików. Synteza, kondensacja, swoisty minimalizm – to cechy jej nowych obrazów.

I chociaż jej „Studium zmiany” (to tytuł jej najnowszej wystawy) jest zupełnie innym malowaniem, to nadal rozpoznajemy w nim ich autorkę. Przyzwyczailiśmy się do „tamtej” Wąsowskiej. I dobrze, że zdobyła się na taki krok. Trzeba się oswoić z jej nowym podejściem do malowania, nowego spojrzenia. Czy będzie trwać długo – trudno powiedzieć, w jakim kierunku to wszystko zmierza i czy jest tylko doświadczeniem, próbą zdefiniowania siebie na nowo?

Beata Wąsowska nie stanęła w miejscu. Jej droga twórcza rozwidliła się. Jednym nurtem płyną obrazy w „dawnym” stylu, drugim – obrazy nowe. Uzupełniają się, pokazują Wąsowską poszukującą, poniekąd samej siebie. Zresztą obrazy z pierwszego nurtu pokazała na równoległe trwającej wystawie w katowickim salonie Desy. Wystawę tę nazwała „Obra-

zy witalne”. Są nowe, ale realizujące sposób malowania i przedstawiania jaki do czasu zmiany „obowiązywał” u Wąsowskiej. Co jest pomiędzy tymi dwoma sposobami malowania? Chyba ona sama ze swoimi obrazami, przemyśleniami i chęcią dokonania zmiany.

W nowych obrazach narzuciła sobie reżim techniczny – jednakowy rozmiar płótna. To istotne ograniczenie. Punktem wyjścia, obrazem od którego wszystko się zaczęło był obraz „Urok”. W każdym kolejnym postać z tego obrazu, czasem zdwojona, wędrowała przez kolejne realizacje, poprzez świetliste, wielobarwne poukładane płaszczyzny, ale czasem poprzez mroczne przestrzenie, wśród których postać tę ledwo zauważamy. Beata Wąsowska dokonała eksperymentu na samej sobie. Kluczy, poszukuje. Można by to odnieść do tej niezwykłej pasji, jaką prócz malarstwa jest... bieg na orientację. Człowiek – sportowiec próbujący odczytać drogę prowadzącą do celu, pokonujący niespodziewane przeszkody, stający wobec różnorodnych wyzwań. Czy obrazy z postacią to kolejne autoportrety? „Ja” wobec nowych wyzwań – co spowoduje zmianę zachowania, jak zareaguje na otoczenie, na problemy, jakimi drogami będę zmierzać do celu?

– Każdy obraz to inne zdarzenie, inna sytuacja, w której uczestniczy wciąż ta sama osoba. To pozwala dostrzec jak bardzo nasze „tu i teraz” zależy od tego, co jest poza nami – mówi o swojej twórczości artystka. Pozostawia za sobą wiele lat twórczości, która ją określała, podąża ku innej rzeczywistości. Ale nie da się uwolnić całkowicie od tego, co wydarzało się przez tyle lat. I chyba nawet nie próbuje. Ale akceptując przeszłość szuka nowych wyzwań. Bardzo udanie.

Jedne i drugie obrazy Beaty Wąsowskiej nie analizują, nie filozofują, same sobą niosą radość – oglądanie sprawia przyjemność, są niezwykle energetyczne. Rytm, jaki uzyskuje poprzez jednakowe wymiary obrazów nowych, dodaje im i oglądającym pewności siebie, której czasem bardzo brakuje. W jej nowych obrazach wszystko jest ważne – nie ma elementów drugoplanowych, odbieramy ułożone w szereg obrazy jak film, w którym każda klatka przynosi inny obraz, inną rzeczywistość. Jakbyśmy sami przestawiali się do coraz innego wnętrza. „Urok” – to nie najważniejszy obraz dla całej wystawy, ale tylko punkt wyjścia. Pozostałe są elementami pewnego scenariusza. Nie ma obrazów ważniejszych, ale każdy z osobna stanowi zamkniętą całość. Jaki byłby efekt, kiedy poprzestawiamy kolejność? Inny rytm, inny kontekst, a więc ciąg dalszy studium zmiany.

Beata Wąsowska studiowała w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, na Wydziale Grafiki w Katowicach, w pracowniach malarstwa: prof. Jerzego Dudy-Gracza oraz prof. Macieja Bieniasza. Projektowanie graficzne książki w pracowni profesora Adama Romaniuka. Dyplom 1985. 1986 stypendium Ministra Kultury i Sztuki. Uprawia malarstwo.

Zrealizowała ponad 50 wystaw indywidualnych. Blisko 70 prezentacji w wystawach zbiorowych w kraju i zagranicą. Była gościem krajowych i międzynarodowych plenerów malarskich. Darczyńca wielu fundacji i aukcji malarstwa m.in.: Aukcja Polskiej Sztuki w Nowym Yorku, „Godała Hope”, „Bliźniemu swemu...”. Juror w konkursach plastycznych. Instruktor warsztatów artystycznych. Pomysłodawca, koordynator i kurator projektu artystycznego Akcja Sztuki oraz inicjator projektu Zielona Oś 2.0.

Członek Związku Polskich Artystów Plastików. Prace w zbiorach instytucji, muzeów oraz osób prywatnych w kraju i zagranicą.



Jan Kiepura po koncercie w Katowicach w 1958 r.

Jana Kiepury podróże do Katowic

CZESŁAW
LUDWICZEK



Śpiew solowy, operowy, operetkowy, estradowy bywa piękną sztuką wyzwalającą w słuchaczu uczucia wyższego rzędu. Może wprowadzać go w stan zachwyty, podziwu, zauroczenia, w każdym razie generuje w nim silne przeżycia emocjonalne. W tłumie przeradza się w zbiorową fascynację eksplodującą aplauzem, owacją, wiwatem na cześć wykonawcy. Soliści o takiej sile oddziaływania pojawiają się rzadko, ale Sosnowiec miał do nich szczęście, bo z tym miastem związanych było niegdyś przynajmniej pięciu wspaniałych śpiewaków, chociaż szczyty swych karier osiągnęli już poza stolicą Zagłębia. Byli to oczywiście: Jan Kiepura, Natalia Stokowacka, Jadwiga Romańska, Marian Woźniczko i Marian Porębski, których kariery przypadły na wiek XX. Skala ich popularności w owych odległych czasach wzrastała i opadała jak morska fala. Rozlewała się szeroko w świecie lub obejmowała tylko jego limitowany obszar, ale zawsze niosła znamiona ich nieprzeciętnego talentu. Z tego wspaniałego kwintetu solistów największą, wręcz niebywałą karierę zrobił Jan Kiepura.

Ten wybitny tenor urodzony w Sosnowcu i w tym mieście rozpoczynający naukę śpiewu był pierwszym Polakiem, który zafascynował świat, występował na wszystkich renomowanych scenach Polski, Europy i Ameryki, wprowadzał w zachwyt miliony zwolenników jego sztuki prezentowanej w teatrach operowych, na różnych deskach scenicznych i na ekranach kinowych. Jego głos przyrównywano do legendarnego tenora Enrico Caruso, choć to porównanie trudne, bo wiem włoski śpiewak zmarł zanim Kiepura rozpoczął swą naznaczoną sukcesami karierę. Dlatego sosnowiczanie pozostanie najwybitniejszym solistą przynajmniej pierwszej połowy minionego stulecia. Nie, niech się Czytelnik nie obawia, nie zamierzam przedstawiać tu jego drogi życiowej i śpiewaczej, bo została już prawie dokładnie opisana w wielu książkach i w niezliczonej ilości artykułach. Jeśli wziąłem na komputerową klawiaturę ten temat, to, tylko po to, aby wspomnieć o jednym, już powojennym wydarzeniu w życiu sławnego tenora, o jego wizycie w Katowicach w roku 1958, a przy okazji sięgnąć

do jego o 22 lata wcześniejszego epizodu związanego z tym miastem. Podjąłem się tego zadania, ponieważ w owych wspomnianych publikacjach poza zdawkowym stwierdzeniem, że pojawił się także w Katowicach nie ma tam nic, choć pobyt mistrza w Krakowie potraktowany został szeroko. A przecież pierwszą wizytę w kraju, poza Warszawą, złożył Jan Kiepura w tym pamiętnym 1958 roku właśnie w Katowicach.

Zanim przystąpiłem do pisania tego tekstu, odsłuchałem jeszcze raz jego solowe partie operowe – *Księcia Mantui* w „Rigolettcie”, *Alfreda Germonta* w „Traviacie”, *Mario Cavara* w „Tosce”, *Don Joségo* w „Carmen” a także słynne pieśni neapolitańskie *Wróc do Sorrento*, *O sole mio* i kilka innych oraz napisany specjalnie dla niego niezwykle popularny nawet do dziś utwór: *Brunetki, blondynki, ja wszystkie was dziewczynki*, który zdobił niemiecki film muzyczny *Kocham wszystkie kobiety* czy *Usta milczą, dusza śpiewa*; *Ninon*; *Kujawiak*; *Umarł Maciek, umarł*. We wszystkich tych utworach Kiepura prezentował wspaniałe walory śpiewacze, świetną technikę, przyjemne brzmienie i wielką skalę głosu z owym słynnym wysokim C charakteryzującym tylko wybitnych tenorów. A wszystko to wykonywał lekko, łatwo i przyjemnie, słowem zachwycająco. Podkreślam to dlatego, że problem owego wysokiego tonu określanego nutą C pojawi się w końcowej części poświęconej mu frazy.

Podczas wojny Jan Kiepura wraz z małżonką Martą Eggerth wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, a tuż po jej zakończeniu, w roku 1946 otrzymał obywatelstwo amerykańskie i odmówił oczywiście powrotu do Polski. Dla ówczesnej, socjalistycznej władzy w Polsce było to nie do zniesienia, więc skutecznie blokowała jego wizyty w kraju. Dopiero w dwa lata po przełomie październikowym 1956 roku, otrzymał wizę, a we wrześniu 1958 roku wyładował w Warszawie witany na lotnisku przez nieprzebrane tłumy. 4 października przybył do Katowic, warto dodać, że żadna z wychodzących tu wówczas gazet nie anonsowała jego przyjazdu. Być może uczyniło to radio, ale to już byłoby trudno ustalić. Mimo to na dworcu i przylegającej do niego ulicy Dworcowej zebrały się setki, a może nawet tysiące wielbicieli jego talentu. Pracowałem wtedy w katowickim oddziale Polskiej Agencji Prasowej, a ponieważ byłem tam najmłodszy w zespole, otrzymałem polecenie udania się wieczorem na dworzec (pociąg przyjeżdżał

o 21.56) i napisania krótkiej informacji o przyjeździe śpiewaka.

Poszedłem, ale trudno było mi przejechać się przez ten tłum. Mimo iż wymachiwałem legitymacją dziennikarską, nie udało mi się dotrzeć na peron. Oglądałem więc przebieg wydarzeń z poziomu placu przed dworcem. Na szczęście zobaczyłem najważniejsze zdarzenia, bo oto z dużej hali dworcowej wytoczyła się grupa ludzi niosąca mistrza na rękach i powoli, przedzierając się z trudem przez tłum, zmierzała do znajdującego się naprzeciw hotelu „Monopol”. Scenie tej towarzyszył chóralny śpiew powtarzanego po kilkakroć tradycyjnego „Sto lat”. W końcu Kiepura zniknął w hotelu, cieszącym się w tamtych czasach dużą renomą.

Nie był to pierwszy kontakt sławnego śpiewaka z tym hotelem. Oto bowiem jeszcze przed wojną wynajął w nim, za pomocą telegramu nadesłanego z Wiednia, kilka apartamentów i salę bankietową. Korzystał z nich 31 października 1936 roku, ale tylko przez 8 i pół godziny. Był to jednak czas niezwykle ważny w życiu Jana Kiepury, bo wtedy właśnie, w Katowicach, zawarł związek małżeński z Martą Eggerth. Dlaczego „chłopak z Sosnowca” brał ślub w Katowicach? Otóż dlatego, że w jego rodzinnym mieście ślubów cywilnych jeszcze nie udzielano a kościelny nie wchodził w rachubę, ponieważ Marta Eggerth była wyznania kalwińskiego. Mogli oczywiście pobrać się zagranicą, gdzie oboje występowali, ale Kiepura chciał się ożenić w kraju, aby w uroczystości tej uczestniczyli jego rodzice i przyjaciele. Aktowi temu towarzyszyły zresztą spore kłopoty, bo jak wyjaśniał już po ślubie pracownik Urzędu Stanu Cywilnego w Katowicach Hubert Urbasik, ówczesne przepisy zezwalały na zawarcie związku małżeńskiego tylko osobom zamieszkałym w Katowicach. Dlatego Kiepura musiał się przemeldować z Sosnowca do stolicy Górnego Śląska, co też uczynił, chociaż nie osobiście, lecz za pośrednictwem znajomych.

No i wreszcie nadszedł ów dzień – 31 października 1936 roku. W tym dniu gazeta wydawana przez Katowickie Zakłady Graficzne Wojciecha Korfantego „Siedem groszy” anonsowała to wydarzenie pod tytułem: „Dziś ślub Jana Kiepury z Martą Eggerth w Urzędzie Stanu Cywilnego w Katowicach”, następnie informowano gdzie i o której godzinie odbędzie się ta istotna ceremonia. Następnego dnia ta sama gazeta relacjonowała przebieg wydarzeń. Wynika z niej, że o godzinie 7.30 kurierem z Wiednia

przybyli do Katowic Jan Kiepura ze swą narzeczoną, znaną gwiazdą filmową Martą Eggerth. Oboje udali się do hotelu „Monopol”, a zaraz po tym pod hotelem i przed budynkiem Magistratu przy ulicy Pocztowej poczęły gromadzić się tłumy widzów. O godzinie 10.30 młoda para zajeżdżała od strony rynku samochodem i wśród szpaleru publiczności udała się do gabinetu prezydenta miasta dr. Adama Kocura. I to właśnie on, a nie urzędnik USC udzielił parze ślubu cywilnego. Nowo poślubieni małżonkowie pozostawali jeszcze przez pewien czas w gabinecie prezydenta, a Kiepura pokazywał się w oknach, pozdrawiając tłum ludzi i wznosząc różne okrzyki, w tym m.in. „Niech żyją Ślązacy”. Na zakończenie Kiepura z okazji swego ślubu złożył na ręce prezydenta miasta 1000 złotych dla bezrobotnych. Świeżo zaślubieni wraz z matką Marty i rodzicami Jana oraz gronem zaproszonych gości udali się do sali bankietowej „Monopolu” na weselny obiad. Około godziny 16.00 młoda para wyjechała samochodem z Katowic do Bytomia, a następnie pociągiem pośpiesznym do Berlina.

Wróćmy jednak do owego późnego wieczoru 4 października 1958 roku, kiedy to niesiony na rękach śpiewak zniknął we wnętrzu hotelu. Tłum jednak nie ustępował, otoczył szczerlnie gmach i domagał się, aby mistrz wyszedł i zaśpiewał. I w końcu doczekali się, Kiepura pokazał się wreszcie na małym, trójkątnym balkonie na pierwszym piętrze i po ponownej owacji tłumy i jego uciszeniu zaśpiewał trzy piosenki. Najpierw były słynne *Brunetki, blondynki* drugiej nie pamiętam, krótki występ zakończył pieśnią *Umarł Maciek, umarł, już leży na desce*. I chociaż zgromadzeni nadal domagali się bisu, śpiewak ponownie już się nie pokazał.

Po tym powitaniu pobiegłem do znajdującego się w pobliżu, bo na ulicy Jana (wówczas 15 Grudnia) oddziału PAP i napisałem krótką informację o przyjeździe Kiepury do Katowic. Niestety, na próżno, bo jakkolwiek informacja ukazała się w biuletynie agencji, to jednak żadna z katowickich gazet jej nie wzięła. W ogóle dla miejscowej prasy nie było to wydarzenie. „Dziennik Zachodni” i „Wieczór” nawet jednym słowem nie wspomnieli o Kiepurze. Najlepiej spisał się partyjny organ „Trybuna Robotnicza” dając na drugiej stronie własną krótką, jednoszpaltową informację o przyjeździe mistrza i jego małe zdjęcie zrobione przez fotoreportera Władysława Dziurzyckiego. Nakaz ograniczenia publikacji musiał być

dość ostry, bo mimo iż Kiepura przebywał w województwie jeszcze kilka dni i dał dwa koncerty w katowickiej Hali Parkowej, publikacje były nadzwyczaj skromne. Zapowiedź owych koncertów ukazała się tylko w „Wieczorze” i to bez żadnego tytułu. W rubryce „Co warto zobaczyć”, spośród innych informacji znalazła się zmiánka: „będą dwa koncerty Kiepury. W pierwszym koncercie 6 X wystąpi głównie dla sosnowiczán. Na jego prośbę zorganizowano specjalny punkt sprzedaży biletów w sosnowieckim oddziale PTTK. Biletów zresztą i tak już nie ma, albo zostało bardzo niewiele. Drugi koncert Jana Kiepury 9 października w Hali Parkowej o godz. 19.30”.

Koncerty te cieszyły się niesłychanym powodzeniem, ale dopiero po drugim z nich i to z pewnym opóźnieniem ukazała się w „Dzienniku Zachodnim” recenzja. Zamieszczono ją zapewne dlatego, że miała krytyczny wobec Kiepury wydźwięk. Autor Józef Michałowski nie mógł pominąć oczywistych faktów, takich jak np. ten, że hala mimo bardzo wysokich cen biletów wypełniona była po brzegi, że śpiewał m. in. tak popularne utwory jak *La donna e mobile; Aj, aj, aj; Ninon ach uśmiechnij się* i inne, że publiczność przyjmowała go z wielką sympatią, że zaśpiewano mu „Sto lat” i ofiarowano sporo kwiatów. Recenzent zastanawiał się jednak „jak śpiewa dziś Kiepura i czy powinien śpiewać? Muzycy dostrzegli, że tenor stracił całkowicie jaśniejsze partie głosu i co go charakteryzowało całą górę (czyli słynne wysokie C – *przypp. Cz. L*). W Katowicach mówiono, że winna jest temu warszawska grypa, ale muzycy słuchacze stwierdzili, że Kiepura stracił wspaniały ongiś głos”. Taki krytyczny osąd mistrza wielu ludzi przyjmowało jako sterowane przez władzę uprzedzenie do polskiego Amerykanina. Jednak podobną opinię po koncertach w Krakowie wyraził znany krytyk muzyczny i prezenter Lucjan Kydryński, za co mu się zresztą oberwało. Ale obaj recenzenci mieli rację, ponieważ jak się później okazało, kilka lat przed przyjazdem do Polski Kiepura ciężko zachorował, a podczas operacji wycięto mu jeden płat płuca. Taka amputacja musiała odbić się negatywnie na jego głosie. Mimo to aż do grudnia koncertował w wielu miastach, poczym wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Ponownie powrócił tu w roku 1966, by spocząć już na zawsze na warszawskich Powązkach.



Księgarnia i wydawnictwo „Górnoślązak”. Przed księgarnią Anna Zdziarek, Tomasz Kowalczyk i Telesfor Nowicki (1906).

Katowice za Pohlmann (III)



HENRYK SZCZEPAŃSKI

W 1905. powstał częściowo zakonspirowany Polski Związek Straży Obywatelskiej w urzędowych rejestrach zapisywany jako „Straż – Verein”. Jego pierwszymi starostami zostali: na Katowice miasto – adwokat dr Stefan Adam-

czewski; na Katowice II – dr Piotr Hyla, zawiadowca Polskiego Banku Ludowego; na Katowice IV – Wacław Szyperski, dyrektor PBL. Mieli chronić i bronić Polaków. Przeczuli, że zbliża się europejska wojna o wolność na-

rodów a zza horyzontu wylania się nadzieja na odrodzenie dawnego państwa Piastów i Jagiellonów.

Awangarda katowickich Polonusów

Było ich trzydziestu ośmiu. Spotykali się w Hali Rzeszy. Do zarządu „Straży” wybrali: Tomasza Kowalczyka, kierownika administracyjnego redakcji „Górnoślązaka”, Wacława Szyperskiego – dyrektora Polskiego Banku Ludowego, Michała Rzepkę – marszanda a prezesurę powierzyli adwokatowi Zygmuntowi Seydzie. Miał 29 lat. Mimo młodego wieku cieszył się autorytetem wśród wszystkich katowickich Polaków.

Od pierwszych dni stał się niekwestionowanym przywódcą polskiego ruchu narodowego w Katowicach. Jako adwokat, przed pruskimi prokuratorami bronił polskich dziennikarzy oskarżanych o wykroczenia przeciw cenzurze. Stawał w obronie redaktorów „Górnoślązaka” atakowanych przez kardynała Koppa i zgermanizowany kler śląski. Był trybunem i brawurowym mówcą na wiecach politycznych katowickich Polaków. Korfanty wtedy występował głównie w berlińskich parlamentach.

Seyda miał mir wśród śpiewających rodaków, w szeregach Sokołów i przemysłowców. Wspólnie z Tomaszem Kowalczykiem i krawcem Antonim Szymkowiakiem, w 1907 powołał do życia: Mickiewicz-Verein (Komitee zur Abhaltung von Volksvorträgen) (Towarzystwo Mickiewiczowskie) pełniące funkcję komitetu Wykładów Ludowych im. A. Mickiewicza, organizujące niedzielne prelekcje popularnonaukowe, a wspólnie z lekarzem dr. Józefem Rostkiem z Raciborza, już w 1891 zorganizował Verein der polnische Unterrichts-hilfe für Schlesien (Towarzystwo Polskiej Pomocy Naukowej dla Śląska) skupiające 137 filantropów.

Od początku XX wieku, adwokata Seydę i krawca Szymkowiaka znajdujemy wśród czołowych działaczy, jednego z liczniejszych, pięćdziesięciosobowego Związku Polskich Przemysłowców. Powstał w 1893. Jego nestorem i pierwszym prezesem był wspomniany już dr Antoni Śmierchalski, pionier polskiej służby zdrowia w Katowicach, ciągle inwigilowany przez pruskich szpicli i zandarmów.

Szymkowiak wspólnie z kilkoma kolegami po fachu w 1909. założył „Towarzystwo Samodzielnych Polskich Krawców w Katowicach”. Liczyło 36 członków. Promowali polszczyznę i zwyczaje polskiego krawiectwa. Ogłosili konkurs na krój spodni, zaprowadzili czarną listę klientów, na zebraniach dyskutowali o sprawach zawodowych i narodowych. Pod redakcją mistrza Wojciecha Samarzewskiego wydawali pierwsze na Górnym Śląsku pismo branżowe „Odzież”.

Młodsza generacja kupców, rzemieślników i przedsiębiorców skupiła się w Związku Polskiej Młodzieży Kupieckiej (Verein junger polnische Kaufleute) zawiązanym w 1908. Jego liderami byli: Stanisław Weber i Franciszek Głowacki. Siedzibę mieli w Hali Rzeszy.

Grupa młodych Ślązaków pod kierunkiem Franciszka Białka ze Świętochłowic, Jana Dziuby z Grabowni i Ludwika Jędrzeczka z Żabrza, podczas sierpniowej konferencji w Kostuchnie w 1912 powołała do życia Polnische Jugendverband, Sitz: Kattowitz – Związek Młodzieży Polskiej z siedzibą w Katowicach. Wstępowała do niego członkowie zdekonspirowanej organizacji „Eleusis”, poprzez moralne samokształcenie młodzieży przygotowującej Ślązaków do walki o niepodległość Polski. Jej czołowymi działaczami byli Edward Rybarz i Maksymilian Basista. Do nich zgłosili się członkowie Polskiej Organizacji Młodzieży Ludowej, 3 lata wcześniej przez Janka Dziubę założonej w Katowicach.

Od 1908 roku 29 polskich lekarzy należało do Verein polnische Ärzte für Kattowitz und Umgegend (Związek Lekarzy Polaków dla Katowic i okolicy). Przewodniczyli mu medycy: internista i ginekolog Józef Rostek, okulista Kazimierz Trzebiatowski i laryngolog Ildefons Miecznikiewicz.

Od 1909 przy Kościuszki 25 mieścił się lokal związkowy i centralne biuro ZZZ – Zjednoczenia Zawodowego Polskiego, któremu przewodzili: Józef Rymer, Wojciech Sosiński i Wojciech Wiczorek. W Hali Rzeszy przy Sokolskiej, filię tej organizacji prowadzili: Józef Kasza, Jan Niemiec i Mikołaj Swadźba. W 1913 liczebność ZZZ szacowano na ponad 75 tysięcy. W 6 lat później jego członkowie stanowili podstawowy trzon śląskiej powstańczej armii.

Co cesarskie Wilhelmowi

Założone w 1911 Polnische Theater-Verein czyli Polskie Towarzystwo Teatralne liczyło 25 amatorów i miłośników sztuki scenicznej. Jego liderami było dwóch mężczyzn o imieniu Robert: Gansinietz z Laurahütte i Jedlinski z Dębu, a prezesem Franciszek Deja. Występowali pod egidą Towarzystwa Katolickiego „Kasyno”. Jak średniowieczni waganci, próby i spektakle organizowali w pasażu kamieniczki mistrza krawieckiego Karola Murka, przy ulicy Pocztowej 2 w Siemianowicach. Za sprawą Piotra Kołodzieja, z Melpomeną flirtowali już od dawna. „Bogatą wdowę”, jedno z jego najbardziej popularnych widowisk pokazywali w katowickiej Hali Rzeszy. Dla 500-osobowej widowni zagrali w styczniu 1892. Wśród oklaskujących znaleźli się polski poseł major Juliusz Szmula, a także niemiecki proboszcz parafii mariackiej, ks. Schmidt. Dochód z benefisu, w całości podzielili pomiędzy siostry elżbietanki, z miejscowego szpitala, a niemieckich monarchistów kwestujących na budowę pomnika

cesarzy na placu Wolności – Wilhelma I i jego syna Fryderyka III.

Miłośnicy kultury narodowej należeli do Polnische Abstinentenverein „Wyzwolenie” (Polskiego Towarzystwa Abstynentów) zawiązanego w 1911 pod egidą „Gazety Ludowej”. Miało 48 członków. Przewodniczyli mu Dąszewski i Kosicki.

Pod sztandarem antyalkoholowej krucjaty funkcjonowała elsowska organizacja poczwórnej wstrzeźliwości, której założycielami byli m.in. Edward Rybarz i Antoni Wysocki. Poprzez moralne samodoskonalenie zmierzali do odbudowy suwerennego państwa polskiego. Na ich wiece przychodziło po kilkaset osób. Liderzy, znajdowali czas na agitację i w konspiracji zachęcali do wstępowania w szeregi związku.

Z pieśnią na ustach

Na przełomie XIX i XX wieku w Katowicach i okolicznych gminach, dziś leżących w granicach miasta, zainicjowały działalność polskie chóry. Od 1894. w Bogucicach – Towarzystwo Śpiewacze „Lutnia”; od 1907 w Dębie przy Hucie Baildon – chór mieszany; w następnym roku, w Załężu – chór „Halka”, a w Ligocie – „Lira”. W tym samym czasie w Bogucicach Karol Hoppe założył pierwszy katolicki chór kościelny św. Cecylii, w Szopienicach śpiewał Chór im. Stanisława Wyspiańskiego, a w Ochojcu – „Słowik”. W 1912 w Dąbrówce Małej powstało Towarzystwo Śpiewacze „Wanda”.

W 1903 druhowie katowickiego „Sokoła” reaktywowali działalność swego chóru, przez kilka sezonów śpiewającego jeszcze u schyłku XIX wieku. Teraz nosił nazwę „Harmonia”, występował pod dyktando Józefa Budzyńskiego a potem Teodora Lewandowskiego. Szykanowany przez policję w 1909 przyszedł się do podmiejskiego Józefowca.

Od 17 listopada 1913. 64 polskich wokalistów śpiewało w Polnische Gesangverein „Ogniwo”. Pomysłodawcą nazwy i ojcem chrzestnym drużyny śpiewaczej był ks. Paweł Pośpiech, prezesem redaktor Franciszek Wojciechowski z „Gazety Ludowej”, dyrygentem Teodor Lewandowski a bibliotekarką Róża Wolny. Zebrania i próby odbywali w restauracji Jana Przybyły przy Chopina 8, poprzednio należącej do Salzmanna. Wcześniej miał tu salę niemiecki Robotniczy Związek Śpiewaczy „Wolny śpiewak”.

„Ogniwo” występowało w sali koncertowej Hali Rzeszy. Do zarządu należeli: Kazimiera Mendlewska i kupiec Kazimierz Szaroleta. Śpiewała tam: Pelagia Kowalczykowa, żona Tomasza i Wanda Pietruszkówna, jej koleżanka z Towarzystwa Czytelni Ludowych. Miłośnikiem Polihymnii i częstym gościem chóru był mecenas Seyda. W 1913 został wybrany na prezesa Okręgu Katowicko-Pszczynskiego Związku Śląskich Kół Śpiewaczych, skupiającego 15 zespołów.

W latach 1911-1914 w Zadolu, na peryferiach Katowic, co roku odbywały się gornośląskie zloty polskich pieśniarzy i muzykusów. Na pomysł zorganizowania takiego festynu wśród łąk i lasów wpadł Leon Ostojka Poniecki, po Teodorze Lewandowskim – najwybitniejszy z polskich kapelmistrzów w niemieckich Katowicach. Zamieszkał tutaj w 1908. Przedtem dyrygował orkiestrą teatru miejskiego w Poznaniu a gościnnie odedonowymi ansamblami w parkach zdrojowych Dolnego Śląska, Pomorza i Wielkopolski. Śpiewał, grał, dyrygował i nauczał muzyki. Do Zadola, prócz innych polskich chórów zaprosił ponad 300 wokalistów. Pod jego batutą ćwiczyli w Bytomiu, Królewskiej Hucie, Bogucicach, Chropaczowie, Józefowcu, Nowej Wsi, Orzegowie, Świętochłowicach i Załężu. Popisy jego zespołów stanowiły oprawę artystyczną polskich uroczystości narodowych i religijnych.

Wyjątkowy i odświętny był zlot śpiewaków w 1913. Przerodził się w patriotyczną manifestację. Płomienne przemówienie wygłosił ks. Paweł Pośpiech, żarliwy ideolog i przywódca śląskiej endecji oraz redaktor naczelny „Gazety Ludowej”. Uczestniczyli w nim pionierzy i nestorzy polskiego ruchu narodowego w Katowicach: dr Waław Okulicz, założyciel i pierwszy naczelnik katowickiego gniazda „Sokoła”, Aleksander Lewandowski, pierwszy jego prezes, no i patriarchy katowickiej Polonii – dr Antoni Śmierczalski.

Narodowa kasa

Powołany do życia dwa lata przed nastaniem XX wieku, aż do wybuchu wielkiej wojny, doskonale prosperował Polski Bank Ludowy wspierający inicjatywy gospodarcze rodaków. Należał do najzasobniejszych. Ich udziały określano na 100 tysięcy, a depozyty – na 140 tysięcy marek. Większymi kapitałami dysponowała tylko centrala w Bytomiu i oddział w Raciborzu. Przez długie lata miał siedzibę przy Kościuszki 16. Był przytuliskiem dla Polaków. Józef Rymer, późniejszy wojewoda, w czasach gdy jeszcze mieszkał i pracował w Westfalii, był jego częstym i mile widzianym gościem.

W 1904. powstał Bank Handlowy Kazimierza Sikorskiego. Pod nazwą Sikorski & Co., Handelsbank mieścił się przy Dyrekcyjnej 3, a po upadku II Rzeszy, jako Polski Bank Handlowy w Rynku pod numerem 7. Sikorski z powodzeniem prowadził też biuro obrotu wyrobami żelaznymi.

W tym czasie dr Kazimierz Janiszewski i dr Zygmunt Kohler, na parterze kamienicy przy Mieleckiego 6, otworzyli bank pod nazwą „Kohler & Janiszewski”, później znany jako Polski Bank Odrodzenie.

Pod koniec 1908, z inicjatywy Korfaniego, wtedy jeszcze dziennikarza i lidera Narodowej Demokracji na Śląsku, a tak-

że posła do Reichstagu, powstał bank Silvana. Istniał krótko i niebawem zbankrutował. Był firmą handlowo-komisową. Zajmował się kupnem i sprzedażą posiadłości ziemskich, ziemioplodów oraz ruina leśnego.

Polski biznes

W 1903. w Katowicach rozpoczęła działalność Polska Spółdzielnia Budowlana (Polnische Baugenossenschaft), założona z inicjatywy lekarza dr. Maksymiliana Hanke. W jej radzie nadzorczej zasiadali: dr Zygmunt Seyda, dr Wacław Okulicz, red. Antoni Wolski, Błażej Broda i Jan Piechulek.

W 1906. polscy przemysłowcy wspólnie z udziałowcami niemieckimi z Wielkopolski, utworzyli Towarzystwo Akcyjne „Bawaria”, skupiające browary i zakłady przemysłu spożywczego. W nazwę spółki wpisali aluzję i sympatię do politycznych akcji bawarczyków, w tamtych czasach gwałtownie występujących przeciw katolickiej i prorządowej partii „Centrum”. Nad Rawą nazwa kojarzyła się wyłącznie z bawarem, jednym z najlepszych napojów piwnych podawanych w firmowej restauracji z wejściem od dzisiejszego placu Wolności 3.

1 grudnia 1905. Wojciech Korfanty (wtedy już śląski poseł w pruskim i niemieckim parlamencie) do audytorium Hali Rzeszy zaprosił popularnego socjologa i ekonomistę prof. Wenera Sombartha z Uniwersytetu Wrocławskiego, o którym podówczas pisano, że flirtuje z marksizmem. Po latach okazało się, że i faszyzm też potrafi zaaprobować, a nawet przekonywać, że Hitler to narzędzie w rękę Boga. Po wykładzie gospodarz zaprosił gościa do restauracji, mieszczącej się tuż za ścianą konzerthausu, aby uraczyć go starannie wypielegnowanym bawarem. Lokal uchodził wtedy za ekskluzywny. Oficjalne wejście prowadziło tam od strony placu Wolności. Z jego nadproża, pod wykuszem, do dziś uśmiecha się brodaty Bachus wykuty w piaskowcu.

W 1909, w oparciu o polskie kapitały powołano do życia Towarzystwo „Śląski Eksport”. Konkurowało z niemieckimi biurami zbytu węgla, koksu i cementu, w szczególności na rynkach polskich.

Zgodny lud polski

Pierwsze dziesięciolecie XX wieku było epoką konsolidacji ale też ideowo-programowych waśni śląskich Polaków. Początkowo dzielili się pomiędzy zwolenników zachowawczego Napieralskiego a stronników popierających Korfantego – znacznie młodszego i zdecydowanego na radykalne decyzje polityczne, który po kilku latach stępił ostrze swego rapiera i wybrał daleko idący kompromis. 16 listopada 1910 roku w katowickiej Hali Rzeszy doszło do oficjalnego zjednoczenia skłóconych polskich ugru-

powań. Ich przywódcy zawarli porozumienie o współpracy i opublikowali słynną odezwę, wzywającą do zaprzestania podziału „na „Katolików” i „Korfantowców”. Tego dnia apelowali: „niech będzie na Śląsku tylko jedna wielka partja: zgodny lud polski.”

Zanim wybuchła wojna światowa Polacy w Katowicach stanowili już formację polityczną – mocno zintegrowaną i świadomą swego znaczenia.

Miasto zmilitaryzowane

W 1913. berlińscy generałowie ulokowali w Katowicach stały garnizon wojskowy. W związku z przygotowaniami do wojny, umieścili go w pobliżu granicy rosyjskiej i kwatery głównej cesarza Wilhelma II rezydującego w Pszczynie u Hochbergów. Koszary w okolicy dzisiejszej ulicy Raciborskiej, ostatecznie ukończono w 1916. Pierwszą jednostką tu stacjonującą był III batalion górnośląskiego pułku piechoty im. Jakoba Keitha. Dwa inne bataliony stacjonowały w Gliwicach. Tam też ulokowali się pułkowi sztabowcy.

Naprzeciw żołnierskich koszar przy ul. Raciborskiej wybudowano kasyno oficerskie (obecnie Akademia Sztuk Pięknych). W 1914 dowództwo katowickiego okręgu wojskowego przejął ppłk hrabia Bogisław von Schwerin, rezydujący vis a vis wincklerowskiego Marienhofu, w kamienicy Damego przy dzisiejszej Piastowskiej, a dowódcą garnizonu major Erich Smalian, który miał mieszkanie przy placu Rostka 2.

W dwu kamienicach Hugona Grünfelda, znanego przedsiębiorcy budowlanego i ówczesnego przewodniczącego rady miasta, przy Francuskiej 49 i 51 znajdowała się siedziba dowództwa okręgu, w której ulokowano biura, magazyny i mieszkania feldfebli oraz sierżantów sztabowych.

W zamku książąt pszczyńskich jako wódz naczelny wojsk cesarskich Wilhelm II ulokował kwaterę główną. Wołał być z dala od Francuzów. Przed nimi czuł respekt większy niż przed Rosjanami. Od nich dzieliło ją niecałe 40 km.

Wojowali o złote jaja

Dla katowiczian wojna światowa rozpoczęła się powołaniami w szeregi Reichswehry. Latem 1914 zostali zapakowani do eszelonów i wywiezieni na front. Pod rozkazami pruskich oficerów walczyli z Belgami, Francuzami i Anglikami a od 1916. z Rosjanami. Dla wielu miejscem wiecznego spoczynku stał się cmentarz przy ulicy Meteorologów. Żydowski żołnierz są pochowani na kirkucie przy ulicy Kozielskiej. Ci, którzy ocalili życie, po czterech latach wracali głodni i obdarci. Czy mogli jeszcze mówić cesarza i jego imperium?

W tym czasie Śląsk dla Tiele-Wincklerów, Donnersmarków, Hohenlohe, Balle-

stremów i całej kamaryli wielkiego przemysłu, przemienił się w nośną kurę składającą wysokokaratowe złote jaja. Ich zyski wzrosły o 100%. Średnia dywidenda koncernów górnośląskich przewyższała wszystkie inne wypłacane przez najlepiej prosperujące huty i kopalnie Westfalii czy Zagłębia Ruhry. Williger i jego komilitoni ze Związku Przemysłowców Górniczo-Hutniczych domagali się przyłączenia do Rzeszy miast i wsi Zagłębia Dąbrowskiego.

Nadburmistrz Pohlmann w przypiływie optymizmu prorokował przesunięcie granic cesarstwa aż za Warszawę i Kraków a może i Petersburg. Gdy Niemcy wypowiedziały wojnę Rosji i zaczął się formować front wschodni, rozbudowano koszary przy ówczesnej drodze do Kochłowic (obecnie: ulicy Raciborskiej). Miały pomieścić jeszcze jeden batalion piechoty a sąsiadujące z nimi osiedle liczną kadrę oficerską. W niespełna dwa lata później dalekosiężne plany Pohlmana i Willigera – wraz z abdykacją Wilhelma II i klęską butnego cesarstwa – legły w gruzach.

Ostatnie bitwy wojny 50-letniej

Już po kilku tygodniach niemieckiej rewolucji listopadowej 1918., dawni pruscy militaryści ponownie uchwycili ster rządów w Niemczech. Od stycznia 1919 władzę nad miastem sprawowała Centralna Rada Robotnicza i Żołnierska – na czele ze wspomnianym już Otto Hörsingiem – byłym sekretarzem katowickiej SPD. Bez żenady reaktywowała dawne nacjonalistyczne programy, zwyczaje i organizacje. Zastąpiła z teroru i okrucieństwa. Nie wyzbyła się szowinizmu a demokratyczne hasła żołnierzy i robotników miała tylko w odezwach i na transparentach.

W ciągu kilku miesięcy 1919., systematycznie wzmacniano katowicki garnizon Reichswehry rozrósł się do rozmiarów – najliczniejszego w całym okręgu przemysłowym. W rzeczywistości pełnił funkcję żandarmerii. Wspierał i wyreczał policję. Ponadto, w mieście ulokowały się służby bezpieczeństwa politycznego: Sicherheitspolizei i komendy dywersyjnych oddziałów Grenzschtutzu. Nikt już nie wątpił, że rozpoczyna się rozstrzygająca runda wojny z Polakami.

W sierpniu 1919. wybuchło I Powstanie Śląskie. To była jedna z trzech ostatnich odsłon historycznego dramatu – wielkiej 50-letniej wojny o Śląsk, jaką w 1871. Bismarck wypowiedział Polakom.

Jesienią 1919. oddziały Reichswehry, zgodnie z dyktatem traktatu wersalskiego opuściły miasto. Wiosną 1920. zastąpiły je kompanie szaserów alpejskich, wchodzących w skład wojsk alianckich pełniących misję pokojową na terenach plebiscytowych a w czerwcu 1922 władzę w Katowicach przejęli Polacy.



Rami, Maya i Ewelina

Ewelinie i Ramiemu, z życzeniami, by żyli długo i szczęśliwie

Lipiec tego roku. Ślub w Bytomiu, wesele w Chorzowie. Ewelina – panna młoda – pochodzi z Siemianowic Śląskich. Rodzice jej męża Ramiego z Bejrutu, jednak całe życie pracowali na rzecz francuskiego szkolnictwa (ojciec wyższego) jako nauczyciele matematyki. Ich dzieci urodziły się... w Kinszasie w Kongu. Wojna wyгнаła rodzinę z powrotem do Libanu, z kolei tamtejsza wojna domowa zagnała ją do Kairu, skąd Rami i jego siostra Farah wyjechali po maturze do Francji, by podjąć przygotowania do konkursów w grandes écoles. Oboje są inżynierami. Rami pracuje przy misjach kosmicznych w EUMETSAT, a Farah przyleciała na ślub brata z Melbourne w Australii, gdzie pisze doktorat z mechaniki płynów.

Stłuczona szyba i artykuł o blokowiskach

Ewelina i Rami kilka lat mieszkali w Tuluzie, ostatnio przeprowadzili się do Darmstadt. Mają córeczkę i oczekują drugiego dziecka. Niedawno Ewelina napisała w mailu: „U nas miły początek jesieni w spokojnym, przyjaznym Darmstadt. Maya zaczęła dzisiaj przedszkole, a ja już od tygodnia chodzę na kurs języka niemiec-

Wesele na Śląsku

JACEK KUREK

*Kaj my to som?
My som tukej.*

Aleksander Nawarecki

kiego (co ja bym tam poczęła, gdybym nie była ze Śląska?). Rami robi coś z satelitami, ale nie wiadomo co!”

Ewelinę przed laty uczyłem w jednym z chorzowskich liceów... Gdy była w pierwszej klasie, w podweneckim hotelu, na klasowym obozie naukowym, zbiła szybę w drzwiach balkonowych, a wszystko przez konsekwentną niechęć do okularów (chciała wyjść na balkon, ale nie zauważyła szyby). Tryskająca energią i wdziękiem, wrażliwa, inteligentna, poszukująca piękna... i zawsze chodząca własnymi ścieżkami. Przepelniona życzliwością do świata, który

przemierzyła wzdłuż i wszerz, i zawsze z czułością traktująca rodzinne strony. Ukończyła na Uniwersytecie Śląskim kulturoznawstwo (ulubioną Panią Profesor także zaproszono na wesele). Z tej dziedziny zrobi najpewniej niedługo doktorat w Niemczech. Świetnie włada francuskim i angielskim. Kiedyś napisała na moją prośbę artykuł o blokowiskach do książki, której byłem redaktorem. „Dłaczego – pytała w nim – wędrówka przez górnośląskie miasto nie może być przypadkowym napotykanieniem rzeźb lub wizerunków innych, niż reklamowe, jak ma to miejsce cho-

ciażby w Bratysławie? Przechodząc obok świetlika bytomskiego, rzeźby, która od niedawna zdobi ulicę Dworcową, rozważam problem zakorzenienia Ślązaków na Śląsku. Był świetlik, więc musiała tu być jakaś historia, jakieś trwanie. Być może w tym raczej smutnym mieście, gdyby przyjrzeć się jego blokowemu charakterowi, podobna ironia historii wywołuje nadzieję – pozytywną nieakceptację brzydoty”.

Kiedyś, próbując założyć w rodzinnym mieście kulturowe pismo, pisała z Katarzyną Wahl: „Siemianowice są wyjątkowe. Jak każde miasto posiadają wiele osobliwości, o których wiedzieć nie możemy, nie pielęgnując ich. Historia historią, można ją raz powtórzyć, jej nie zmienimy, nie ulepszymy. A dzisiaj, na początku XXI wieku odkrywamy miasto, które wymaga naszej opieki, które może i chce żyć”.

Celem pisma MIASTO jest taka właśnie pielęgnacja, odkrywanie naszych artystów, którzy nie mają oparcia nigdzie poza gronem pasjonatów i przyjaciół, jest nim także pokazanie siemianowiczynom, jak niewiele wysiłku trzeba, by nie zasnąć nudy nie uciekając stąd. Naszą troską jest upiększenie i uatrakcyjnienie wizerunku Siemianowic Śląskich tak, by nie chciało się stąd wyjeżdżać, byśmy wracali tu z pogodą na twarzach. Świat kultury, bardzo szeroko przez nas rozumianej, ma wiele do zaoferowania”.

W tych dwóch niewielkich fragmentach otrzymujemy próbkę spostrzegawczości autorki, a także jej talent zarówno pisarski, jak i... podróżniczy oraz – powtórzmy – niegasnącą miłość do lokalnego świata, której wyrazem stał się także wybór miejsca zawarcia ślubu. A niedługo po nim skończyła kulturoznawczy artykuł do *Tekstów z Ulicy* dla prof. Dobrosławy Wężowicz-Ziółkowskiej.

Gdy kilka lat temu na łamach „Śląska” w artykule *Archipelag hut* wspominałem, o książce *Huta* Grzegorza Kopaczewskiego (chorzowianina), zaznaczyłem, że

trafiła na nią w jakiejś skandynawskiej bibliotece pewna siemianowiczanka, absolwentka jednego z chorzowskich liceów i że przywiozła mi ją – jednak nie prosto z Norwegii, ale ze swojego domu w Tuluzie... Ewelinę miałem na myśli.

Bytomski Urząd Stanu Cywilnego polubiła podczas wizyt na ślubach przyjaciół, dlatego właśnie tu postanowiła zainaugurować życie własnego małżeństwa. Wesele, choć wyprawione w słynnej restauracji w Parku Śląskim, zgromadziło nieprzesadnie dużą, jak na polskie warunki, liczbę gości, wśród których szczęśliwie się znalazłem i chyba niezbyt roztropnie dałem się ponieść wyobraźni, bo już w trakcie uroczystości ktoś do mnie powiedział, z przekąsem, że zachowuję się jak Wyspiański na weselu Tetmajera. A wszystkim dlatego, że nieopatrznie w środku nocy oświadczyłem: „muszę to opisać, wszak dzieje się to na moim Śląsku, który i taki dzisiaj jest”. Tyle przecież mówimy o jego polifonii kulturowej i pograniczności... A one wciąż przynoszą nowe odsłony. Na weselu Eweliny i Ramiego piękny czas spędzili ze sobą goście z całego świata, dzieląc z przyjaciółmi szczęście tego dnia, choć jeszcze zaledwie kilkanaście godzin wcześniej znajdowali się tysiące kilometrów od Śląska, ziemi, której Ewelina nie tylko nigdy naprawdę nie opuściła, ale do odwiedzenia której zaprosiła najbliższych sobie ludzi, spotkanych nieraz w najdalszych zakątkach świata. Poznajmy niektórych spośród nich...

Cały świat na parkiecie

Brian i Naiara. On jest Amerykaninem, zaś jej ojciec to Bask, mama Katalonka. Naiara urodziła się w Madrycie. Oboje mieszkają w Genewie. On jest redaktorem w „The Economist”, ona uczy dzieci autystyczne wykorzystując do tego sztukę (obecnie zajmując się

Arianne, najmłodszym, bo pięcioletnim, gościem wesela). Briana Ewelina poznała w roku 2003 w Sztokholmie. Od tamtego czasu wiele wspólnie podróżowali po Europie. Odkąd Brian i Naiara przeprowadzili się z Nowego Jorku do Europy w 2010 roku, spotykają się z Ewelina i jej mężem w najrozmaitszych miejscach wreszcie w miarę regularnie.

Edward Belleville to wedle klasyfikacji Eweliny Szkoto-Francuz i zarazem poeta. Opublikował kilka tomów m.in. z podróży po Afryce i Ameryce Południowej, które mimo młodego wieku poznał dogłębnie. Przyjazd do Polski był dla Edwarda ostatnim wypadem przed studiami magisterskimi na uniwersytecie McGill w Montrealu. Poznali się z Ewelina i Ramim w Tuluzie i zostali bardzo bliskimi przyjaciółmi.

Peter to Kanadyjczyk, którego Ewelina spotkała w Genewie, gdzie ukończył Institut Universitaire des Hautes Etudes Internationales (absolwentem Instytutu jest wielu znanych i wybitnych dyplomatów m.in. Kofi Annan). Po studiach wrócił do rodzinnego Waterloo i zajął się pisaniem ikon, w przyszłości chce zostać prawosławnym mnichem (choć Ewelina, uśmiechając się, przewiduje że być może skończy jako prezydent). Gościem tego „śląskiego wesela” był także Ramy, którego mama Bassma Kodmani jest znaną syryjską intelektualistką i dyplomatą, a tata palestyńskim dziennikarzem. Ramy urodził się w Paryżu, jednak młodość spędził w Egipcie. Tam poznał w Lycée français du Caire męża Eweliny Ramiego i Greka Panosa (nigdy nieprzestający się uśmiechać Panos był świadkiem na ślubie). Do Egiptu wrócił rok temu. Teraz zarządza rodzinną firmą (m.in. pływającym po Nilu pasażerskim statkiem). Ramy mieszka w Paryżu i współpracuje z arabskimi organizacjami antyterrorystycznymi. Jest inżynierem.

Mario Hernandez, rodem z Meksyku, to były sąsiad państwa młodych w Tuluzie. Poznali się przy okazji badań, które Ewelina przeprowadzała w związku ze swoją pracą magisterską o polityce reprezentacji na granicznej rzece Rio Bravo. Mario mieszka we Francji od dziesięciu lat. Tu doktoryzował się z automatyki i obecnie zarządza wymianą komputerów w samolotach Airbus. Polskę uwielbia (wesele przyjaciół było okazją do złożenia w naszym kraju bodaj piętnastej już wizyty). Zna też trochę język polski – daje sobie radę w sklepie i na dworcu. Nie wyklucza, że zamieszka tu kiedyś na stałe.

Evelyn i William przed pięćdziesiątką porzucili Londyn (William jest z zawodu prawnikiem, a Evelyn była dyrektorką szkoły), by przez trzy lata budować szpital w Zimbabwie, po czym osiedlili się w słynącym z dzikości Ariege u podnóża Pirenejów, gdzie



Mario, Ewelina i Mama Ramiego

państwo młodzi szczęśliwie trafili na nich i ich przepiękny, magiczny dom w Rouge. Było to pięć lat temu. Także spośród polskich gości niektórzy przybyli z daleka. Zuzanna, uczennica prof. Izabelli Gustowskiej z poznańskiej ASP przywędrowała z synami z Mediolanu, gdzie uczy rysunku na tamtejszej Akademii Sztuk Pięknych.

Selvi nie przyjechała wprawdzie z daleka, bo z Warszawy, ale jej tata (sąsiad Eweliny z Michałkowic) przybył do Polski z Madurai w stanie Tamil Nadu w południowych Indiach, by studiować metalurgię na krakowskiej AGH. Tu poznał Zosię z Frysztaka (mamę Selvi). Gościem tego śląskiego wesela był także przyjaciel z licealnej klasy Eweliny Grzesiu, który w Berlinie pracuje jako nauczyciel (ukończył lingwistykę stosowaną w Poznaniu). Dzięki Grzegorzowi w 1995 roku poznałem jego tatę, Rajmunda Hankego, z którym połączyły mnie serdeczne więzi. Był też i Jacek ratujący architekturę Bytomia oraz Agnieszka – koncertmistrz Orkiestry Symfonicznej Filharmonii Częstochowskiej, no i cały pluton małych latochołki kręcących się pod nogami, do których mamy mówić w różnych językach... I nie sposób, doprawdy wyobrazić sobie wesel tych pociech!!! Może zagra im ten sam DJ, który dbał o znakomitą muzykę na weselu Eweliny i Ramiego, czyli Szymon Padoł vel DJ 5cet... To remikser, producent i DJ z Katowic Dębu. Pionier śląskiego drum'n'bassu, współtwórca muzyki do filmu *Jesteś Bogiem* o katowickim, owianym legendą zespole Paktofonika.

I znów Chorzów...

Wodzirejami tego międzynarodowego wesela (wino oczywiście przywieziono z Francji, a wódka rzecz jasna musiała być polska) byli Dominika i Jon (bardziej znany jako Jonek). Mieszkają w Bergen i oboje są ludźmi teatru. Dominika (chodziła do tego samego liceum, co Ewelina, choć do innej klasy) ma niebawem premierę swojego pierwszego spektaklu autorskiego zrealizowanego przez założoną przez nią polsko-norweską grupę Open Window. To już 8 października w Chorzowskim Centrum Kultury. Koniecznie zainteresujcie się Państwo tym artystycznym wydarzeniem! A nieco wcześniej, bo 30 września odbędzie się w tymże Chorzowie, w Miejskim Domu Kultury „Batory” dwunaste już spotkanie naukowe z cyklu *Medium Mundi*. Temat – opatrnościowo zupełnie pomyślany przed rokiem – to: *W kręgu Medei. Obcy-Inny-Swój*. Opisane tu „śląskie wesela” stało się dla mnie swoistą zapowiedzią wrześniowego spotkania, na które także najgoręcej zapraszam. Rozważania, chcemy podjąć z udziałem m.in. prof. Ewy Chojeckiej,



Edward i William

prof. Tadeusza Sławka, ale także gości z daleka, wśród których będą Krzysztof Czyżewski i Alek Laskowski oraz wielu innych.

Warszawski tramwajarz z Michałkowic

Jeszcze jedno, brat panny młodej – oczywiście siemianowiczanie z Michałkowic – marzył w dzieciństwie, by zostać warszawskim tramwajarzem... I został. Na wesele siostry przyjechał ze stolicy z żoną warszawianką. Marzył, by prowadzić warszawski tramwaj, ale nie po centrum miasta, tylko na Pradze. I to marzenie zrealizował. On też (zaznaczmy: abstynent) wypowiedział – patrząc na rozradowane twarze międzynarodowego grona – znamienne myśli, że mianowicie powyżej jednego promila alkoholu we krwi wszyscy są Polakami...

Śląsk w Tybecie

Patrzyłem na gości wesela Eweliny i Ramiego, rozmawiałem z nimi, a uczestnicząc w pełnej smaku i radości zabawie uświadamiałem sobie, jak wiele zmieniło się na Śląsku w ciągu mojego życia. Nie byłem zaskoczony tym, że czułem się w tym gronie i w tej sytuacji zupełnie naturalnie. Uświadamiałem sobie, że to nie tylko terażniejszość, ale i przyszłość naszego lokalnego świata i że to, w czym uczestniczę, nie wchodzi w żaden konflikt z przeszłością i nie ma w tym niczego dla Śląska nienaturalnego. Przywołałem też w pamięci tytułowy esej z tomu *My są tukej*. Książka ma podtytuł *Kilka szkiców o przestrzeniach Śląska*. Ukazała się pod redakcją Wojciecha Kalagi w roku 2004 w serii *Bibliotheca: Alia*

universa. Aleksander Nawarecki zaczął swój tekst od przytoczenia autentycznej historii o trzech przyjaciółkach z Chorzowa (Joannie, Lucynie i Rucie), które w sierpniu 1979 roku dotarły do Bombaju, a następnie wędrując przez Indie trafiły do Nepalu. W Katmandu znalazły się w sercu obchodów buddyjskiego święta. I właśnie wtedy w świecie tak odległym i kulturowo odmiennym nagle usłyszały słowa, którym zrazu nie mogły dać wiary: „Kaj my to som”. Ruta ocknęła się najszybciej spontanicznie wykrzykując odpowiedź „My som tukej”.

Zakłęte w ciszę zdumienie

Oddajmy na koniec głos Aleksandrowi Nawareckiemu: „Usłyszały [...] śląską mowę, jakby echo domowego podwórka, oddalonego przecież o tysiące kilometrów. Głos rodzinnej przestrzeni, dotkliwie szarej i ciasnej, której przyziemność i więzienne zamknięcie wydawały się w tej chwili bezgranicznie odległe. Odległe i nierealne, jak widmo PRL-u zapomnianego w euforii wakacyjnej ucieczki. Po obu stronach zapanowało zakłęte w ciszę zdumienie”.

Tak... Zakłęte w ciszę zdumienie. Gdy spotykamy Innego, gdy Obcy przestaje nim być. Gdy poważanie zamyślamy się nad „swojością”, gdy otwieramy szeroko oczy w świecie obdarzającym nas zdumiewającym darem spotkania drugiego człowieka, człowieka, który podróżuje, zapuszcza korzenie, otwiera się ufnie w stronę tego, co zrazu nieznane, a drogocenne, bez którego nasze życie straciłoby wiele, a my sami o wiele mniej wiedzielibyśmy o nim i sobie.



JOW-y? My już to ćwiczyliśmy!

KRZYSZTOF KOSIŃSKI

Czekałem z tym tematem, wstrzymywałem się specjalnie do chwili, aż referendum będzie za nami. Nie chciałem wpisywać się w żadną kampanię, a tym bardziej polityczną awanturę. Referendum się odbyło. Jak wyszło, wszyscy wiemy...

Zastanawiam się, ilu Polaków tak naprawdę wie, że owe osławione JOW-y czyli wybory większościowe, jednomandatowe funkcjonują w części samorządów od lat, a w jeszcze większej – od jesiennych wyborów samorządowych ubiegłego roku? Że w 95 procentach polskich gmin jesienią ubiegłego roku tak właśnie wybierano radnych? Oczywiście z góry zaznaczam, że 95 procent gmin to na pewno nie 95 procent Polaków, ale jednak i tak dużo. Media w czasie tamtych wyborów skoncentrowały się przede wszystkim – co dosyć oczywiste – na zamieszaniu (czy, jak woła niektórzy, na aferze) z liczeniem głosów, awarią systemu informatycznego czy też konsekwencjach stosowania takich, a nie innych kart wyborczych (które w rzeczywistości nie były żadnymi kartami, tylko książeczkami)... Na dodatek ogólnopolskie media niewspółmiernie wielką wagę przykładają do wyborów do sejmików, które traktowano jako „supersondaz” poparcia dla partii politycznych. Do tego doszły spektakularne przegrane niektórych wieloletnich prezydentów dużych miast. Kto by miał głowę i ochotę zajmować się szczegółami ordynacji w tysiącach gmin?

Tymczasem właśnie w 2014 roku jednomandatowe okręgi wyborcze zaczęły obowiązywać w wyborach do **większości rad gmin w całej Polsce!** Zresztą wybory radnych w jednomandatowych okręgach odbywały się i przed 2014 rokiem. Wcześniejsza ordynacja przewidywała wybory większościowe w gminach do 20 tys. mieszkańców. Większościowe być musiały, ale niekoniecznie jednomandatowe. To od decyzji samorządu zależało, czy gminę podzieli się na jedno-, czy wielomandatowe okręgi (nie większe jednak niż pięciomandatowe). W okręgach wielomandatowych każdy wyborca dysponował tyłoma głosami, ile mandatów pozostawało do obsadzenia w okręgu, a mandaty otrzymywali ci kandydaci, którzy po prostu zebrali najwięcej głosów.

W gminach powyżej 20 tys. mieszkańców – czyli zwykle w średnich i dużych miastach – do 2014 r. wszystko było po staremu – ordynacja proporcjonalna, podobna do tej sejmowej, stosowana również w wyborach do rad powiatów i sejmików wojewódzkich. Komitety wyborcze wystawiały tradycyjnie okręgowe listy kandydatów, a wyborcy mogli oddać **TYLKO JEDEN GŁOS** ze wskazaniem na konkretnego kandydata. Potem przeliczano głosy na mandaty z wykorzystaniem systemu d'Hondta (to absolutnie czarna magia dla większości wyborców), przy czym obowiązywał pięcioprocentowy ustawowy próg wyborczy.

Od 2014 roku wybory proporcjonalne przeprowadza się wyłącznie w miastach na prawach powiatu. Jaka to skala zmian? Zależy, jak na to spojrzeć. W województwie śląskim jest 19 miast na prawach powiatu, a gmin – 168. Z tego punktu widzenia zmiana jest ogromna. Należy jednak także pamiętać, że ta dziesiętnastka to miasta największe, najliczniejsze. W województwie śląskim mieszka ok. 4,5 mln ludzi, z czego w tych 19 miastach na prawach powiatu – aż 2,58 mln!!! Mimo wszystko jednak te pozostałe 149 gmin to 149 rad. To armia grubo ponad 2 tysiące radnych wybranych właśnie w JOW-ach.

W wyborach większościowych od 2014 roku zlikwidowano także dotychczasową możliwość tworzenia okręgów wielomandatowych. Wszystkie miasta i gminy trzeba dzielić na okręgi jednomandatowe (przypomnijmy, że minimum 15 okręgów, bo tylu radnych musi być w najmniejszej nawet gminie).

MALI I DUZI

Oto przykłady skutków: w małej gminie Jejkowice (w powiecie rybnickim), liczącej nieco ponad trzy tysiące wyborców, w 2010 r. było pięć okręgów 3-mandatowych (tak średnio po 600 uprawnionych do głosowania). Żeby zostać radnym, trzeba było uzyskać od 79 do 146 głosów. W ubiegłym roku mieliśmy tam już 15 okręgów (mniej więcej po 200 uprawnionych do głosowania).

Do wygranej wystarczyło czasem ok. 50 – 60 głosów.

A teraz przykład miasta dość dużego, w którym nastąpiła zmiana ordynacji z proporcjonalnej na jednomandatową – Tarnowskie Góry, miasto liczące prawie 50 tys. wyborców. W 2010 roku do wyborów proporcjonalnych stanęło 8 komitetów wyborczych i 301 kandydatów. Najmniejsza liczba głosów potrzebna do wygrania wyborów to były wtedy 133 głosy. Rekord to 753 głosy. Średnio radni, którzy wygrali wybory, otrzymywali między 250 a 350 głosów.

A rok 2014? Liczba kandydatów zmalała z 301 do 86. To jedno z ważniejszych zjawisk przy wyborach jednomandatowych – nie wystawia się długiej listy kandydatów, o których z góry wiadomo, że mandatów nie zdobędą. Żeby zostać radnym w Tarnowskich Górach, w 2014 r. trzeba było otrzymać minimum 202 głosy, rekordzista zdobył ich 633. Średnia to nieco powyżej 400 głosów. Jak widać, radni wybrani w wyborach jednomandatowych mogą pochwalić się znacznie wyższym poparciem wyborców. To efekt tego, że „nie pracowały” na nich głosy oddane na innych kandydatów z tego samego komitetu wyborczego. Ktoś mógłby powiedzieć, że przeczy temu ów rekordowy wynik z 2010 r. – 753 głosy. Tymczasem jest wprost przeciwnie – to efekt dodatkowy ordynacji jednomandatowej. Zniknął mechanizm „lokomotywy” wyborczej w postaci znanego wszystkim kandydata na burmistrza czy wójta. Powszechnie stosowany był (i nadal jest stosowany w wyborach proporcjonalnych) zabieg wystawiania kandydata na burmistrza (wójta) jako „jedyńki” na liście jego komitetu wyborczego. Popularność kandydata gwarantowała dodatkową porcję głosów. Poza tym, jeśli kandydat burmistrzem nie zostawał, na otarcie leż pozostawał mu mandat radnego. Jeśli wygrał, rezygnował z mandatu, a na jego miejsce wchodził automatycznie kolejny kandydat z jego listy. Znane są skrajne przypadki, gdy wygrywający wybory burmistrz z grona radnych dobierał sobie ekipę najbliższych współpracowników (zastępców, sekretarza gminy itd.). W efekcie – mandat radnego otrzymywał ktoś z absolutnie śladowym poparciem (bywało, że ktoś taki mógł się „pochwalić” wręcz kilkoma głosami oddanymi na siebie). W wyborach jednomandatowych ten „chwyt” nie jest stosowany. Dlaczego? Ponieważ głosy oddane na radnego, który równocześnie zostaje np. wójtem, nie mają żadnego wpływu na wynik wyborów innych kandydatów. W przypadku rezygnacji z mandatu, nikt nie wchodzi automatycznie do rady, lecz przeprowadzane są dodatkowe wybory uzupełniające. A nikt przecież nie da gwarancji, że wygra je kandydat tego samego komitetu... Można się zastanawiać, czy taki mechanizm ma również pewną słabą stronę? Jeśli kandydat na burmistrza (wójta) przegrywa wybory, wybrani z jego komitetu radni tracą naturalnego przywódcę, który pozostaje poza radą.

Czy obawa o utratę jednego mandatu w wyniku wyborów uzupełniających jest tak silna, że z tego powodu kandydaci na burmistrzów (wójtów) rezygnują z ewentualnego mandatu radnego? Jak widać, często ten jeden mandat jest na waga złota. Poza tym, być może silnym hamulcem jest także obawa przed opinią publiczną, która raczej niechętnie patrzy na duże koszty orga-

nizacji dodatkowych wyborów. Na to pytanie mogliby odpowiedzieć już tylko sami zainteresowani (pod warunkiem, że uzyskalibyśmy szczerą odpowiedź)...

BUNT ANTYSYSTEMOWY?

Co jeszcze zmieniło się w wynikach wyborów ubiegłego roku w porównaniu z rokiem 2010 na przykładzie Tarnowskich Gór? W obu wyborach swoich kandydatów wystawiły zarówno największe partie polityczne, jak i komitety lokalne. Ale w niedawnych jednomandatowych – **partie nie zdobyły ani jednego miejsca w radzie**. Może ktoś powiedzieć, że to efekt narastającej niechęci do partii politycznych, że może to był pierwszy, niezauważony jeszcze wtedy objaw owego „buntu przeciw systemowi”, który z taką siłą dał o sobie znać w niedawnych wyborach prezydenckich? Być może i to miało swój wpływ, ale... Wiem, że szczegółowe zestawienia liczbowe nie są zbyt atrakcyjne w publicystyce, jednak może warto spojrzeć na to jedno zestawienie?

Komitety Inicjatywa Obywatelska	– 8.750 głosów;
Prawo i Sprawiedliwość	– 3.312 głosów;
Platforma Obywatelska	– 3.170 głosów;
Przyjazny Samorząd	– 2.368 głosów.

Inicjatywa Obywatelska to lokalne ugrupowanie – komitety wyborcze zwycięskiego burmistrza. To jeden z symptomów wyborów jednomandatowych w gminach – wysokie zwycięstwa komitetów tych, którzy wygrali równocześnie wybory na burmistrza czy wójta. Z moich obliczeń (na podstawie wyników Państwowej Komisji Wyborczej) wynika, że tam, gdzie ordynacja jednomandatowa zajęła miejsce proporcjonalnej, liczba miast i gmin, w których wybrani burmistrzowie i wójtowie uzyskali bezwzględna większość w radach – zwiększyła się aż dwukrotnie! To nie może być tylko wynikiem jakichś przesunięć sympatii wyborców. Wskazuje na to fakt, że w miastach na prawach powiatu oraz w gminach, w których wybory większościowe obowiązywały już wcześniej – zmiany są minimalne.

Proszę też zwrócić uwagę na coś, co może wielu zaskoczy: kolejność w powyższym zestawieniu w porównaniu z liczbą uzyskanych mandatów w radzie. Inicjatywa Obywatelska uzyskała miążdzącą większość – 21 mandatów w 23-osobowej radzie. A pozostałe dwa mandaty? Przypadły komitetowi... ostatniemu! To także efekt jednomandatowego systemu wyborczego, gdzie nawet wysoki wynik jednego kandydata nie ma żadnego wpływu na sukces drugiego z tego samo ugrupowania w innym okręgu.

Generalnie obliczenia wskazują, że wprowadzenie JOW-ów wpłynęło na spadek znaczenia partii politycznych w samorządzie. Oczywiście, nie należy zapominać, że część tzw. niezależnych kandydatów to jednak w istocie członkowie partii lub z poparciem partii korzystający. Niemniej liczby są na tyle wyraziste, że nie ulega wątpliwości, iż w gminach, w których system proporcjonalny zastąpiły JOW-y, widać spadek udziału kandydatów partyjnych, a jeszcze wyraźniejszy jest spadek udziału radnych reprezentujących

partie (średnio aż o 15 punktów procentowych). Natomiast w gminach, w których system wyborczy pozostał bez zmian – także w tej mierze sytuacja pozostała stabilna.

WIĘCEJ CHĘTNYCH

Kolejna zmiana, którą warto zauważyć, to znaczący wzrost liczby komitetów wyborczych w tych gminach i miastach, w których JOW-y zastąpiły dotychczasowe wybory proporcjonalne. Liczba partii politycznych nie uległa zmianie, zatem oznacza to znaczne uaktywnienie organizacji lokalnych. Nawet te stosunkowo nieduże dostrzegły szansę zaistnienia w samorządzie lokalnym. Przy jednomandatowych wyborach można z powodzeniem wystawić swoich kandydatów tylko w części, a nawet w jednym okręgu. Wcześniej nie dawało to żadnych szans na wprowadzenie swoich radnych, gdyż głosy na dany komitet sumowały się w całej gminie. **Przeciętna liczba komitetów startujących w wyborach w gminie zwiększyła się z sześciu do prawie dziesięciu.**

SPRAWIEDLIWIE CZY PO RÓWNO?

Politologia zna jeszcze dwa wskaźniki – mierniki określające wynik wyborów. To współczynnik Gallaghera, opisujący tzw. **dysproporcjonalność wyborów**. To parametr, który określa, jak duże jest podobieństwo podziału mandatów do liczby uzyskanych głosów. Im bardziej procent zdobytych mandatów podobny jest do procenta głosów zdobytych przez poszczególne komitety, tym mniej dysproporcjonalny jest system. Od dawna wiadomo, że systemy większościowe prowadzą do większej dysproporcjonalności niż systemy proporcjonalne. Trzeba jednak pamiętać, że wybory w pełni proporcjonalne nieraz powodują rozdrobnienie mandatów prowadzące nawet do paraliżu władzy. Przecież właśnie, żeby tego uniknąć, wprowadzono tzw. progi wyborcze. W wyborach większościowych progi nie są potrzebne. Współczynnik Gallaghera wyliczany jest dość skomplikowanym wzorem:

$$Gh = \sqrt{\frac{1}{2} \sum_i \left(\frac{y_i}{\sum_i y_i} - \frac{x_i}{\sum_i x_i} \right)^2}$$

gdzie x – oznaczają odsetki głosów, a y – odsetki mandatów uzyskane przez i -ty komitet wyborczy.

Zgodnie z przewidywaniami, w tych gminach, gdzie JOW-y zastąpiły wybory proporcjonalne, wskaźnik ten zwiększył się prawie sześciokrotnie! Współczynnik Gallaghera to wartość dość abstrakcyjna, stworzona przez naukowców. Bliższe naszej intuicji mogą być odsetki „głosów zmarnowanych”, czyli oddanych na te komitety wyborcze, które nie otrzymały ani jednego mandatu w radzie. Ten wskaźnik w omawianych miastach i gminach też wyraźnie się zwiększył. W wyborach proporcjonalnych ok. 6% głosów „marnowało się”, w systemie JOW – już 14%.

Przypomnijmy jednak, że trwa i zawsze trwać będzie dyskusja, czy to wada czy zaleta? Jedni powiedzą, że przez taki system znaczna część wyborców zostaje pozbawiona swoich reprezentantów we władzy. In-

ni – że dzięki temu skuteczniejszy jest system odsiewania „planktonu politycznego” i dzięki temu – władza działa sprawniej. Ja przytaczam tylko fakty i liczby. Każdy z Czytelników zapewne sam dokona ich subiektywnej interpretacji i oceny.

Gwoli rzetelności naukowej i dziennikarskiej warto chyba jeszcze raz przypomnieć, że omawiane wskaźniki i proporcje w tych miastach i gminach, w których system wyborczy nie zmienił się – są bardzo podobne w 2010 i 2014 r. Można zatem z dużą dozą pewności stwierdzić, że zmiany między jednym a drugim wyborami nie wynikają ze zmian sympatii politycznych, ale właśnie z przyjętego systemu wyborczego.

LICZBY TO NIE WSZYSTKO

Powyższe rozważania opierają się w znakomitej większości na tzw. twardych faktach i liczbach. Ocena pracy samorządów wybranych wg nowych zasad, to już kwestia subiektywnych ocen. Nie czuję się do tego uprawniony, zwłaszcza w niecały rok po wyborach. Zamiast tego zatem pozwolę sobie tylko na krótkie cytaty z sejmowych debat na temat nowej wyborczej ordynacji.

Poseł Waldy Dzikowski (PO): – *Po wyborach w okręgach jednomandatowych wzrasta jakość wszelkiego rodzaju ciał, które są wybierane.*

Poseł Andrzej Mikołaj Dera (PiS): – *To jest rozsadzenie samorządów od środka. Będzie to ruina pewnej zasady integralności w działaniach samorządu terytorialnego. Burmistrzowie czy prezydenci, wybrani również z list Platformy Obywatelskiej, są przerażeni tym pomysłem. To jest po prostu dywersja, jeśli chodzi o samorząd.*

I jeszcze raz Poseł Waldy Dzikowski PO: – *Nie ustaniemy oczywiście, jako klub Platformy Obywatelskiej, w staraniach, aby ordynację w jednomandatowych okręgach wyborczych wprowadzić także do Sejmu i być może do następnych poziomów samorządu terytorialnego.*

Proszę zauważyć, że tylko przy „następnych poziomach samorządu pojawiło się owo „być może”...

NIESPEŁNIONE NADZIEJE

Na koniec na pewno warto jeszcze przypomnieć coś bardzo ważnego. W czasie sejmowej dyskusji nad ustawą wprowadzającą JOW-y w miastach i gminach, poseł Waldy Dzikowski z PO mówił: – *Okręgi jednomandatowe spowodują polepszenie frekwencji, takie są doświadczenia w prawie pięćdziesięciu, sześćdziesięciu krajach, gdzie obowiązują jednomandatowe okręgi wyborcze.*

Nie da się ukryć, że wprowadzenie JOW-ów nie wpłynęło w żaden znaczący sposób na poziom frekwencji wyborczej. Przyczyn niskiej frekwencji należy zatem wciąż poszukiwać gdzie indziej. Tylko ciekawe, czy politycy też już to sobie uświadomili...

Opinie wyrażone w niniejszym artykule są wyrazem poglądów autora i nie zawsze są tożsame ze stanowiskiem samorządów lokalnych i organizacji samorządowych w województwie śląskim.



Taka gmina...

JOLANTA MATIAKOWSKA

Gmina Rudziniec ze swoją powierzchnią stu sześćdziesięciu kilometrów kwadratowych jest największą w powiecie gliwickim, ale i jedną z najsłabiej zaludnionych. Nie dziwi to. Gołym okiem widać, że to gmina zielona. Rolnicza i leśna. Ze względu jednak na swoje położenie w bliskości dwu przemysłowych aglomeracji województwa śląskiego i opolskiego jest gminą z większymi szansami na rozwój niż inne. Ma swoje atuty. Do nich trzeba zaliczyć strategiczne szlaki komunikacyjne, biegnące przez jej tereny. Takie jak linia kolejowa Opole-Katowice, autostrada A4 razem z węzłami dróg krajowych nr 88 i nr 40 oraz przywracany do dawnej świetności szlakiem wodnym Kanału Gliwickiego.

Zmodernizowana już śluza tego kanału w Rudzińcu, z olbrzymimi wrotami jej komory, wydaje się naturalnym symbolem otwartości całej gminy i jej szansy na rozwój zrównoważony. Rudziniec korzysta z niej skuteczniej niż inne gminy. Z optymalnym wykorzystaniem wsparcia unijnego i pomocy finansowej Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach.

Rudziniec to wspólna nazwa zarówno dla gminy; jednej z sześciu potężnych śluz Kanału Gliwickiego jak i nadleśnictwa, podległego Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Katowicach. Łączy je jednak coś więcej. Inwestycje za dobrze wykorzystywane unijne i ekologiczne pieniądze, które przez lata służyć będą ludziom, środowisku, gospodarce.

Dla Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach (jako jedyny w kraju pozostał jednostką wdrażającą unijny Program Operacyjny „Infrastruktura i Środowisko” na lata 2014-2020” w swoim regionie) był to powód, by zaprosić dziennikarzy na wyjazd studyjny do tych właśnie rudzynieckich miejsc. Do gminy gdzie widać owoce mą-

drego gospodarowania. Gdzie pozyskiwanie funduszy unijnych, ekologicznych z WFOŚ i GW w Katowicach, pomaga rozwiązywać i problemy bieżące, i zapobiegać nowym w przyszłości, nie tylko w samym powiecie rudzynieckim. Dotyczą one m. in. komunikacji, ochrony środowiska czy adaptacji do nasilających się skutków zmian klimatu.

Kanał dla transportu

Jeszcze w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, Kanałem Gliwickim, który łączy to miasto z Odrą w Kędzierzynie-Koźlu, spławiono śląski węgiel i stal do Szczecina i dalej. Transport wodny za-

wsze był tańszy od lądowego. Niestety, nawet wówczas nie było pieniędzy, na remonty, utrzymywanie urządzeń kanału w dobrym stanie technicznym. Nie podolał temu zadaniu stworzony specjalnie w tym celu Program dla Odry 2006. Dopiero zgłoszenie modernizacji Kanału Gliwickiego do sfinansowania z unijnego Funduszu Spójności, zaczęło przynosić rezultaty. Projekt modernizacji kanału podzielono na trzy etapy. W pierwszym etapie przewidziano modernizację czterech śluz odrzańskich na odcinku będącym w zarządzie RZGW Gliwice – w celu przystosowania ich do III klasy drogi wodnej. Wskazano na Kłodnicę, Rudziniec, Dzierżno i Łabędy. To przedsięwzięcie sfinansowano w ramach działania pn. „Poprawa stanu śródlądowych dróg wodnych” z Programu Operacyjnego „Infrastruktura i środowisko 2007-2013”.

Nowe oblicze śluzy kanału w Rudzińcu, przebudowanej i wyremontowanej z zachowaniem (z nakazu konserwatorskiego) jej pierwotnych mechanizmów napędowych, zachwyca dziś sprawnością i nowoczesnością. Ten obiekt, podobnie jak i pozostałe zmodernizowane w I etapie projektu, z elektroniczną sterownią, z nową konstrukcją komory; pomostami oraz potężnymi, szczerlnymi wrotami, zamykanymi na czas śluzowania jest nadzieją, że Kanałowi Gliwickiemu można przywrócić funkcję spławnej autostrady wodnej. Z korzyścią dla środowiska naturalnego, żeglugi turystycznej i gospodarki.

Sprywatyzowane i sprzedane barki do przewozu towarów, które odpłynęły do Niemiec, z pewnością powrócą, gdy zakończy się nowoczesna modernizacja szlaku żeglugowego i jego urządzeń na całej długości tego kanału. Wypisane wielkim drukiem w obiektach wyremontowanych śluz hasło „Wpuścimy transport w kanał” nie pozwoli o takiej możliwości zapomnieć. I zaprzepścić szansy, jaką daje nowa perspektywa finansowa Programu Operacyjnego „Infrastruktura i Środowisko” na lata 2014 -2020 i gotowe projekty na dokończenie inwestycji, której nie da się przecenić!

Rudziniec inwestuje

Podobnie jak inwestycji w gminie Rudziniec. Jej wójt Kazimierz Obrzut jest dumny z tego, jak bardzo zmieniają swoje oblicza gminne miejscowości. Jest ich aż siedemnaście, rozrzuconych na wielkim obszarze. Trudnym do typowego inwestowania. Gmina znalazła jednak rozwiązanie korzystając ze swoich ogromnych walorów. Szczególnego położenia, zabytków, bogatej przyrody, którą trzeba chronić dla dobra wspólnego i lepszej jakości życia, dużych możliwości turystycznych, rekreacyjnych.

Jej wyborem stał się rozwój zrównoważony. I w ślad za nim, wzorcowa współpra-

Zdjęcia: Gracyna Kurowska



Wrota Kanału Gliwickiego otwarte dla inwestycji w gminie Rudziniec

ca z Wojewódzkim Funduszem Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach. Zwracał na nią uwagę podczas dziennikarskiego rekonesansu w Rudziniecu prezes zarządu tej instytucji Andrzej Pilot, przypominając, że większość inwestycji w tej gminie jest oparta o funduszowe wsparcie. A efekty są znakomite.

Trudno wszystkie wyliczyć. Służą ludziom, środowisku, poprawie klimatu. Tu dostrzega się związki pomiędzy ekologicznymi zadaniami lokalnymi a skutkami jego zmian. Dlatego termoizolacja budynków użyteczności publicznej są w tej gminie zadaniem priorytetowym. Tak jak program ograniczania niskiej emisji, związany z montażem urządzeń solarnych i wymianą domowych źródeł ciepła na bardziej ekologiczne czy konsekwentne od 2009 roku usuwanie azbestu z budynków.

Największym problemem w tej gminie okazało się jej kompleksowe skanalizowanie. Ze względu na wielki obszar, małe zaludnienie i wielkie odległości pomiędzy budynkami realizacja projektu byłaby zabójczo droga. Gmina kanalizuje więc poszczególne sołectwa stopniowo, w miarę posiadanych środków. Obecnie kanalizacja gminy obejmuje część Bojszów, Poniszowic i Słupska. W tym roku rozpoczęto kanalizowanie miejscowości Rudziniec. Ze względu na wysokie koszty kanalizacja powstanie w trzech etapach. Ale już po pierwszym etapie mieszkańcy zamieszkujący w domach pomiędzy Kanałem Gliwickim a linią kolejową, będą mogli podłączyć je do tej kanalizacji. Ścieki z niej popłyną do lokalnej oczyszczalni ścieków w sąsiedniej gminie Ujazd. Na ten cel gmina przeznacza pieniądze z umorzonych przez katowicki WFOS i GW pożyczek.

W porządkowaniu gminnej gospodarki wodno-ściekowej szczególną rolę odgrywa niemal powszechna budowa przydomowych oczyszczalni ścieków. W ramach tego przedsięwzięcia w gminie Rudziniec w latach 2011-2014 wybudowano 271 takich obiektów. Wszędzie tam, gdzie warunki terenowe lub wysokie koszty uniemożliwiły budowę kanalizacji zbiorczej.

Ten projekt jest i będzie nadal realizowany. Dzięki kolejnemu wsparciu katowickiego Funduszu gmina dofinansuje koszt zakupu i montaż czterdziestu kolejnych przydomowych oczyszczalni. I myśli o dalszych.

Gmina Rudziniec jest otwarta na inwestycje. Małe i duże. I liczy po cichu, że nowi inwestorzy, dla których nie starczy miejsca choćby w gliwickiej strefie ekonomicznej, znajdą właśnie tutaj znakomite warunki do prowadzenia swoich interesów.

Zatrzymać wodę

Bezustannego inwestowania wymagają także lasy. Te z Nadleśnictwa Rudziniec są mocno osłabione, łatwopalne. To nie przy-



Kanałem Gliwickim przez Rudziniec

padek. Wciśnięte pomiędzy przemysł chemiczny opolskiego Kędzierzyna Koźła i Aglomerację Śląską, rozlokowane na obszarze pięciu powiatów i dziesięciu gmin, ciągle walczą o trwanie. Z naporem cywilizacji, zanieczyszczonym powietrzem, wszelkimi plagami atakującymi osłabione lasy coraz gwałtowniej, w warunkach ocieplającego się klimatu.

Lasy rudzinięckie ledwie uszły z życiem w 1992 roku podczas największego pożaru w Rudach Raciborskich, który dotarł do południowej części tego nadleśnictwa, pochłaniając ponad 2154 hektarów drzewostanów. Kilka lat później ten sam las został podtopiony i zginął na 370 hektarach. W 2008 roku na ponad 200 hektarach padł pod niszczycielską siłą tornada. Dwa lata później na skutek śnieżno-lodowej okiści i szadzi drzewa leśne łamały się jak zapalki. Tego lata nie oszczędziła go też klęska suszy. Ani pożar, który na szczęście udało się szybko ugasić, dzięki zrealizowanym w tym nadleśnictwie inwestycjom, związanym z retencjonowaniem wody.

W lasach rudzinięckich, podległych obszarowo RDLP w Katowicach, z powodzeniem zrealizowano nie tylko wieloletni program modernizacji Odrzańskiego Systemu

Wodnego „Program dla Odry 2006”. Jego celem w lasach było podniesienie bezpieczeństwa przeciwpowodziowego z zachowaniem zrównoważonego rozwoju terenu całego dorzecza oraz poszanowaniem bogatych na tym obszarze zasobów przyrody.

W ostatnich latach w porę ukończono w nich również przedsięwzięcia, związane z małą retencją nizinną. Dzięki projektom finansowanym z funduszy unijnych, w ramach Programu Operacyjnego „Infrastruktura i Środowisko”, w lasach rudzinięckich zmodernizowany został staw Poręba w leśnictwie Świbie. Odtworzono też dwa ciągi zbiorników paciorkowych, z dziewiętnastoma stawami, w leśnictwie Proboszczowice.

Te naturalne urządzenia wodne, przydatne zarówno podczas powodzi jak i suszy, nie tylko wzmacniają ekosystem leśny, poprzez zapobieganie suszy glebowej. Spowalniają spływ wód podczas nawalnych deszczów, a więc i chronią drzewostany przed zniszczeniem. Zapewniają wodę leśnym zwierzętom, ptakom i owadom. Służą wzbogacaniu bioróżnorodności. Tworzą też dobry mikroklimat dla otoczenia poza lasem, nawet w regionalnej skali.



Zbiorniki paciorkowe w leśnictwie Proboszczowice



Jubileusz Romana Bergera

9 sierpnia bieżącego roku 85. urodziny obchodził Roman Berger, jeden z najwybitniejszych polskich kompozytorów – chociaż jako polski kojarzony oficjalnie dopiero od końca lat 80. zeszłego stulecia. Roman Berger urodził się w czeskim Cieszynie jako syn zasłużonego pastora ewangelickiego i działacza społecznego Józefa Bergera. Po maturze uzyskanej w polskim gimnazjum w Czeskim Cieszynie rozpoczął studia w zakresie fortepianu i teorii muzyki w PWSM w Katowicach. Przerwał je w roku 1952, kiedy rodzina Bergerów przeniosła się do Bratysławy. W stolicy Słowacji mieszka Roman Berger do dziś. Na jego biografii odcisnęły ślad przemiany polityczne, jakie zaszły w tym kraju w II połowie XX wieku. A więc najpierw okres prosperity: Roman Berger kończy studia pianistyczne w Wysokej Szkole Muzycznych Umiejętności (1956) i podejmuje w tej samej szkole studia kompozytorskie (u Dezidera Kardoša). W roku 1965 uzyskuje dyplom z wyróżnieniem. W międzyczasie znajduje pracę jako nauczyciel fortepianu w bratysławskiej szkole muzycznej, a po dyplomie kompozytorskim nawiązuje kontakt ze Studium Dźwiękowym Telewizji Czechosłowackiej oraz Wydziałem Teorii Wysokiej Szkoły Muzycznych Umiejętności. Wstępuje też do Związku Kompozytorów Słowackich. Lata 60. to okres znaczących sukcesów kompozytorskich. Artysta uzyskuje Nagrodę Krytyki Czechosłowackiej (1966) oraz Nagrodę Słowackiego Funduszu Muzycznego im. J.L. Belli (1967). W roku 1968 wraz z gronem kolegów ze Związku Kompozytorów próbuje zorganizować w Bratysławie festiwal muzyki współczesnej, na wzór „Warszawskiej Jesieni”. Niestety, inwazja w Czechosłowacji w sierpniu 1968 roku uniemożliwia kontynuowanie tych starań. Wkrótce niedoszłych organizatorów festiwalu – zdeklarowanych zwolenników muzycznej awangardy – dosięga fala represji. Zostają usunięci ze Związku Kompozytorów; kilku wyjeżdża za granicę, pozostali – w tym Roman Berger – zostają. Na dalszą pracę w uczelni i studium telewizyjnym artysta nie ma co liczyć – do roku 1977 pozostaje bezrobotny. Poświęca się kompozycji i publicystyce – oficjalnej i tej przeznaczonej do szuflady, która jest dokumentacją buntu wobec komunizmu, ale i zachodniego komercjalizmu. Ta druga znajduje się później w opublikowanej w Bratysławie w 1997 roku książce pt. *Muzyka i prawda (Hudba a pravda)*.

Do życia zawodowego powraca w 1977 roku, kiedy ponownie wstępuje do Związku Kompozytorów Słowackich i uzyskuje niepełny etat w Instytucie Sztuki Słowackiej Akademii Nauk. Poprawa warunków życiowych skutkuje intensyfikacją twórczości. Następuje też szereg wykonań jego utworów w Polsce, z którą nigdy nie stracił kontaktu. Już w la-

MIĘDZY NUTAMI



tach 70. był kilkakrotnie w Katowicach i Wiśle, utrzymując bliskie przyjacielskie stosunki z rodziną Bożeny i Ryszarda Gabriśiów. W 1986 roku orkiestra Filharmonii Śląskiej wykonała jego *Transformacje* na orkiestrę, a dwa lata później *Adagio dla Jana Brannego* na skrzypce i fortepian (kompozycja ukończona w 1987 roku) zostało wykonane na „Warszawskiej Jesieni”. Od tego momentu rozpoczyna się spektakularne *come back* Bergera w Polsce. W 1988 roku otrzymał on zaproszenie na zorganizowaną w Warszawie przez Krystynę Tarnawską-Kaczorowską konferencję „Muzyka źle obecna”, na której zaprezentowano dzieła polskich twórców emigracyjnych. Kolejny utwór Bergera: *Epitafium dla Mikołaja Kopernika (Epitaph pre Mikulaša Kopernika)* na tasmę (z lat 1972–1973) zabrzmiał też na „Warszawskiej Jesieni”. U schyłku Czechosłowacji Roman Berger zaangażował się w zainicjowane przez Ilję Zeljenkę prace nad międzynarodowym festiwalem muzyki współczesnej w Bratysławie „Melos-Etos” („Melos-Ethos”). Pierwszy z tych festiwali, będących pod względem ideowym pokłosiem aksamitnej rewolucji, odbył się w 1991 roku i nosił nazwę „Muzyka a totalitaryzm” („Hudba a totalita”). Przyciągnął dużą grupę uczestników z Polski, którzy kontynuowali kontakty z Bratysławą i Bergerem również w następnych latach. W gronie tym był krakowski muzykolog Jerzy Stankiewicz (szef Krakowskiego Oddziału Związku Kompozytorów Polskich), którego ambicją stało się przywrócenie polskiemu środowisku muzycznemu i polskiej publiczności jego muzyki w taki sposób, na jaki w pełni zasługiwała.

W 1995 roku w ramach organizowanych przez Stankiewicza Międzynarodowych Dni Muzyki Kompozytorów Krakowskich odbył się cały koncert dzieł Bergera. Odtąd dzieła kompozytora regularnie rozbrzmiewały w Krakowie, a w 1997 roku kompozytor otrzymał, z inicjatywy Jerzego Stankiewicza, honorowe członkostwo Krakowskiego Oddziału Związku Kompozytorów Polskich.

Przełom stuleci był okresem spektakularnego rozkwitu kontaktów Romana Bergera z Polską. Jego dzieła gościły wówczas kilkakrotnie na „Warszawskiej Jesieni” (w 1996, 1998 i 2002 roku), rozbrzmiewały ponadto na czołowych polskich estradach koncertowych, m.in. w NOSPR. Zasłużony renesans przeżyła także muzyka Bergera po roku 1989 na Słowacji. Otrzymał wówczas kilka prestiżowych nagród, a jego utwory weszły z powrotem do programów koncertowych i radiowych oraz zostały wydane na płytach. Wydano też – po słowacku i po polsku – najważniejsze teksty o muzyce, w których Roman Berger zaprezentował się jako twórca muzyki „prawdziwej”, odcinającej się od będącej w stanie kryzysu, sztuki pozbawionej pierwiastka duchowości. Kompozytor stawia pytanie: „Jak komponować, to znaczy: jak żyć?”, wyznaczając wysoką poprzeczkę twórcom, którzy chcą wznieść się na poziom autentyczności.

Jubileusz mniej pamiętany

Skoro mowa o urodzonych w sierpniu, wspomnijmy jeszcze krótko o postaci, którą się ze Śląskiem kojarzy raczej rzadko: to Eduard Birnbaum, urodzony w Krakowie w roku 1855, zmarły 8 sierpnia 1920 roku w Królewcu – jeden z legendarnych chasanów (żydowskich kantorów), którzy współtworzyli nowoczesną żydowską muzykę religijną w oparciu o wpływy idące z muzyki ludowej Środkowej Europy, w tym z przesyconej duchem chasydyzmu Galicji. Eduard Birnbaum, uczeń słynnego wiedeńskiego *Obercantora* Salomona Sulzera (o którym samowtorach wyrażał się z entuzjazmem utwór Eduard Hanslick – najmoźniejszy krytyk muzyczny XIX-wiecznego Wiednia), jest zwykle kojarzony z Królewcem, gdzie pracował najdłużej. Przedtem jednak, jak to zwykle bywało u żydowskich kantorów, pracował w kilku innych miastach niemieckich. Od 1872 roku przebywał w Magdeburgu, a od 1874 – w Bytomiu. Pobyt w naszym śląskim mieście był dla niego (i dla nas) o tyle ważny, że tu właśnie zainicjował swoje pomnikowe dzieło – kolekcję rękopisów i druków zawierających zapisy muzyki żydowskiej, tudzież źródeł literackich dotyczących muzyki żydowskiej. Kolekcja ta została m.in. zaprezentowana na słynnej Wystawie Teatralno-Muzycznej w Wiedniu (1892), zorganizowanej przez dwór habsburski w celu zaprezentowania dorobku kulturalnego całej Europy, a w szczególności Europy Środkowej (my pokazywalimy na tej wystawie – przy pomocy zespołu opery lwowskiej – dwie czołowe opery Moniuszki oraz *Krakowiaków i Górali* Kurpińskiego, ale krytycy wiedeńscy złajali nas, że nieszczególny był to wybór...). Zbiór Birnbauma ocalał – obecnie przechowywany jest w jednej z amerykańskich bibliotek. Został też udostępniony w Internecie – bezcenna pamiątka czasów i ludzi, których już nie ma...

MAGDALENA DZIADEK

W „Domu dziennym, domu nocnym” Olgi Tokarczuk znajduję taki oto fragment: „Cały wieczór piliśmy czeskie wino ze słoneczkiem i mówiliśmy o nazwach. Kim był ten facet, który nocami zamieniał niemieckie imiona przestrzeni na polskie? Czasami miał przebliski poetyckiego geniuszu, czasem straszego słowotwórczego kaca. Nazywał od początku, stwarzał ten górzysty, nierówny świat. Z Vogelsbergu zrobił jakąś Nierodę, Gotschenberg przechrzczył patriotycznie na Polską Górę, z melancholii Fluchtla została mu banalna Rzędzina, ale za to Magdal-Felsen zamienił na Bógdał. Dlaczego Kirchberg stał się Cerekwicą, a Eckersdorf Bożkowem, tego się nigdy nie domyślmy”.

W artystycznej formie pisarka odsłania w tym fragmencie dylematy, jakie stanęły przed polskimi gremiami administracyjno-naukowymi decydującymi o ostatecznym kształcie nazewnictw obszarów, które znalazły się granicach państwa polskiego po II wojnie światowej – z Dolnym Śląskiem na czele, gdzie toczy się fabuła „Domu dziennego, domu nocnego”. Nie było żadnych kłopotów z nazwami wielkich i znanych miejscowości, dysponujących dobrze udokumentowanymi historycznymi zapisami, takimi jak *Wrocław*, *Legnica*, *Świdnica*, *Lubań* czy *Głogów*. Ale co było robić, gdy takiej dokumentacji brakowało, gdy poświadczona była tylko niemiecka forma?

Uświadomiłem sobie nie po raz pierwszy te problemy, kiedy przed paroma miesiącami odbywałem w jednym dniu spotkania w urokliwych dolnośląskich miasteczkach – w Gryfowie i w Mirsku (do tego drugiego jechałem ze szczególnym sentymentem, bo dobrze pamiętam zacięte boje o mistrzostwo Polski szkolnych klubów sportowych, jakie pochodząca z tegoż Mirska szkolna drużyna dziewcząt w piłce ręcznej pod wodzą prof. Wójcika wiodła z moimi starszymi kolegami z tarnogórskiego Liceum Pedagogicznego – podopiecznymi prof. Babireckiego).

Oto pierwszy z nich – leżący nad rzeką Kwisą na skrzyżowaniu dróg z Łużyc na Śląsk, przedlokacyjny XIII-wieczny *Greiffenberg* – z najstarszymi zapisami *Grifhenberch* 1297, *Greiffenberg* 1353 (Stanisław Rospond: „Słownik etymologiczny miast i gmin PRL”, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk-Łódź 1984, str. 109). Po 1945 roku Komisja Urzędu Rady Ministrów postanowiła respektować niemiecki człon *Greiff* i nawiązując do jego polskiego odpowiednika, jakim jest oznaczający „bajecznego ptaka” *gryf*, ustaliła obowiązującą nazwę miejscową *Gryfów Śląski*.

Ten drugi, też nad Kwisą leżący, od roku 1337 był *Friedbergiem* (zapi-

Śląska ojczyzna polszczyzna



JAN MIODEK

W Gryfowie i w Mirsku

sy: *Fridberge*, *Frideberg*). W roku 1945 najpierw przetłumaczono ten złożony niemiecki wyraz na *Spokojną Górę*, która – jak mi powiedzieli najstarsi mirszczanie – funkcjonowała gdzieś do roku 1950. Dopiero wtedy, nawiązując do pierwszego niemieckiego członu *Friede* „pokój”, postanowiono to połączenie zmienić na formę jednowyrazową, wykorzystując do tego słowotwórczego zabiegu staropolski odpowiednik *pokoju*, jakim był *mir* („Chwała bądź Bogu na wysokości, a mir boży bądź na ziemi” – czytamy np. w XIV-wiecznych Kazaniach gnieźnieńskich, „Mir między ciałem i duszą czyni” – w XIV/XV-wiecznym Psalterzu floriańskim). Tak się narodził funkcjonujący do dziś *Mirsk!*

Znajdowanie w takich wypadkach postaci staropolskich było w ogóle

dość typowym poczynaniem nazewnictw. Oto np. leżące nad rzeką Pełznicą, znane z fabryki czekolady *Świebodzice* były do roku 1945 *Freiburgiem in Schlessien* (1268 *Vriburc*, 1292 *Vriburch* – cyt. za Rospondem, op. cit., str. 389). Człon *frei* znaczy tyle, co „wolny, swobodny”. Skojarzono go więc z dawną *świebodą* „nieskrępowaniem, swobodą, wolnością” („Gdyście upornie żądały, a swej świebudy nie dbały” – pisał Biernat z Lublina ok. 1480 – ok. 1515, „W cichy kącik gdy się skryję, wdzięcznej świebudy zażyję” – Jan Kochanowski 1530-1584) i tak się narodził nazewnictwowy nowotwór *Świebodzice*.

Taki sam archaizacyjny mechanizm spowodował z pewnością powstanie po wojnie przywołanej przez Olgę Tokarczuk *Cerekwicy*, która była *Kirchbergiem* – „Kościelną Górą”. Wszak *cerkiew*, dziś kojarzona ze świątynią obrządku prawosławnego, we wczesnym średniowieczu była synonimem *kościola*, oba zaś te warianty oznaczały bądź zgromadzenie wiernych, bądź samą świątynię. To dlatego obok *Cerekwicy* mamy w zachodniej części polskiego terytorium językowego takie jeszcze nazwy, jak *Cerekiew*, *Cerkiew*, *Cerkowizna*, *Nowa Cerkwia*, *Polska Cerekiew*, *Wysoka Cerekiew*.

Opisane zaś wyżej przekształcenie *Spokojnej Góry* na *Mirsk* przypomina zamianę tużpowojennego *Piotroleś* – dosłownego tłumaczenia niemieckiego złożenia *Peterswalde* – na *Pieszycę* (*Piech*, *Piesz* to dawne skrócenia-zdrobnienia pierwotnego brzmienia imiennego *Pieter*, później zmienionego na *Piotr*), *Dębowej Góry* – tłumaczenia *Eichbergu* – na *Dębki*, *Bożej Góry* – tłumaczenia *Gottesbergu* – na *Boguszów* czy *Siódmej Wsi* – tłumaczenia *Siebenhuben* – na *Siedmicę*.

Warto też wiedzieć, że ustalony ostatecznie *Miroszów* zaraz po wojnie był *Mirowskiem* – też z owym staropolskim *mirem* „pokojem”, na który się zdecydowano, kalkulując niemiecką nazwę *Friedland* z pierwszym członem *Friede* „pokój”.

Było wreszcie i tak, że sięgano po silnie utrwalone spolszczenia niemieckich postaci. Do takich należy np. datowany od XIX wieku *Walbrzych* – substytut niemieckiego *Waldenburga*, czyli „Leśnej Góry”, a także *Rychbach* – spolszczenie *Reichenbachu* „Bogatego Strumienia (Zróżła, Stawu)”, który parę lat po wojnie zmieniono na *Dzierżoniów* – nazwę upamiętniającą śląskiego badacza pszczół Jana Dzierżonę (Dzierżonia), który żył w latach 1811-1906, a pochodził z podkluczborskich Łowkovic.

6 lipca 2015 roku w brazylijskiej Kurytybie, w siedzibie polonijnego Towarzystwa Kultury Polskiej im. T. Kościuszki otwarto niezwykłą wystawę „Jak Polak w Brazylii kolej budował. Brazylijskie losy rodziny Wierzbowskich”. Ekspozycja przygotowana przez Bibliotekę Śląską w Katowicach będzie prezentowana także w wielu innych miastach, zagości również w brazylijskim parlamencie.

Był sierpień roku 1906, kiedy dwudziestostrotyletni Teofil Witold Wierzbowski, absolwent warszawskiej szkoły technicznej, uciekając w porę przed prześladowaniami władz carskich za udział w organizacji narodowowyzwoleńczej, zdecydował się na los emigranta. Najpierw dotarł do Francji, później przez Hiszpanię do Lizbony, aby stamtąd udać się w podróż do Brazylii. Bilet na statku handlowym musiał odpracować jako pomocnik palacza. Wychodząc na brzeg w Kurytybie zapewne nie przypuszczał, że Brazylią przez najbliższych siedemnaście lat będzie jego domem, ojczyzną i rodziną.

W 1909 roku świetnie władający językiem niemieckim, francuskim, rosyjskim i portugalskim dyplomowany mechanik został odelegowany do budowy linii kolejowej. Było to wyzwanie dla wszystkich: inwestorów, projektantów, inżynierów i robotników, trzeba było bowiem ujarzmić dziewiczą dżunglę, poskromić żyjące tam drapieżniki, przetrzeć się przez bujną egzotyczną roślinność i nie poddać się miejscowym szczerpom indiańskim. Pasja młodego Teofila Wierzbowskiego – fotografia – okazała się niezwykle cennym hobby. Dzięki jego zapiskom (bardzo szczegółowym) i dziesiątkom wykonanych przez niego zdjęć powstał unikatowy dziennik budowy brazylijskiej kolei, obrazujący trudy wydzierania dżungli każdego niemal centymetra wzdłuż rzeki Rio de Peixe.

Ten niezwykle dokument, pieczołowicie przechowywany przez rodzinę Wierzbowskich znalazł także uznanie Brazylijczyków. 6 lipca w Kurytybie w siedzibie polonijnego Towarzystwa Kultury Polskiej im. T. Kościuszki otwarto niezwykłą wystawę o wymownym tytule „Jak Polak w Brazylii kolej budował. Brazylijskie losy rodziny Wierzbowskich”, której inicjatorami byli Andrzej Braiter, ambasador generalny RP w Brazylii oraz Konsulat Generalny RP w Kurytybie. Okazją była rocznica nawiązania stosunków dyplomatycznych między obu krajami. „De iure rząd Brazylii uznał państwo polskie, a konkretnie rząd Ignacego J. Paderewskiego (...) 15 kwietnia 1919 roku. Oficjalne nawiązanie stosunków dyplomatycznych pomiędzy Polską a Brazylią, na szczeblu poselstw, odbyło się nieco później. Uroczyste wręczenie listów uwierzytelniających przez pierwszego przedstawiciela Rzeczypospolitej Polskiej, posła Ksawerego Orłowskiego, na ręce prezydenta Stanów Zjednoczonych Brazylii, Epitácia Pessoa da Silva, odbyło się 27 maja 1920 r. Z kolei listy uwierzytelniające od pierwszego posła nadzwyczajnego i ministra



Teofil Witold Wierzbowski. Fot. z arch. Rodziny Wierzbowskich

Śląskie polonica w Brazylii

pełnomocnego Stanów Zjednoczonych Brazylii, Rinalda de Lima e Silva, przyjął Naczelnik Państwa, Józef Piłsudski, dnia 3 czerwca 1921 roku.” (dr Jerzy Mazurek: *Brazylia i Polska – 90 lat stosunków dyplomatycznych*).

Ekspozycja dokumentująca przebieg budowy najdłuższej w Brazylii linii kolejowej liczącej 314 km, budowanej w latach 1909–1914 była możliwa dzięki Bibliotece Śląskiej w Katowicach, której wnuk Teofila Wierzbowskiego, Jerzy Łuka przekazał tę cenną rodzinną kolekcję. Na wystawie znalazły się m.in. fotografie z lat budowy kolei oraz ręcznie wykonane przez Teofila Wierzbowskiego mapy terenów wzdłuż rzeki Rio de Peixe.



Przybycie 1-ej maszyny do brzegów rzeki Uruguay. Na froncie centralne biuro techniczne, w głębi ugaszczanie robotników w dniu 17 lipca 1910 r. W pelerynie W. Wierzbowski, z prawej Bol. Prysak itd. Zdjęcie Teofila Witolda Wierzbowskiego i jego oryginalny podpis.

Kartograficzne dokumenty są pokłosiem kolejnego zajęcia, które powierzono polskiemu budowniczemu. 15 lipca 1914 r. na skutek wybuchu I wojny światowej prace nad rozbudową linii kolejowej przerwano, jednak miejscowe władze, doceniając doskonałą znajomość terenu, zdolności inżynierskie i kreślarskie Teofila Wierzbowskiego zleciły mu wykonanie wojskowych map strategicznych. Jak wywiązał się z tego zadania najlepiej świadczą kolejne awanse. Rok później polski emigrant otrzymał nominację na szefa państwowej kontroli brazylijskiej a następnie został dyrektorem robót technicznych municypium Antoniny, położonego nad Oceanem Atlantyckim.

Wszystkich zasług Teofila Wierzbowskiego wyliczyć nie sposób, wystarczy wspomnieć o skanalizowaniu miasta, sprowadzeniu z gór słodkiej wody, pogłębieniu miejsca postoju okrętów w porcie, sporządzeniu opisu systemu administracyjnego stanu Parana oraz pierwszej oficjalnej mapy stanu (nagrozonej Grand Prix na wystawie w Rio de Janeiro z okazji setnej rocznicy republiki brazylijskiej). Znaczące ślady pozostawił także wśród licznej Polonii (do Brazylii wyemigrowało około 120 tys. Polaków, 16 rodzin z Górnego Śląska w 1869 r. osiedliło się w Paranie). Garstka polskiej inteligencji zamieszkała w Kurytybie powołała w 1914 r. Komitet Obrony Narodowej, w którym Teofil Wierzbowski pełnił funkcję sekretarza, dzięki jego kronikarskim upodobaniom działalność komitetu została szczegółowo opisana. Jedną z form pomocy rodakom w ojczyźnie były zbiórki pieniędzy, które przekazywano do kraju. W 1927 r. marszałek Józef Piłsudski odznaczył emigranta Krzyżem Legionowym a w 1932 r. prezydent Ignacy Mościcki – Medalem Niepodległości.

W 1923 r. rodzina Wierzbowskich (żona Felicja z Zielińskich oraz ich dzieci Zofia i Jan) udali się na upragniony półroczny urlop do ojczyzny. Nie wiedzieli wówczas, że do Brazylii już nie wrócą. Teofil znalazł zatrudnienie jako mierniczy w kopalni Bielszowice a następnie w kopalni Barbara w Chorzowie, tam też sprowadził rodzinę. Po przepracowaniu 27 lat w górnictwie w 1951 r. przeszedł na emeryturę, zmarł 27 maja 1956 r. i spoczął na chorzowskim cmentarzu.

W 2005 r. spadkobiercy Teofila Wierzbowskiego przekazali Bibliotece Śląskiej unikatową kolekcję, najstarsze dokumenty pochodzą z I połowy XIX w. wśród nich wyróżnia się dyplom „Heroldya Królestwa

Polskiego” z 1847 r. potwierdzający szlachectwo Tomasza Wierzbowskiego (pradziadka Teofila) herbu Lubicz. Zbiór został szczegółowo opracowany i w 2006 r. do rąk czytelników trafił album zatytułowany „Jak Polak w Brazylii kolej budował. Brazylijskie losy rodziny Wierzbowskich”, który dzięki swojej unikalnej szacie graficznej i cennym fotografiami stanowi wielki rarytas dla koneserów. Dzięki kronikarskiej pasji Teofila Witolda Wierzbowskiego – jak pisze profesor Jan Malicki – powstał dokument wyjątkowy i unikatowy. Uchwycony w kadrze ulotny moment twórczenia.

MARIA SZTUKA



Katowice na starych pocztówkach

Z okazji 150-lecia Katowic na rynku, zwanym Placem Kwiatowym, w sierpniu gościła wystawa prezentująca stare pocztówki z widokami miasta. Na 30 planszach pokazano jak zmieniał się nie tylko rynek, ale i przyległe ulice. Pocztówki można było skonfrontować z dzisiejszym wyglądem i zabudową Katowic. Większość z nich pochodziła ze zbiorów Marka Wójcika. Najstarsze pocztówki pochodziły z II połowy XIX wieku.

Otwarcia wystawy dokonali prezydent Katowic Marcin Krupa oraz Dariusz Kortko redaktor naczelny „Gazety Wyborczej”, która była pomysłodawcą i organizatorem ekspozycji.

Taka wystawa mogłaby zapewne częściej gościć na ulicach miasta, a może stać się stałą, integralną częścią rynku. Chętnych do oglądania starych zdjęć nie brakuje, co pokazała ta okolicznościowa wystawa, dedykowana miastu w rocznicę jego urodzin.

(wk)



Zdjęcia: Zbigniew Sawicz



Jan Pyszko in memoriam

Uroczysta edycja Kawiarenki Literackiej „Pod Pegazem” poświęcona twórczości poetyckiej Jana Pyszki odbyła się w Jabłonkowie na Zaolziu w Domu Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego jako impreza towarzysząca festiwalowi folklorystycznemu „Gorolskie Święto”. Gospodarz Kawiarenki – Stanisław Gawlik, zgodnie z tradycją prezentowania podczas „Gorolskiego Święta” twórczości autorów zaolziańskich, postanowił w 90. rocznicę urodzin przypomnieć postać Jana Pyszki (1925-2009): współtwórcy Kawiarenki „Pod Pegazem”, nauczyciela, animatora kultury, poety i tłumacza, członka opolskiego oddziału ZLP i GTL w Katowicach, Gminy Pisarzy w Pradze, związanego długoletnimi więzami współpracy i przyjaźni z opolskim środowiskiem literackim. Zakorzeniony w beskidzkim pejzażu Zaolzia poeta pochodzący z Nawsia-Potoków był również autorem wierszy poświęconych Śląskowi Opolskiemu (impresje, dedykacje dla przyjaciół). Na łamach czasopism literackich prezentował dorobek opolskich twórców i życie kulturalne regionu, który wielokrotnie odwiedzał m.in. podczas Międzynarodowego Najazdu Poetów na Zamek Piastów Śląskich w Brzegu, spotkań autorskich w szkołach i bibliotekach oraz tras koncertowych zaolziańskich chórów: „Melodia” z Nawsia i „Gorol” z Jabłonkowa. Jan Pyszko przyczynił się również do popularyzacji twórczości opolskich poetów w środowiskach literackich zarówno w Czechach jak i na Słowacji. Od 1989 roku organizował spotkania w Kawiarence „Pod Pegazem”, goszcząc autorów polskich i zagranicznych, również grono opolskich literatów i animatorów kultury, uczestniczyli w nich m.in.: Harry Duda, Joachim Glensk, Paweł Kozerski, Wiesław Malicki, Elżbieta Lisak-Duda, Tadeusz Soroczyński, Janusz Wójcik, Irena Wyczółkowska, Alfred Wolny. Warto podkreślić, że wyjazdowa Kawiarenka „Pod Pegazem” w 1992 roku (z udziałem Jana Pyszki, Wilhelma Przeczka, Gustawa Sajdoka, Władysława Młynka) odbyła się w brzeskim ratuszu podczas „Dni PZKO na Opolszczyźnie”. Rok później w opolskiej Oficynie Literackiej „Wers” ukazał się tom poetycki Jana Pyszki zatytułowany „Potoki”. Piękno tej poezji podczas spotkania odkrywał Karol Suszka – aktor i dyrektor Teatru Cieszyńskiego, wzbudzając swoją interpretacją wierszy zachwyty licznie zebranej publiczności Kawiarenki „Pod Pegazem”.

jjw

Fot. Jerzy Stemplewski



Jan Pyszko w Zielonym Saloniku Muzeum Śląska Opolskiego podczas wieczoru poetyckiego

Fot. Czesława Rudnik – miesięcznik „Zwrot”



Karol Suszka wzbudził zachwyty publiczności autorskimi interpretacjami wierszy Jana Pyszki podczas Kawiarenki „pod Pegazem” w Jabłonkowie

Fot. Czesława Rudnik



Stanisław Gawlik, gospodarz Kawiarenki „Pod Pegazem” wita gości na wieczorze poświęconym twórczości Jana Pyszki w Domu PZKO w Jabłonkowie

Fot. Czesława Rudnik



Rodzina Jana Pyszki podczas Kawiarenki „Pod Pegazem”, od lewej Irena Pyszko (wdowa po Poecie), córki – Miriam i Sławomira.

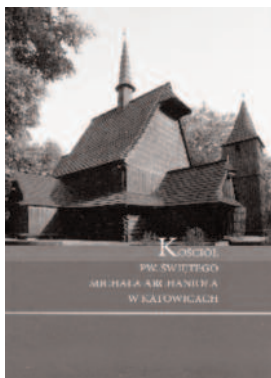


Janusz Wójcik przy grobie Jana Pyszki przyjaciela opolskich literatów na cmentarzu w Nawsiu k. Jabłonkowa na Zaolziu. (foto Irena Pyszko)

Fot. Irena Pyszko

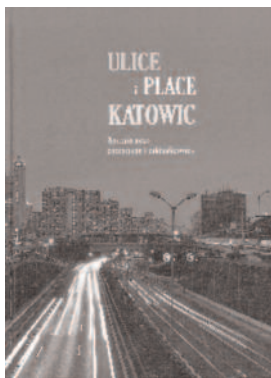
KRÓTKO O KSIĄŻKACH

BOGDAN WIDERA



Jacek Siebel:
*Kościół
pw. Świętego Michała Archanioła
w Katowicach.*
Wyd. Muzeum Historii
Katowic, Katowice 2015,
s. 52.

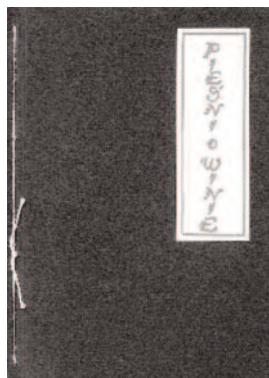
Najstarszy katowicki zabytek architektoniczny – szesnastowieczny drewniany kościółek w parku Kościuszki wcale w Katowicach nie powstał. Znalazł się w mieście dopiero w pierwszej połowie ubiegłego wieku. Świątynia jest jedną z filii Muzeum Historii Katowic, ale nadal – co warto podkreślić – pełni rolę w życiu religijnym, odbywają się tu regularnie nabożeństwa. Historię kościoła od początku do czasów współczesnych przedstawił w krótkiej monografii Jacek Siebel. Autor zawarł w swojej książce również szczegółowy opis architektoniczny tego obiektu oraz znajdujących się w nim dzieł sztuki sakralnej. Wartość tej publikacji podnoszą niewątpliwie zdjęcia Piotra Sobańskiego, na których widoczne są najdrobniejsze nawet detale, które nawet podczas osobistego zwiedzania mogą ująć naszej uwadze. Dla miłośników Katowic lektura obowiązkowa.



Ulice i place Katowic.
Wydanie nowe, poszerzone
i zaktualizowane.
Wyd. „Prasa i Książka”
Grzegorz Grzegorek,
Katowice 2015,
s. 287.

Otwieram tę wielką księgę o charakterze albumowym na chybił-trafił. Ulica Dębowa. Zaczyna się od historii, której początki sięgają, jak można przypuszczać, średniowiecza. Następnie mamy spis obiektów nieistniejących, wyburzonych z powodu zmian zachodzących w mieście (np. poszerzanie drogi). Niektórych budynków żal, bo dziś byłyby zabytkami, świadkami dziejów. Potem następuje wykaz miejsc, które warto zobaczyć, choćby ze względu na walory architektoniczne. Kolejną część tego rozdziału stanowią pomniki związane z dziejami Śląska. Z tekstu opowiadającego o postaciach z tej dzielnicy Katowic dowiadujemy się, że właśnie tutaj urodził się wybitny grafik Waldemar Świerzy. Są i ciekawostki: to przy Dębowej znalazła się pierwsza sala Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. Poznajemy też kolejne nazwy ulicy, która najpierw nazywała się *Eichenstrasse*. Wszystkie te informacje naszpikowane są fotografiami współczesnymi i archiwalnymi, reprodukcjami planów itd. Przypadkowo właśnie na stronach poświęconych Dębowej otwarła mi się książka, są ulice, które mają bogatszą historię, ciekawszą architekturę, związane z działalnością osób znaczących dla dziejów albo kultury Śląska, chciałem jednak pokazać, ile interesujących rzeczy można opowiedzieć słowem i obrazem o miejscu wcale nie najważniejszym, nie leżącym w samym centrum i przez turystów mało odwiedzanym.

Grzegorz Grzegorek jest pomysłodawcą i redaktorem tej księgi (a także innych, poświęconych Katowicom – o gmachach i budowlach, o tutejszych parafiach). Tekst napisał Michał Balsa, większość zdjęć wykonał Piotr Tabaczyński. Publikację opatrzył wstępem Henryk Waniek.

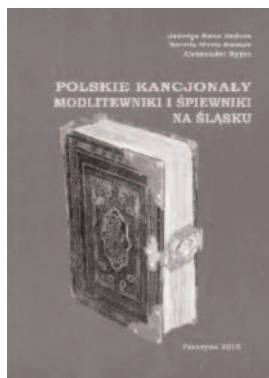


Li Taj Po: *Pieśń o winie.*
Tłumaczył z oryginału
Jan Wypler.
Ilustracje i tekst wykonał
Zgraja Franciszek.
Literacka transkrypcja
Wilhelm Szewczyk.
Reprint oryginału
ze zbiorów
Biblioteki Śląskiej.
Wyd. Biblioteka Śląska,
Katowice 2015,
s. 22.

Ten bibliofilski rarytas szalenie mnie ucieszył. Mam trochę książeczek z tłumaczeniami chińskiej poezji przez Jana Wyplera, wydawanych przez niego własnym sumptem w niewielkich nakładach, były to egzemplarze numerowane. Po takiej drukowanej adnotacji pan profesor wiecznym piórem, zielonym albo niebieskim atramentem wpisywał liczbę, na przykład 26, co oznaczało, że obdarowany tomikiem został zaliczony do elity wyróżnionej ceną bibliofilską perelką. *Pieśni o winie* akurat nie miałem, ale biorąc tę książeczkę do ręki odniosłem wrażenie, że dostałem oryginał, tak wiernie edytorsko oddawała ta publikacja kształt, jaki był charakterystyczny dla tomików wydawanych przez Wyplera.

Profesor Jan Malicki, dyrektor Biblioteki Śląskiej jest także – o czym zapewne nie wszyscy wiedzą – Rektorem Promnickiej Akademii Wina, w której to ten „najszlachetniejszy z trunków” nie tylko się smakuje, ale też o nim rozmawia, czasem dyskutując na jego temat albo nawet się spierając. Do miłośników boskiego napoju a jednocześnie członków Akademii Jego Magnificencja apeluje: „Vino pellite curas (Winem rozpraszaćcie troski)”. Te słowa jednak pozostają trochę w niezgodzie z chińskim poematem, jego twórca bowiem bynajmniej „trosk nie rozprasza”. Już we wstępie pod tytułem *Smutek nadchodzi* pisze: „Smutek nadchodzi, smutek! / Smutek napływa już! / Drodzy, nie pijcie wina, co je macie, / Pieśni mojej o smutku posłuchacie”. W dalszych częściach swojego utworu poeta przyznaje jednak, że pije, bo to mu pomaga zapomnieć o tym, że „nie zaznał gniazda” albo że jest „w kraju wygnania”.

Przepiękna książeczka, chociaż przepelniona melancholią i niewesołymi refleksjami o ludzkim życiu.



**Jadwiga Anna Badura,
Natalia Maria Ruman,
Aleksander Spyra:**
*Polskie kancjonały, modlitewniki
i śpiewniki na Śląsku.*
Wyd. Towarzystwo Miłośników
Ziemi Pszczyńskiej,
Śląska Oficyna Drukarska
Z. Spyry,
Pszczyna 2015,
s. 84.

Już w XIV wieku biskup Nankier wymagał od swoich księży kierowanych na Śląsk znajomości języka polskiego, bo uważał, że jest to niezbędne dla pogłębiania życia religijnego i tworzenia parafialnych wspólnot. Także jego następcy podzielają ten pogląd. Takie stanowisko przyczyniło się do rozwoju wydawnictw o charakterze religijnym po polsku. Ruman w swoim rozdziale pisze o modlitewnikach i śpiewnikach katolickich, Badura omawia modlitewniki i kancjonały ewangelickie. Spyra natomiast poświęca swój artykuł wydawcom, drukarzom i autorom, ale zajmuje się również oprawami, okładkami, ilustracjami i ozdobnikami. Ponieważ książka jest bogato ilustrowana, można te pięknie wydawane książki zobaczyć. W rozdzinach były przez pokolenia, zdarzało się więc, że na marginesach czy też doklejonych kartkach odnotowywano daty narodzin, śmierci, ślubów, były to czasami całe drzewa genealogiczne.



Pamięć i wyobraźnia

KSIĄŻKI

KATARZYNA NIESPOREK

1. *Nowe obrazki ze Śląska* to zbiór czternastu wierszy i czternastu akwarel. Ewa Parma i Grzegorz Chudy w krótkim wstępie precyzyjnie określili cel swojej wspólnej książki. Napisali: „*Nowe obrazki ze Śląska* powstały po to, by (...) zatrzymać czas i odsłonić jeszcze raz nieistniejące zamki oraz obracające się w gruz wieże. Przemycić je do zbiorowej pamięci wraz z ludźmi, którzy je tworzyli” (s. 1). Autorem tomiku doskwiera przeszłość, szczególnie ta, która dotyczy ich małej ojczyzny. Próbuje zatem wziąć sprawę w swoje ręce i się o nią skutecznie zatroszczyć. Sposób na jej uchwycenie w teraźniejszości odnaleźli w wierszach i obrazach. Te zaś mogą istnieć razem i osobno. Słowo tchnęło życie w obraz; obraz przemówił słowem. W każdym razie jedno jest pewne: za ich sprawą jakaś część przeszłości została zatrzymana w miejscu, stała się wartością nieprzemijalną.

2. Najpierw obraz, potem wiersz. Taką kolejność interpretacji chyba należy przyjąć w tej książce. Pierwszy stał się inspiracją dla drugiego. Na każdej, współtworzącej tom akwareli Grzegorza Chudego, można zauważyć dwa plany. Na pierwszym widnieje postać albo rzecz, na drugim śląski krajobraz. Utwory poetyckie nie są wiernym odzwierciedleniem akwareli. Nie mamy tutaj do czynienia z ekfrazą, ale hypotypozą. Ewa Parma do obrazów dopisuje historie. Autentyczne bądź zmyślone. Posłyszane – oparte na opowiastkach, legendach. Poetka tworzy w ten sposób swoje własne sytuacje liryczne. Podchwytuje najczęściej pierwszy plan przedstawiony na akwarelach. Próbuje przeniknąć zamysły postaci znajdujących się na obrazach. Nieraz podejmuje z nimi dialog, polemizuje z ich myślami albo po prostu je opisuje. Śląska przestrzeń jest tu w tle, towarzyszy człowiekowi, jest świadkiem ludzkich radości, smutków, dramatów.

3. Autorzy tomiku najpierw wracają do miejsc utraconych. Chcą ocalić zatarte obrazy, których resztki żyją jeszcze w ich pamięci. Do takich należy zamek w Reptach. „Ten pałac się nie pojawi” (s. 2), to „pałac którego nie ma” (s. 2). W wierszu zostaje podkreślona nie tyle rola pamięci, co jej siła tkwiąca w wyobraźni. Wyobraźnia ma w sobie moc wskrzeszenia, pozwala zobaczyć to, czego inni nie widzą, dowartościować wolną przestrzeń. Poetka napisze: „Ten pałac się nie pojawi / i trzeba użyć sposobu, / by wyczarować na powrót / w pustym parku wieżyczki, / log-

gie i zegar słoneczny” (s. 2). Obok miejsc nieistniejących, jedynie wspomnieniowych, pojawiają się także miejsca ocalałe czy odbudowane. Na przykład wieża ciśnień huty Uthemann w Szopienicach. Do obrazu Grzegorza Chudego autorka *Kobiet i wazek* dopowiada swoją poetycką – tym razem miłosną – historię. Parma przenika myśli kobiety w czerwonej sukni z parasolem w ręku, wpatrującej się w budowlę. Opisuje jej tęsknotę za mężczyzną, który odszedł, nadzieję na jego powrót. Podmiot utworu stawia siebie w roli tego, który wie więcej, przewiduje, ma dostęp do przyszłości: „ona jeszcze nie wie / że jego tam nie ma”, „będzie otąd tęsknić / w tym i następnym życiu” (s. 8).

Ewa Parma i Grzegorz Chudy dowartościowują w swojej książce także te miejsca śląskiej przestrzeni, które istnieją i „pamiętają wiele, a wciąż tętnią życiem” (s. 1). Akwarela i utwór liryczny zostają подарowane Teatrowi Śląskiemu i Teatrowi Ate-neum. O tym pierwszym poetka napisała: „to ostatnie miejsce, w którym / wytlumaczają ci sen wariata” (s. 20), w tym drugim – człowiek uświadamia sobie ulotność świata; nieautentyczność rzeczywistości, w której żyje – „że nic nie jest dane / na zawsze i naprawdę” (s. 22).

Ale to nie wszystko. Jak się okaże, miejsc do uchwycenia jest nieskończenie wiele. Oprócz tych, które zniknęły, w jakiś sposób się kończą lub obok których toczy się codzienne życie mieszkańców Śląska, są jeszcze małe arkadzie, azyle. Miejsca, gdzie można odpocząć, bawić się, świętować, do których chce się wracać. W taki właśnie sposób został opisany park w Imielinie. „Tu zawsze jest niedziela / i wszędzie jest niedaleko / a dachy domów są ciepłe / nawet gdy pada deszcz” (s. 16) – napisała poetka.

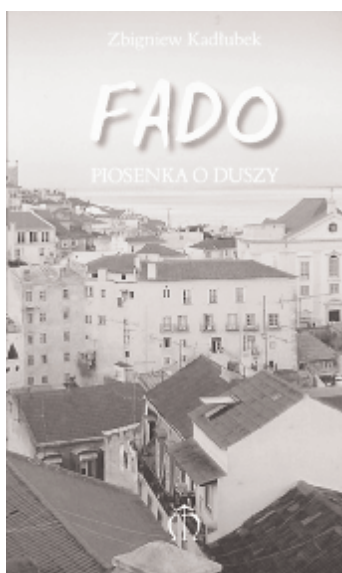
4. Ocalić od zapomnienia należy także rzeczy, które niegdyś były tak bliskie, a po których niewiele dzisiaj już zostało. Wąskotorówkę Balkan do Nikiszowca czy tramwaj z drewnianymi ławkami. I w nich toczyło się życie, miały miejsce rozmowy, spotkania, pierwsze miłości, młodzieńcze uniesienia. Teraz istnieją już nie tylko we wspomnieniach, ale także w obrazie i wierszu. Podobnie jest z ludźmi, których znało się albo osobiście, albo z opowiadań innych. I tak w tomiku pojawiają się najpierw hojny dla swoich żon Hugo von Donnersmarck, spoglądający na zamek w Nakle Śląskim, następnie państwo Zillmannowie przechadzający się po ulicy Janowskiej. Na równi z nimi zostaje jednakże postawiony górnik przysypany w kopalni i czekająca na niego żona, która z tęsknoty za nim „hekluje gardinka – bez całej trzy nocki” (s. 18).

5. Autorów książki interesuje Górny Śląsk jako całość. Miejsca, ludzie i rzeczy składają się na jego historię, tradycję, kulturę. I tutaj niebywale istotną rolę odgrywa etnolekt śląski. Ma on swoje miejsce w tomiku. Ewa Parma dokonuje – tam gdzie to możliwe – przekładu swoich utworów na gwary. Dzięki temu nie tylko została upamiętniona czy przypomniana coraz bardziej zanikająca mowa śląska, ale też pokazano pewną trudność, z jaką musi zmagać się „tłumacz”. Nie zawsze bowiem słowo może być równe słowu. W wierszu *Noc w pałacu* czytamy najpierw: „To lepsze niż noc w operze / lub dzień na polowaniu” (s. 4), następnie: „To lepsze niżli nocka przy szkacie / albo dziuń na łodpuście we Piekarach” (s. 4).

6. Ewa Parma i Grzegorz Chudy to mieszkańcy śląskich okolic. Z utworów poetyckich, a także z akwarel można wyczytać sentymentalne czy melancholijne westchnienia i tęsknoty – przede wszystkim za tym, co minione i obawę o to, co wkrótce może zostać utracone. Przebijają przez tę twórczość ogromna świadomość przemijania czy ulotności nie tylko chwil, ale również ludzi i miejsc. Zapisane w pamięci mają jeszcze swoją rację bytu. Ale i pamięć przecież zawodzi. Wtedy świadczyć o tym, co minione będą nie ruiny, zgliszcza, resztki czy pamiątki, ale właśnie – w zamierzeniu autorów książki – obrazy i wiersze.

7. Poetycko-malarski projekt Ewy Parmy i Grzegorza Chudego został przemyślany. Kusi także od strony estetycznej. Dominujący w nim czarny kolor kojarzy się z węglem, ze Śląskiem właśnie. Znakomicie komponuje się z zaproponowanymi akwarelami. Wiersze natomiast ożywiają, rozświetlają to, co niejasne. Połączone jedną okładką służą sobie nawzajem.

Ewa Parma, Grzegorz Chudy: *Nowe obrazki ze Śląska*. Katowice 2015, ss. 28.



O poszukiwaniu siebie

KSIĄŻKI

KATARZYNA BERETA

Fado. *Piosenka o duszy* Zbigniewa Kadłubka wymyka się genologicznym granicom i wszelkiej czystości gatunku. Bo jak określić narrację tej niewielkiej książeczki? Czy to opowieść drogi, bajka, mit, legenda, esej, piosenka (jak chciałby autor), a może dziennik opisujący po trosze krajobrazy, których dotknęły oczy podróżnego, a po trosze sny o owych pejzażach, o idealnych krainach, w których chcielibyśmy odnaleźć ostateczną odpowiedź na pytanie: kim jesteśmy i dokąd zmierzamy?

Takich odpowiedzi jednak nie ma, bo nam wcale o konkluzji nie chodzi. „(...) nigdy niczego nie zamykamy, zawsze tylko otwieramy i odmykamy, odryglowujemy na skalę kosmiczną (...). I tak to zostawiamy odryglowane. Przy drzwiach na oścież żyjemy, czy się to komuś podoba, czy nie” (s. 26). To może chociaż istnieją owe mityczne krainy, do których ciągnie nas archeologiczna potrzeba odkrywania siebie? Może gdzieś są nasze prywatne Luzytanie, Sycylicie z Palermo, nasze Rzymy, Lizbony, które wytłumaczają nam, dlaczego jesteśmy tu, gdzie jesteśmy, i dlaczego zarazem chcielibyśmy być gdzie indziej? Może one pomogą nam zrozumieć dwoistość naszej natury, która pcha nieustannie w drogę, czyniąc z nas *homo peregrinus*, a zarazem nakazuje zapuścić korzenie, wrosnąć w glebę, na którą rzucił nas los, bo tożsamość rodzi się tylko z pełnego zanurzenia w miejscu nam przeznaczonym, jak pisze Krzysztof Czyżewski w *Linii powrotu*.

Fado Kadłubka wydaje się zatem nade wszystko *poszukiwaniem*, a autor staje się poszukiwaczem (łac. *inquisitor*), czyli badaczem, śledczym, archeologiem przeszłości, w której próbuje odnaleźć nici łączące ją z teraźniejszością, w której próbuje wytropić uzasadnienie naszego tu i teraz. *Fado* to osobista wędrówka w poszukiwaniu czegoś wykraczającego poza dotychczasową granicę, poza świat dostępny na co dzień zmysłom, poza krajobrazy mocno już wyeksplorowane intelektualnie i emocjonalnie.

Kadłubek/narrator z krainy pogranicza, którą na kartach *Fado* nazywa Dystryktem Wizygockim, a w której z łatwością odnajdujemy Śląsk, dotarł do oceanu, czyli granicy ostatecznej, równocześnie jednak niebędącej końcem, gdyż w wodzie rozplwają się i roztapiają wszystkie linie graniczne, a pozostaje jedynie nieskończoność. Dotarł do miejsca, w którym człowiek postawiony przed żywiołem godzi się żyć bez odpowiedzi,

w stanie permanentnego zadziwienia, godzi się być bezgranicznym, czyli obnażonym, zarazem Obcym i Swoim, Innym i wciąż Tym Samym, bo w wodzie się wszystko miesza i łączy w jednej wielkiej kosmicznej transgeniczności.

Tu już nie ma pogranicza, nie ma czegoś z prawej i lewej strony, na Wschodzie i na Zachodzie, na Północy i Południu. Tu po prostu się *jest*, na podobieństwo *Ehjehe-Aszer-Ehjehe*. Podobnie jest we wszystkich nadmorskich miasteczkach. Takie są Lizbona, Palermo i Anzio. Wszędzie tam człowiek uczy się spokojnego trwania, tak jak trwają fale od milionów lat rozbijające się o brzeg. Czy śpimy, czy czuwamy, czy jemy, czy pracujemy – morze trwa. Trzeba więc poważnie się na podobne istnienie, poważnie się na bezruch, który może być o wiele bardziej życiem, jego kontemplacją niż ciągła bieganina za sukcesem, za sprawami tego świata. Z tego powodu Kadłubek zachwyca się celebracją liturgii na Sycylii, zapachami potraw, które są wszechobecne, modlitwą pod tamaryszkiem czy też tym, że sprawy ducha nie są odcięte od zmysłowości, dlatego tak piękne są dla niego Madonny Mleczne, karmiące Dzieciątko Jezus nabrzmiałymi piersiami.

Oprócz duchowej wędrówki w poszukiwaniu nowego siebie, zaprasza nas autor także do pewnej refleksji. Już na początku Kadłubek/narrator – autor oczywiście wzbrania się przed tym, by utożsamiać go z jakimkolwiek bohaterem tej książki, ale równocześnie sam pozostawia odciski palców tam, gdzie chce i gdzie wolałby ukryć swą tożsamość – stwierdza: „Musicie mi zaufać, że wiernie, na ile słowa wiernie są rzeczom i uczuciom, przekazuję wymarzone i wyśnione” (s. 7). Autor bawi się tutaj nami i każe niepostrzeżenie wierzyć w marzenia i sny, bo przecież to właśnie je, a nie jakieś historyczne fakty, stara się wiernie przekazać. Pytanie, czy słowo jest wiernie rzeczom i na ile, jest zaś w istocie pytaniem o literaturę, czy jest bliska życiu, bliska rzeczywistości.

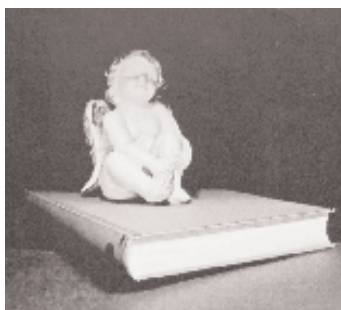
Kadłubek/narrator zapewniając, że stara się wiernie oddać to, co wymarzone i wyśnione, odpowiada nam, iż literatura to bardziej opis marzeń, snów, fantazji, aniżeli świat realny, fakty, chociażby zakłamanie. Literatura jest bardziej odbiciem prawdopodobieństwa, a nie prawdy. Odczytujemy w tym odprysk naukowych refleksji o prawdziwości i prawdopodobieństwie w prozie oraz światach (nie) możliwych w powieści.

Jest w tym także swego rodzaju usprawiedliwienie narracji, którą autor ma zamiar snuć za chwilę z ogromną wolnością kogoś, kto zrozumiał, że wiedzę zdobywa się wyobraźnią, kto poważił się na fikcję, bo dostrzegł w niej jedynie słuszną drogę do prawdy o sobie i świecie. Kto odważył się na tworzenie światów niemożliwych zamiast ograniczać się do opisywania rzeczywistości, bo naprawdę liczy się tylko odwaga kreacji, reszta jest odtwarzaniem, powielaniem, naśladowaniem, opisywaniem tych, którzy tę odwagę w sobie odnaleźli.

Taka jest też różnica pomiędzy pisarzem a literaturoznawcą. Pierwszy kreuje, drugi analizuje, a w gruncie rzeczy zaciemnia i przyczynia się do powstawania sztywnych schematów myślowych. Pierwszy jest miłośnikiem słowa, choć boi się swej nieporadności i tego, czy potrafi być naprawdę szczerzy, czyli wolny, a drugi jest niewolnikiem przypisów i cytatów. *Fado* zdaje się być zapisem drogi, którą Kadłubek przeszedł (przechodzi?) od badacza do pisarza, dlatego pod koniec stwierdza dość ostro: „(...) bajki i fantastyczne opowieści bardziej do mnie trafiają niż niezdarne dysertacje i dociekania doktorów. Jako potomek króla Sofraksa wół żarliwość od laboratorium i niczego nie opatruję cudzysłowem” (s. 107).

Rzeczywiście jego opowieść pełna jest aluzji i nawiązań, ale to nie oznacza, że również przypisów. To opowieść własna, która powstała podczas osobistej podróży. I jeśli ktoś chce zostać pisarzem, to powinien jak najczęściej wędrować, powinien stać się *homo peregrinus*, gdyż wtedy dokonuje się w nas konieczna rewolucja myślenia, którą Kadłubek opisał następująco: „Kaźda podróż uczy mnie porzucania myśli o jednolitości świata i jakiegokolwiek harmonii. Tracę respekt do świata, który jest całością, gdy jadę. Jadę właśnie po to, by stracić szacunek do uładzonych myśli i uładzonego otoczenia; do uładzonego mnie (...) i kłamliwego mnie” (s. 29).

Fado jest więc piosenką o *traceniu* siebie kłamliwego i *poszukiwaniu* prawdziwego, o odkrywaniu tego, co naprawdę w życiu ważne, czyli samego istnienia, którym obdarzył nas *Ehjehe-Aszer-Ehjehe*.



Krzysztof Gałuszka
trakt@biblioteki

Strażnik świętego ognia

KSIAŻKI

RYSZARD BEDNARCZYK

Bibliotekarzem być i poetą równocześnie to rzecz trudna. Ale udało się ta sztuka Krystianowi Gałuszce. Długoletni dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Rudzie Śląskiej, wielokrotnie nagradzany także za twórczość literacką, opublikował tomik wierszy *trakt@biblioteki* w całości poświęcony księżnicom i ludziom w nich pracującym oraz czytelnikom. Zbiorek bibliotecznych wierszy wydany został – co warto podkreślić – przez Bibliotekę Śląską w Katowicach. Zaledwie 22 wiersze z posłowiem autora, właściwie esejem o roli bibliotek w dziejach ludzkości i w naszej codziennej świadomości, to wybór skromny, lecz tylko ilościowo. Zaskakuje bowiem bogactwem poetyckich treści.

Godna podziwu jest inwencja Gałuszki wysnuwającego z codziennych, banalnych zdarzeń oryginalne skojarzenia słowne, zaskakujące refleksje – niekiedy dowcipne, innym razem pełne filozoficznej zadumy. Jakże bowiem zwykle jest spostrzeżenie – wynikające zapewne z doświadczeń sprawowanych przez autora funkcji nadzorczych – „niektóre bibliotekarki / są jak sól na otwartej ranie / błazeńsko pozujące / na uczonych cerberów / nienawidzą czytelników / którzy w ich złośliwych oczach / nie różnią się od dzikich hord”. Jednak przed sztafpe ratuje ów wiersz satyryczne podejście poety do tematu oraz niekonwencjonalna metaforyka, a także nieco metafizyczna zgoda na niedoskonałość tego świata: „i gdyby nie to / że są nieodzowne jak regały / – bo filarami biblioteki na pewno nie są – / można by je łatwo skreślić / leniwym pociągnięciem pióra / ale jak widać / nie można” – puentuje Gałuszka.

I trzeba przyznać, że łatwiej mu pisać wiersze o własnej pracy niż przedstawicielom innych zawodów, bo biblioteka pełna sztuki słowa, prędzej skłania do metaforyzowania codzienności. Trudno wyobrazić sobie bowiem sprzedawczynię w zieloniaku czy informatyka albo murarza piszących wiersze o własnym trudzie. Z pewnością byłyby to jakieś socrealistyczne popluczyny.

Ma bibliotekarz łatwiej, co nie oznacza, że każdy potrafi jak Krystian Gałuszka wyczarować poetyckimi wersami pełną ciepłej drwiny scenę zachwytu czytelnika nie urokiem wypożyczonej książki, lecz wdziękami powabnej bibliotekarki:

„przewraca wolno kartkę po kartce / dla samej przyjemności szelestu / pod wyczulonym okiem / młodej bibliotekarki ubranej / w cieniutką letnią bluzkę / gdzie jedynie cienie / strzegą wejścia / do drogi mlecznej”. Tak to od zgryźliwości i uśmiechu po ciężką zadumę sięga autor.

I nie byłoby tego poważnego zasępienia się poety i bibliotekarza w jednej osobie, gdyby nie odwołanie się do tradycji. Z niej bowiem wywodzi się przeświadczenie i traktowanie biblioteki jako świątyni. Wiele razy pada to słowo w wierszach Gałuszki. Warto więc zastanowić się nad jego pojmowaniem przez poetę. Z jednej strony biblioteka to miejsce, w którym „światło oblapione słowem /... zamyka skłepienie jak w gotyckiej katedrze”. Zatem to składnica mądrości nie tylko ludzkich, lecz i tych objawionych transcendentnym blaskiem. Ale księżnica w jego ujęciu może być także po prostu zwykłym kościołem, gdzie dokonuje się wcale nie-transcendentne ślubowanie wybrance dozgonnej wierności. Zapewne świadomość tego, że akt małżeński nie jest niczym nadzwyczajnym, nakazuje od razu w puencie tego wiersza zaczynającego się incipitem: „samotni w bibliotece” przywrócić bibliotece rangę miejsca jednak drugiego po świątyni w hierarchii *sacrum*. Bo też świętość księżnicy – według Gałuszki – przejawia się wyłącznie w jej intencjonalnym traktowaniu jako świętości, a nie w konstrukcji samej budowli. Dlatego traktowana jest ambiwalentnie, co wyraża się najlepiej w następujących wersach poety: „otwieram drzwi do biblioteki / i choć nie prowadzą do nieba / wiem że znajdę tam kawałek błękitu”. Tak to racjonalne podejście do własnego fachu miesza się w poezji Gałuszki z irracjonalizmem poetyckiej wyobraźni, często wyrażanej opisem światłości o niebieskim odcieniu i niebiańskim kolorycie.

Takie oscylowanie wokół sakralnego traktowania biblioteki przez poetę wynika zapewne z kojarzenia jej jako miejsca przechowywania ksiąg. Nie tylko zapisów ludzkiej wiedzy, refleksji czy przeżytych katuszy fizycznych, jak i psychicznych, ale również dzieł będących utrwaleniem boskich myśli czy nakazów. I skłania się wyraźnie autor w stronę tradycji biblijnej, co uwidacznia się mocno w wierszu o incipicie „kiedy przyjdzie koniec świata”, gdzie poeta nawiązuje wyraźnie do Apokalipsy św. Jana.

Stawia także autor istotne pytanie o współczesną rolę bibliotekarza. Czy jest jeszcze „strażnikiem świętego ognia”? A może już tylko urzędnikiem czuwającym nad prawidłowością katalogowych zapisów i kultywowaniu szacunku do książek? Czy w dobie elektronicznych katalogów i modnego zapisywania nawet poezji w internetowej sieci, ma jeszcze sens pilnowanie papierowego księgozbioru? To pytania, na które także pragnie odpowiedzieć Krystian Gałuszka, zdając sobie sprawę z zagrożenia jego bytu jako bibliotekarza. W tych dylematkach najlepiej dostrzec można utożsamianie się autora z podmiotem lirycznym, którym raz jest kierownik codziennego otwierający i zamykający drzwi do budynku biblioteki, innym razem bezosobowy miłośnik nie tylko książek, ale i specyficznej aury panującej w bibliotece. Wreszcie wielbiciel co ładniejszych bibliotekarek oraz krytyk tych z przypadku. Wszakże w księżnicy ważne są też prawdziwe namietności jeszcze czekające na, niekoniecznie liryczny, opis.

Mamy zatem do czynienia w wierszach Krystiana Gałuszki z zapisem bardzo osobistym, wzmocnionym przez wypowiedzianie się w pierwszej osobie liczby pojedynczej, jak też pozornie zobiektywizowanymi refleksjami natury filozoficznej. Właśnie takie oscylowanie pomiędzy liryką konfesyjnych – niekiedy fizykalnych i psychicznych – przeżyć a patetycznymi deklaracjami o zaniepokojeniu losami świata bez ksiąg, niekoniecznie świętych, potęguje wymowę wierszy zamieszczonych w tomiku *trakt@biblioteki*. Te krótkie bądź dość przydługawe, słupkowe teksty pozbawione rymów nie są wyłącznie uwagami bibliotekarza wychwalającego pod niebiosa pracę w księżnicy i rozwodzącego się nad pożytkami płynącymi z czytania.

Krzysztof Gałuszka: *trakt@biblioteka*. Katowice 2015, ss. 42.



Kto straszy w prozie Guzego

KSIĄŻKI

RYSZARD BEDNARCZYK

W przedmowie do książki Piotra Guzego *Odwiedziny u duchów i inne opowiadania*, opublikowanej w 2015 roku przez polskie Wydawnictwo Nowik, emigracyjny poeta Florian Śmieja narzeka na nieobecność w świadomości literackiej polskich czytelników twórczości tego pisarza. Urodzony w 1922 roku w Zawadzkiem Piotr Guzy młodość spędził w Tarnowskich Górach. Po wybuchu II wojny światowej w żołnierskiej tułaczce trafił do dywizji pancerniej generała Maczka. Zdemobilizowany studiował ekonomię w Londynie, ale naukę dokończył w Poznaniu, dokąd przeniósł się w 1949 roku wraz z angielską żoną. W czasach stalinizmu pracował w „Tygodniku Zachodnim” i wydał trzy książki kryminalne. „Pod sensacyjną fabułą kryła się trucizna” – ocenił

je krytycznie po latach. Gdy nastąpiła polityczna odwilż wyjechał w 1957 roku z Polski. Pracował w BBC i Radiu Wolna Europa. Na emeryturze osiadł w Hiszpanii pod Walencją.

Próbą oczyszczenia za współpracę ze stalinizmem stały się jego wydane w latach 60. XX w. na emigracji powieści *Krótki życiorys bohatera pozytywnego*, *Stan wyjątkowy*, *Requiem dla pani Tosi*. Jedynie powieść *Zwidy na wysokości*, będąca między innymi postmodernistyczną próbą rozliczenia z zafałszowanym obrazem tużpowojennej rzeczywistości w *Popiele i diamentach* Jerzego Andrzejewskiego, ukazała się w 1994 roku w Polsce. Najnowszy zbiór opowiadań jest kolejną próbą przywrócenia krajowej publiczności pamięci o jego twórczości.

Już pobeżna lektura *Odwiedziny u duchów i innych opowiadań* utwierdza w przekonaniu, że problematyka poruszana w tej prozie z wolna staje się tematem rozważań historyków literatury, którzy ostatecznie ustalą miejsce Piotra Guzego w panasie. Współczesny czytelnik nie jest raczej zainteresowany osobistymi rozliczeniami prozaika z własnym życiem. Otwierające zbiór opowiadania wojenne powielają bowiem schematy znane znacznie lepiej z literatury faktu. Opisane w *Wielkim nieszczęściu* losy akowskiego oddziału rozbrojonego podstępnie przez czerwonoarmistów jakoś nie wstrząsają sumieniem. Bardziej poruszające opowiadanie *Mala Niusia z misiem* o tragicznej śmierci matki i córki podczas wrześnie bombardowań Polski przypominają dobrze znane sceny z powieści, reportaży, filmów innych autorów. Z kolei z kilku tekstów – wynikających zapewne z osobistych przeżyć autora – o angielskich kobietach przeżywających miłosne rozczarowania i satysfakcje w czasie inwazji niemieckiego lotnictwa na Anglię ciekawsze zdaje się tytułowe opowiadanie zbioru niż dość zdawkowa *Frida*. Nie przynoszą nic nowego opowiadania rozliczeniowe z czasami stalinizmu *Wstyd czy Będziesz miłował kata swego!* – będące pisarską ekspiacją. Te motywy podjęli już wcześniej bardziej znani pisarze. Najciekawsze z nich jest na pewno to zatytułowane *Ostatnia posługa*. Historia przypadkowego spotkania dziadka z wnuczką, której opiekunem był dawny stalinowski oprawca bohatera, i urzędzenia mu pogrzebu. Tekst ten to dowód na absurd istnienia.

Na szczególną uwagę zasługują dwa opowiadania – *Biedna Lilo* i *Boska Christa* – o miłościach żyjących na emigracji polskich bohaterów z Niemkami. W ciąg erotycznych opisów i towarzyszącym im psychicznych wzlotów prozaik wplata jedynie przytłumione refleksje o ironii dziejów. Fabuły obydwu utworów mają pechowe zakończenie, pełne szczęście nie jest osiągalne, a bohaterowie dopiero w finale przypominają sobie, że zapomnieli powiedzieć partnerkom, jak bardzo je kochali. W tych tekstach Piotra Guzego zaciera się już pamięć o bolesnej żołnierskiej przeszłości, a liczą się jedynie uciechy płynące z dostatniego życia na emigracji.

Piotr Guzy: *Odwiedziny u duchów i inne opowiadania*. Wydawnictwo Nowik, Opole 2015; s.208.



*W muzeach nie wszystkie eksponaty
można zawsze oglądać.
Postanowiliśmy pokazywać niektóre
na naszych łamach.
Dziś pocztówka ze zbiorów
Muzeum Historii Katowic.*



Ulica Dworcowa w okresie międzywojennym.

Choć z usług Miejskiej Biblioteki Publicznej w Gliwicach regularnie korzysta wiele osób, bo około 40 tysięcy mieszkańców, to i tak gliwiczycy bibliotekarze wciąż poszukują nowych, oryginalnych rozwiązań, które pozwoliłyby na pozyskanie kolejnych odbiorców. Jednocześnie tych już przekonanych warto zaskoczyć nietypową ofertą. I być zawsze najbliżej ludzi.

Dlatego Miejska Biblioteka Publiczna w Gliwicach postanowiła wyjść z inicjatywą otwarcia punktu bibliotecznego w centrum handlowym Forum. To znakomite miejsce – mimo jego komercyjnego charakteru – do realizacji wspomnianych celów. Daje możliwość zaproponowania oferty kulturalnej naprawdę szerokiemu gronu odbiorców. Zaletami placówki są też: długi czas otwarcia przez siedem dni w tygodniu (w poniedziałki, czwartki i niedziele od 12.00 do 20.00, a w pozostałe dni od 9.00 do 20.00), dogodny dojazd, parkingi oraz dostępność obiektu dla osób niepełnosprawnych.

Rozmowy dyrektorów biblioteki i centrum handlowego przebiegały w atmosferze ogromnej otwartości oraz chęci współpracy. Ich efektem było uruchomienie nowego punktu bibliotecznego Biblioforum. Inauguracji jego działalności – 22 czerwca 2015 roku – towarzyszyły cztery wystawy. Pierwsza z nich pt. „Czym jest ekslibris?” zapoczątkowała działanie GEGE – Gliwickiej Edukacyjnej Galerii Ekslibrisu, która mogła zostać otwarta dzięki współpracy biblioteki z Wydziałem Artystycznym Uniwersytetu Śląskiego. Zaprezentowano wystawę rzeźb ceramicznych dr Katarzyny Handzlik-Bąk (z Zakładu Rzeźby Instytutu Sztuki na Uniwersytecie Śląskim), inspirowanych twórczością Bolesława Leśmiana, a także ekspozycję przygotowaną przez Wydział Architektury Politechniki Śląskiej w Gliwicach. Przedstawiono również fotografie nawiązujące do znanych i lubianych lektur, wykonane przez Bożenę Nitkę, będące przedmiotem konkursu



Z ŻYCIA BIBLIOTEK



Otwarcie Biblioforum

Miejska Biblioteka Publiczna w Gliwicach

Biblioforum – biblioteka w centrum handlowym



Zajęcia dla dzieci – „Piegowate wakacje w bibliotece”

„Po nitce... do książki?”. Ponadto we współpracy z Zespołem Szkół Ogólnokształcących Specjalnych nr 7 w Gliwicach przygotowano poruszającą wystawę zdjęć niepełnosprawnych dzieci z ich rodzicami.

W ofercie nowego punktu bibliotecznego są nie tylko bogate i atrakcyjne zbiory (książki, czasopisma, audiobooki, e-booki, gry

planszowe, filmy DVD, płyty gramofonowe) czy możliwość wypożyczenia na miesiąc czytelnika e-booków, ale również przedsięwzięcia realizowane w Biblioforum. Jednym z nich jest „Czytanie umysłu” – cykl warsztatów prowadzonych przez specjalistów z różnych dziedzin (m.in. z psychologii, logopedii, pedagogiki). Pierwsze zajęcia odbyły się w lipcu. Podczas spotkań poruszone zostały zagadnienia dotyczące metod radzenia sobie ze stresem, zaburzeń odżywiania, warunków prawidłowego rozwoju dzieci. Po wakacjach rozpoczną się comiesięczne warsztaty dla młodzieży pod hasłem „Opowiemy wam” – organizowane przy współudziale Zespołu Szkół Specjalnych im. Janusza Korczaka oraz Zespołu Szkół Ogólnokształcących Specjalnych nr 7. Cykl poświęcony problemom osób z niepełnosprawnością będzie uczył empatii, tolerancji i zrozumienia. Niebawem – w październiku – ruszy także projekt będący wsparciem m.in. dla osób poszukujących pracy. Zajęcia poprowadzą: coach, doradca finansowy, specjalista w zakresie pisania wniosków o środki unijne, doradca zawodowy.

Sześć tygodni funkcjonowania Biblioforum przyniosło już wymierne efekty, to: 2323 czytelników odwiedzających punkt biblieczny, 1051 zarejestrowanych użytkowników (w tym 294 osoby, które po raz pierwszy przyszły do Miejskiej Biblioteki Publicznej w Gliwicach), 458 użytkowników korzystających ze stanowisk komputerowych i dostępu do Internetu, 3227 wypożyczonych książek i 411 wypożyczonych filmów i audiobooków.

Liczby te wyraźnie dowodzą zasadności urządzenia biblioteki w centrum handlowym. Otwarcie Biblioforum to z pewnością słuszną decyzją!

BOGNA DOBRAKOWSKA
IZABELA KOCHAŃCZYK
MARTA KRYŚ



Do odwiedzenia Biblioforum zachęca jasne, przestronne...



... i nowoczesnie urządzone wnętrza

Na warsztatach

Szanowni Państwo! Ostatnio zarzucono mi, że błędnie użyłem formy *na warsztatach*. Ponoć powinienem był powiedzieć: *podczas warsztatów*. Czy moja konstrukcja *na warsztatach* w tym użyciu była błędna? Przecież mówimy *na zajęciach*, *na ćwiczeniach*, *na wykładach*, *na lekcjach*, a *warsztaty* oznaczają tu kolejną odmianę zajęć.

W zasadzie sam Pan doskonale odpowiedział na swoje pytanie, wypada zatem tylko potwierdzić słuszność Pana argumentacji. *Warsztaty* są definiowane w słownikach jako „zajęcia praktyczne, doskonalące jakąś umiejętność techniczną”, „kurs jakichś umiejętności, zwykle artystycznych, mający często postać kilkudniowego intensywnego szkolenia prowadzonego przez profesjonalistów, dostępnego też dla amatorów” (*Uniwersalny słownik języka polskiego* pod red. Stanisława Dubisza), „zajęcia o charakterze ćwiczeń, szkolenia, zwykle artystyczne” (*Wielki słownik poprawnej polszczyzny PWN* pod red. Andrzeja Markowskiego), „ogół zajęć, których celem jest pogłębianie wiedzy i doskonalenie określonych umiejętności” (*Wielki*

słownik języka polskiego PAN – www.wsjp.pl). W ostatnim z wymienionych słowników *warsztaty* są uznane za pozaszkolne formy nauczania, względem których hiperonimem, czyli wyrazem o znaczeniu szerszym i nadrzędnym, jest wymieniony przez Pana rzeczownik *zajęcia*. Słownik ten podaje częste połączenia z formami *warsztat* i *warsztaty*, takie jak *jechać*, *trafić na warsztat*; *jeździć*, *pojechać*, *pójść na warsztaty*, co pokazuje, że mamy do czynienia z łączliwością podobną do wymienionych w pytaniu form: *zajęcia*, *ćwiczenia*, *wykłady*, *lekcje*.

Idąc tym tropem, nie możemy negatywnie oceniać używania połączenia *na warsztatach*. Wręcz przeciwnie: należy dostrzec, że połączenie owo jest jednym z możliwych sposobów przedstawienia sytuacji, równie poprawnych, choć nieco różniących się sensem. O znaczeniu użytej konstrukcji zadecyduje użycie któregoś z przyimków. Przyimek *na* przyłącza nazwę spotkania lub imprezy, w których dana osoba uczestniczy, np. *Na zebraniu rozmawiano o budżecie*. *Byliśmy na koncercie*. *Profesor wspomniał o tym na wykładzie*. *Ćwiczyliśmy to na warsztatach*. Przyimek *podczas* komunikuje natomiast, że dane zdarzenie miało miejsce

np. w trakcie czegoś, czyli – nomen omen – silniej akcentuje *czas* wydarzenia. Możemy zatem powiedzieć *na warsztatach* lub *podczas warsztatów*, *na wykładzie* lub *podczas wykładu*, *na lekcji* lub *podczas lekcji* itd.

Konstrukcji nieznacznie różniących się znaczeniem jest w polszczyźnie wiele, mówimy np. że *ktos cieszy się z kogoś*, *z czegoś*, jeśli mamy na myśli wydarzenia przyszłe lub bieżące, np. *Cieszył się z wnuka*. *Ciesz się (z tego)*, *że cię widzę*. Mówimy też, że *ktos, coś cieszy się na coś*, kiedy idzie o wydarzenia przyszłe, np. *Cieszył się na czekającą go podróż*. Powiemy również, że *ktos cieszy się czymś*, aby wyrazić, że cieszy się zjawiskami trwającymi jakiś czas, np. *Cieszył się życiem*.

Wspomnieć warto, że podkreślony w pytaniu przyimek *podczas* jest uznawany za wyraz książkowy (czyli występujący w pisanej odmianie języka lub w starannych wypowiedziach mówionych, należący do stylu publicystycznego lub literackiego), a przyimek *na* jest stylistycznie neutralny, choć ostatnio bywa nadużywany w języku potocznym. Być może osoba, która zarzuciła Panu niepoprawność, jest przywiązana do języka literackiego, starannego, toteż stara się promować formy jednoznacznie poprawne, należące do stylu wysokiego, do jakich należy przyimek *podczas*.

KATARZYNA WYRWAS

Jeszcze w czasach kas biletowych i lekko garbatych tekturowych biletów kolejowych, zawiadowców z dziurkaczem w budce wypuszczających podróżnych na peron, zostałem zaproszony na imprezę plastyczną do Niemiec Zachodnich.

Zająłem miejsce przy oknie, dla lubiącego patrzeć w uciekający pejzaż – bezcenne.

Po znanym Opolu i nie obcym mi Wrocławiu nastąpiły mniej mi znane widoki, nieco dalej pojawiła się Friedensgrenze i nastąpiło DDR.

Z zaciekawieniem patrzyłem na dojrzałe wiekiem Jugendbrigaden pracujące na wielkich polach spółdzielczych, z uwagą czytałem transparenty zapewniające o wiekistej przyjaźni, walce o pokój i ja-

Anekdoty

HENRYK BZDOK

sno sformułowane cele do osiągnięcia w niedalekiej przyszłości.

Już bliżej drugiej granicy odwiedzili nas elegancy panowie w uniformach, jakby znanych mi z filmów historycznych, byli zdecydowanie grzeczni, choć niekoniecznie mili, wskazując na walizkę mówili: *machen Sie bitte das auf...* lub z polska – jest bronnia, granaten... ma maschinengewehr?

Nie wypadło się dziwić, dlaczego o to pytają przy wyjeździe z ich kraju a nie pytali przy wjeździe, widocznie większy u nich export niż import.

Za wewnętrzną niemiecką granicą przysnąłem, a daleko potem był Dortmund i wysiadka, stąd musiałem pojechać jeszcze trochę dalej, zwyczajnie kupić bilet i pojechać na 6 Bergkamener Bilder Basar.

Nie było kas biletowych, obejrzałem się i zauważyłem dużą szafę z okienkami, przyciskami i opisem, przeczytałem, nacisnąłem kolejne guziki i wyleciał papierowy bilecik...

Było także napomnienie by przed odjazdem bilet *ungültigen* i tu miałem problem, ta duża szafa nie miała żadnej szeliny ani okienka, w które można by wetknąć bilet i unieważnić.

Stałem z boku i czekałem chwilę, przyszedł pasażer i wetknął bilet do małego wihajstra na drążku przy wyjściu na peron.

Wiedziałem, lecz nie uczyniłem tego od razu, miałem jeszcze czas, dużo czasu... wyszedłem przed Bahnhof, pospacerowałem w pobliżu, wypilem piwo i wróciłem na dworzec.

Skasowałem bilet i wyszedłem na peron, potem przeczytałem na odwrotnej stronie biletu, że po unieważnieniu jest on ważny już tylko godzinę... jak dobrze że nie uczyniłem tego od razu.



NOTATNIK KULTURALNY

Redagują:
Wiesława Konopelska
Jan Picheta
Joanna Kotkowska,
Janusz Wójcik
Maria Sztuka
Jacek Sikora

Heinrich Schulz-Beuthen – kompozytor odnaleziony

BYTOM Rok 2015 r. jest obchodzony w Muzeum Górnośląskim w Bytomiu jako rok jubileuszowy, upamiętniający postać kompozytora Heinricha Schulza-Beuthena.

Urodził się w Bytomiu w 1838 r., w rodzinie o tradycjach aptekarskich. Jego dziadek Samuel był właścicielem pierwszej uprzywilejowanej bytomskiej apteki „Alte Apotheke”. Tradycje rodzinne kontynuował również ojciec Albrecht – był właścicielem apteki w Mysłowicach. W 1847 r., po śmierci ojca, rodzina Schulzów przeniosła się do Wrocławia, gdzie Heinrich Schulz ukończył najpierw szkołę realną, następnie rozpoczął naukę na Uniwersytecie Wrocławskim, gdzie studiował na wydziale filozoficznym. Jego nieprzeciętny talent muzyczny oraz zamiłowanie do muzyki, które przejął po swoich rodzicach sprawiły, że ostatecznie ukończył Konserwatorium Muzyczne w Lipsku. Z okazji jubileuszu 400-lecia wrocławskiej *Alma Mater* skomponował śpiewogrę „Fridolin”. Sukces tego utworu skłonił rodzinę do opłacenia mu dalszych studiów, na kierunku kompozycji. Wcześniej karierze muzyka sprzeciwiał się głównie dziadek, który uważał karierę muzyka za zajęcie nieodpowiednie dla odpowiedzialnego mężczyzny. Wyraz przywiązania do rodzinnego miasta, z którym mentalnie związany był do końca życia, dał sygnując – począwszy od 1864 r. – napisane przez siebie dzieła muzyczne jako Schulz-Beuthen, dodając drugi człon nazwiska – ówczesną nazwę Bytomia (Beuthen). W 1866 r. kompozytor przeniósł się do Zurychu, gdzie sporo tworzył, publikował również krytyki muzyczne w „Neue Zürcher Zeitung”. W latach 1880–1893 przebywał w Dreźnie, w latach 1893–1895 w Wiedniu, by w 1895 r. osiąść na stałe w Dreźnie. Tam też otrzymał posadę nauczyciela, a później profesora konserwatorium. Pod koniec życia trafił do zakładu dla nerwowo chorych w Löbtau, gdzie został pochowany. Zmarł w 1915 r.

Jest zaliczany do grupy kompozytorów szkoły nowoniemieckiej, pozostającej w kręgu oddziaływań Franciszka Liszta i Richarda Wagnera. Skomponował 132 dzieła, w tym: 8 symfonii, 7 poematów symfonicznych, ponadto utwory wokalnie-instrumentalne – walce, śpiewogry, opery, psalmy i pieśni, czy utwory chórálne.

100. rocznica śmierci Heinricha Schulza-Beuthena stała się podstawą dla powzięcia projektu, którego celem będzie przypomnienie i popularyzacja europejskiej klasy, aczkolwiek zapomnianego kompozytora ze Śląska, związanego mentalnie i emocjonalnie z miastem lat dziecińczych. Jego postać i twórczość spleta i przenika kulturowo cztery państwa – Polskę, Niemcy, Austrię i Szwajcarię.

W zbiorach Biblioteki Akademii Muzycznej w Katowicach znajduje się rękopis jednego z utworów – VI Symfonii c-moll „Koenig Lear” [Król Lear] inspirowanej ponadczasowym dziełem Williama Szekspira. W maju rękopis został poddany digitalizacji, natomiast oryginał można będzie zobaczyć podczas wystawy „Heinrich Schulz-Beuthen. Życie–twórczość–inspiracje”. Niewiele zachowało się materialnych pamiątek po kompozytorze. W zbiorach Muzeum Górnośląskiego znajdowała się jeszcze przed wybuchem II wojny światowej maska pośmiertna Heinricha Schulza-Beuthena. Był to wykonany na zamówienie bytomskiego muzeum odlew gipsowy z oryginału przechowywanego w Muzeum w Dreźnie. Znak czasu i kruchość materiału sprawiły, że maska pośmiertna nie zachowała się. W związku z obchodami jubileuszu 100-lecia śmierci bytomskiego kompozytora zadania jej odtworzenia, w oparciu o zachowaną



Heinrich Schulz-Beuthen.

fotografię maski, jak również inne fotografie artysty, podjął się bytomski artysta-rzeźbiarz – Henryk Fudali.

Koordynatorem projektu jest dr Joanna Lusek, partnerem – Oberschlesisches Landesmuseum w Ratingen. Projekt realizowany jest przy wsparciu Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej; został objęty patronatem honorowym ambasadora Republiki Federalnej Niemiec w Polsce – Rolfa Nikiela.

W ramach projektu odbyły się liczne warszaty plastyczne, konkursy wiedzy o kompozytorze – jego życiu i twórczości i konkurs fotograficzny.

Patronem medialnym projektu jest miesięcznik „Śląsk”.

Muzeum Górnośląskie zaprasza do udziału w wydarzeniach przygotowanych w ramach projektu *Heinrich Schulz-Beuthen. Życie–twórczość–inspiracje*:

24 października

Panel dyskusyjny: W świecie dźwięków – o ponadczasowej roli muzyki z udziałem Alicji Knast, Wiesławy Konopelskiej, Piotra Szalazy, Aleksandry Batog i prof. dr. hab. Aleksandra Lasonia.

Koncert kameralny Heinricha Schulza-Beuthena portret muzyczny we współpracy ze Śląskim Towarzystwem Muzycznym z udziałem pianisty – Tomasza Kamieniaka.

28 listopada

Koncert kameralny Heinrich Schulz-Beuthen. Ku pamięci z udziałem organisty Tomasza Plocha i wiolonczelistki Małgorzaty Majnusz. Komentarz słowny: Joanna Lusek i Maciej Droń.

16 grudnia

Wernisaż i prezentacja biografii artysty: *Heinrich Schulz-Beuthen. Życie–twórczość–inspiracje*. Kurator, autor biografii: Joanna Lusek.

Jubileusz Janusza Karbowniczka

TYCHY Jubileuszową wystawę malarstwa i rysunku Janusza Karbowniczka zatytułowaną „Rozmowa” przygotowują z okazji 40. lecia pracy twórczej artysty Muzeum Miejskie oraz Miejska Galeria Sztuki „Obok” w Tychach.

Janusz Karbowniczek przez wiele lat był mieszkańcem Tychów, aktywnie zaangażowanym w kreowanie życia artystycznego miasta. Współorganizował m.in. Tyskie Konfrontacje Środowiska Twórcze-



Janusz Karbowniczek, „Spotkania fioletowe I”, olej, 90 x 100 cm, 1991.

go, konkursy „Muzyka w malarstwie”; wielokrotnie pisywał teksty do katalogów wystaw; współpracował z Urzędem Miasta w Tychach w zakresie projektowania graficznego publikacji; zaangażowany był w działalność Miejskiej Galerii Sztuki „Obok”.

Artysta urodził się w Przemyślu. Studiował na Wydziale Grafiki w Katowicach Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Dyplom uzyskał w 1975 roku w Pracowni Plakatu prof. Tadeusza Grabowskiego i w Pracowni Książki prof. Stanisława Kluski. Od 1977 roku jest pedagogiem macierzystej uczelni. Obecnie, będąc profesorem Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, prowadzi autorską pracownię rysunku. Uprawia malarstwo, rysunek oraz projektowanie graficzne.

Janusz Karbowniczek prezentował swą twórczość na blisko siedemdziesięciu wystawach indywidualnych w kraju i zagranicą. Jest laureatem licznych nagród i wyróżnień, m. in.: Ogólnopolskiego „Salonu Zimowego”, BWA, Radom (1979 – wyróżnienie, 1987 – I nagroda); Ogólnopolskiej Wystawy Malarstwa „Bielska Jesień”, BWA, Bielsko-Biała (1979 – medal, 1980 – wyróżnienie, 1989 – srebrny medal); cyklicznych konkursów „Praca Roku” w Katowicach (‘91 – III nagroda, ‘93 – Grand Prix, edycje ‘99, ‘01, ‘04, ‘06 i ‘08 – nagrody). Został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi (1998) oraz Brązowym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” (2013).

Wystawę można oglądać od 10 do 31 października 2015.

Patronem medialnym wystawy jest miesięcznik „Śląsk”.

Festiwal „Fide et Amore” rozpoczęty

ŻORY W upalny, piątkowy wieczór, 7 sierpnia, w największej świątyni 60-tysięcznych Żor odbył się koncert inauguracyjny IX edycji Festiwalu Twórczości Religijnej *Fide et Amore*. W ramach imprezy co roku prezentowane są różne gatunki muzyki religijnej, których wykonawcami są najlepsi artyści z kraju i zagranicy. W tym roku organizatorzy festiwalu przygotowali 11 koncertów, sesję naukową o św. Hildegardzie z Bingen, spotkanie literackie, warsztaty wokalne-liturgiczne i inne atrakcje. Dyrektor żorskiego MOK i dyrektor artystyczny festiwalu przedstawili grono patronów honorowych, wśród których znajdują się abp Wiktor Skworc, bp Kościoła Ewangelickiego Marian Niemiec, prof. Krzysztof Penderecki, patronów medialnych (w tym gronie jest miesięcznik „Śląsk”) oraz środowisko współpracowników i dobrodziejów festiwalu. Wieczór inauguracyjny odbywający się pod honorowym patronatem Ministerstwa Kultury Federacji Rosyjskiej zaszczylił swoją obecnością przedstawiciel ambasady, attaché do spraw kultury, Emil Shykaliev. W odczytanim przezeń słowie ambasadora Sergeja Andreeva, umieszczono przesłanie: „Zgodnie z wieloletnią dobrą tradycją wasze forum skupia przedstawicieli sztuki religijnej, którzy prezentują wspaniałe przykłady muzyki symfonicznej, choralnej i kameralnej. Ich natchniona umiejętność przekonuje, że prawdziwa kultura niesie ogromny zasób siły moralnej i duchowo wzbogaca ludzkie życie.”

Obecność rosyjskiego dyplomaty była uzasadniona m.in. staraniami, aby w ramach festiwalu wykonać „Pasję wg św. Mateusza”, dzieło metropolity Hilariona Alfiejewa. Chociaż w tym roku było



Chór Teatru Muzycznego z Kaliningradu pod batutą Konstatnina Bielionogowa zainaugurował festiwal „Fide et Amore”.

to niemożliwe, muzykę prawosławną doskonale zaprezentował Chór Teatru Muzycznego z Kaliningradu pod batutą Konstatnina Bielionogowa. W iście natchniony sposób chórzyci śpiewali dzieła muzyki rosyjskiej, m.in. M. Musorgskiego, G. Swiridowa, P. Czernakowa i fragmenty „Liturgii św. Jana Chryzostoma” P. Czajkowskiego. Muzyka była „przetykana” modlitwami wschodnich ojców Kościoła: św. Atanazego, św. Jana Chryzostoma i św. Efrema Syryjczyka. Po owacji na stojąco artyści wykonali dwa utwory w języku polskim związane z kultem MB Częstochowskiej, wywołując jeszcze większe wzruszenie i duchowe uniesienie słuchaczy, czemu dał wyraz przemawiający na końcu, abp Damian Zimoń, senior archidiecezji katowickiej. Stwierdził on m.in.: „... możemy się wiele nauczyć od Kościoła na Wschodzie, który tak mocno podkreśla znaczenie Ducha Świętego. Niech ta uduchowiona muzyka nas łączy i prowadzi ku przyszłości”. Błogosławieństwo hierarchy będzie towarzyszyło uczestnikom festiwalu, aż do jego zakończenia, 16 X 2015.

Program dalszych wydarzeń: www.fideetamore.zory.pl

Nagroda internautów

BIELSKO-BIAŁA Gdyby o wynikach XLII Biennale Malarstwa „Bielska Jesień 2015” decydowali internauci, laureatem głównej nagrody zostałby urodzony w Płocku w 1973 r. Adam Rutkowski. Jego olejne dzieło „Bungee wg Gabriela Metsu” – nawiązujące do barokowego płótna „Dead Cock” pędzla znanego XVII-wiecznego malarza holenderskiego zostało zwyciężką głosowania internautów na najciekawszy obraz nadesłany na tegoroczny konkurs. Praca ta otrzymała 1930 głosów spośród 40726 oddanych podczas trwającego przez cały czerwiec plebiscytu internetowego.

Koronka na ścianie

BIELSKO-BIAŁA Na ścianie kamienicy przy ul. Sobieskiego 54 w Bielsku-Białej, obok skweru i zabytkowej miejskiej Studni Luśchki, powstał nowy mural – ogromna koronka. W sierpniu 2015 r. mural zrealizowała znana w świecie warszawska artystka o pseudonimie NeSpoon. Pokryła ona farbą 140 m kw. ściany szczytowej kamienicy, używając do tego szablonów i sprayów. Azurowa, graficzna kompozycja nawiązuje swoją stylistyką do ręcznie wytwarzanych koronek klockowych powstających w Bobowej – najstarszym ośrodku koronczarskim w Polsce. Murale NeSpoon można podziwiać m.in. w Chinach, Indiach, Australii, Finlandii, Portugalii, Francji i Włoszech.

Serbskie Grand Prix

WISŁA Od 29 lipca do 1 sierpnia w ramach Tygodnia Kultury Beskidzkiej odbyły się w Wiśle XXVI Międzynarodowe Spotkania Folk-



Adam Rutkowski „Bungee wg Gabriela Metsu” 2015, olej na płótnie, 90 x 60 cm.



NeSpoon w trakcie realizacji muralu.

lorystyczne. Wzięło w nich udział 17 zespołów, w tym trzy polskie. Grand Prix MSF Międzynarodowa Rada Artystyczna przyznała zespołowi Sveti Sava z Kacii w Serbii. Sześć nagród regulaminowych przyznano zespołom: Etnos ze Skopje w Macedonii, Sunkist z Beidou na Tajwanie, Haviar z Rožňavy na Słowacji, Tubil z Ankarı, Svetlovanek z Bojkovic w Czechach oraz BeStwina z miejscowości o tej samej nazwie sąsiadującej z Bielskiem-Białą.

U Wojciecha sypto...

ŻYWIEC XLVI Festiwal Folkloru Górali Polskich odbył się w ramach TKB w Żywcu w ostatnich dniach lipca. Złote Żywieckie Serce w kategorii zespołów folklorystycznych otrzymała Dolina Popradu z Piwnicznej-Zdroju za program „U Wojciecha sypto ziarno”. Srebrne Żywieckie Serce trafiło do Grojcowian z Wieprza za program „Po odpuście”. Brązowe Żywieckie Serce przypadło Żywczanom z Żywca za „Zabawę w karczmie”. W kategorii kapel Złote Żywieckie Serce otrzymała grupa Przemysława Ficka i Marcina Blachury z Żywca. Jedno z pierwszych miejsc zajęła kapela Antoniego Gluzy ze Szczyrku, a z trzecich – kapela Bukoń z Jabłonkowa i Gajdosze z Istebnej. W gronie grup śpiewaczych Złote Żywieckie Serce otrzymały Stejizbianki z Wisły. Żeńska grupa śpiewacza Wisła zajęła jedno z pierwszych miejsc, a grupy śpiewacze zespołu Magurzanek z Łodygowic i Istebna z Istebnej – zdobyły drugie miejsca.

Serca dla solistów

ŻYWIEC Podczas XLVI Festiwalu Folkloru Górali Polskich nagradzano nie tylko zespoły, ale także solistów. Wśród instrumentalistów pierwsze miejsce zajęli wspólnie Józef Byrtek z Pewli Wielkiej (skrzypce) i Kamil Wojtyła z Żabnicy (heligonka). W gronie multiinstrumentalistów pierwsze miejsce przyznano Rafałowi Gluzy ze Szczyrku i Januszowi Macoszkozi z Istebnej. Wśród śpiewaków Złote Żywieckie Serce otrzymała Władysława Gołuch z Mutnego. Pierwsze miejsca zajęły Zofia Sordyl i Józefa Sordyl z Korbiewowa, Barbara Biegun ze Świnnej i Anna Dunat z Pewli Wielkiej. Drugie miejsca przyznano Annie Foi z Sopotni Małej i Juliannie Adamek z Pewli Wielkiej. W kategorii „mistrz i uczeń – instrumentalista” pierwsze miejsce otrzymał m.in. Przemysław Ficek z Jeleśni (heligonka), a w kategorii „mistrz i uczeń – multiinstrumentalista” Monika Wałach-Kaczmarzyk z Jaworzynki (skrzypce, piszczałka, okaryna), która zdobyła także Złote Żywieckie Serce w kategorii „mistrz i uczeń – śpiewak”. W tej grupie laureatów pierwsze miejsce zajęła Antoni Gluza ze Szczyrku.

Młodzi o Kantorze

CZĘSTOCHOWA W obchodzonym właśnie Roku Tadeusza Kantora Zespół Szkół Plastycznych im. Jacka Malczewskiego w Częstochowie zorganizował Ogólnopolski Konkurs Plastyczny *Wariacje na temat Tadeusza Kantora*. Wzięli w nim udział uczniowie z Dąbrowy Górniczej, Koszalina, Łodzi, Łomży, Supraśla, Tarnowskich Gór i, oczywiście, z Częstochowy. Wybrane prace można było oglądać do końca sierpnia w trzech salach na parterze Galerii Dobrej Sztuki. To wystawa *Nieprzerwany rytm twórczości... W stulecie urodzin Tadeusza Kantora*.

W pierwszej sali tuż przy wejściu zaprezentowano rysunki jubilat do spektaklu *Mątwą* Witkacego, przygotowanego z teatrem Cricot 2 w 1956, oraz ławkę jakby wyjętą z najbardziej chyba znanego spektaklu, *Umarłej klasy*. Potem już rozpoczynały się wariacje... Młodzi twórcy mieli rozmaite pomysły na Kantora, poparte wnikliwą znajomością jego twórczości. Obok prób portretowych, pojawiły się nawiązania do przedstawień teatralnych (przede wszystkim wspomnianej *Umarłej klasy*, ale także *Niech szczerzą artyści*), happeningów (to np. praca Katarzyny Kulickiej z Częstochowy *Nad brzegiem morza*), twórczości plastycznej (technika ambalaze, czy najbardziej rozpoznawalne motywy – parasol lub walizka) oraz głoszonych teorii (np. praca Karoliny Oglódek *Nie zagląda się bezkarnie przez okno*). W salach galerii pojawiły się rozmaite formy przestrzenne, witraże, akwaforty, akwatinty...

Reportaże z przeszłości

CZĘSTOCHOWA W pierwszy poniedziałek sierpnia w Odwachu w cyklu *Aleje – tu się dzieje* odbyło się spotkanie z Mikołajem Grynbegiem, fotografem, autorem książek: *Auschwitz. Co ja tu robię?* (2009), *Ocaleni z XX wieku. Po nas nikt już nie opowie, najwyższej ktoś przeczyta* (2012) oraz *Oskarżam Auschwitz. Opowieści rodzinne* (2014). Poprowadził je Marcin Zegadło.

Mikołaj Grynberg opowiadał o losach ocalałych z zagłady Żydów, których życie mimo upływu lat determinowane jest przeszłością. Oni wciąż pozostają obcy nie tylko współczesnym Polakom, ale również swoim rodzinom czy społeczeństwu izraelskiemu, które zbudowane na micie silnego i aktywnego Żyda początkowo nie potrafiło uwierzyć w informacje o Holokauście, czyniąc ofiary współodpowiedzialnymi za wojenne wydarzenia.

O swoim zadaniu wobec czytelnika, ale przede wszystkim wobec bohaterów swoich książek Grynberg mówił niezwykle skromnie. Dla jednych był inicjatorem wspomnień, dla drugich pasem transmisyjnym, wiernym świadkiem opowieści o czasach zagłady. W swoich książkach unika więc ocen, pozostawiając to trudne zadanie czytelnikowi, ale co warto podkreślić, zło nie ma tu konkretnych nazwisk, by nikogo nie piętnować. Bo przecież godne pojęcia są czyny.



Wariacje na temat Tadeusza Kantora w Galerii Dobrej Sztuki w Częstochowie.



Fotografie Tomasza Komorowskiego gościły w MGS w Częstochowie.

Wyraził nadzieję, że wszyscy ocaleni, którzy jeszcze żyją, powtórzą za częstochowianką Irit Amiel jej okrzyk-świadekstwo – „to ja zwyciężyłam”.

Komorowski o człowieku

CZĘSTOCHOWA W Sali Poplenerowej MGS w sierpniu można było oglądać wystawę fotografii Tomasza Komorowskiego, absolwenta, a obecnie profesora Wydziału Fotografii Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi.

Prace przedstawiają niezwykle akty, zniekształcone i niemal bezcielesne, jakby podejrzane w krzywym zwierciadle, które udowadniały, że obraz fotograficzny może stać się takim samym twórczym jak np. glina czy farby kładzione na płótnie. Artysta zachęca do kontemplacji obiektów, ich kształtów, kolorów, zastosowanych kontrastów..., i dopiero wnikliwa obserwacja pozwala zwiedzającemu rozpoznać poszczególne części ludzkiego ciała. Ale jest to chyba potrzebne tylko po to, by zachwycić się pomysłowością fotografa, który w ten sposób próbuje przeciwstawić się dominującemu przekonaniu o mimetyczności uprawianej sztuki.

Częstochowski hip-hop

CZĘSTOCHOWA 23–25 lipca zorganizowano już po raz szósty Hip-Hop Elements. Koordynatorem festiwalu był Daniel Małoszyc, a prowadzącym Kari, czyli Dominik Karoń, który w ubiegłym roku wydał płytę *Debutant*.

Imprezy skupiały się wokół dwóch miejsc. Pierwszym był Amfiteatr przy Promenadzie im. C. Niemena. Tu odbywały się sobotnie koncerty; wystąpili m. in. Joe Kickass z Holandii (współpracujący m.in. z Ostrym), donGURALesco, Quebonafide, Pro8L3M, Rasmentalism, DJ Lem oraz Mikser&Instrumenty z Częstochowy. Na Promenadzie odbywały się natomiast imprezy towarzyszące, takie jak graffiti jam, break dance, bitwy freestyleowe czy street market.

Drugim ważnym miejscem był plac Biegańskiego i okolice. Tu szkoła tańca Snake Dance przygotowała pokaz break dance, w klubie Rura zorganizowano after party (DJ Slim, DJ Show) oraz projekcje filmowe, a warsztaty dla producentów muzycznych poprowadził w OPK Gaude Mater kolektyw polsko-holenderski Killing Skills.

Lato pełne niespodzianek

ZŁOTY POTOK Już tradycyjnie na przełomie lipca i sierpnia Złoty Potok stał się miejscem kilku imprez kulturalnych. Najpierw zorganizowano Jurajskie Lato Filmowe z projekcjami filmów na 14-

metrowym akranie nad „Amerykanem” i spotkaniami z Olgą Bołądź, Andrzejem Grabowskim czy Krzysztofem Skibą.

Następnie odbyło się XIX Święto Pstrąga, gdy wszystko kręciło się dookoła ryby. Przygotowano więc konkursy: plastyczny „Prośba do Złotej Rybki”, muzyczny „Plusk Złotej Rybki”, turystyczny „Wiedzy o Złotej Krainie”, a także Bieg z Pstrągiem. Nie zabrakło też zawodów wędkarskich oraz konkursu kulinarnego „Królewski Pstrąg na 24 sposoby”.

W tym czasie miał również miejsce III Festiwal Jazzu Tradycyjnego w Stajni Wiking, organizowany przez Tadeusza Ehrhardta-Órgielewskiego. Wystąpili: Sound Cechowy, Tador Swingtet (formacja z Orgielewskim i Justyną Królak) oraz Siergiej Wowkotrub Quintet.

XXVI Międzynarodowy Kurs Muzyczny

OPOLE Kolejna edycja imprezy organizowanej przez Towarzystwo Międzynarodowych Kursów Muzycznych im. Jerzego Hellera oraz Państwową Szkołę Muzyczną im. Fryderyka Chopina w Opolu – wzbogaciła sezon ogórkowy o ciekawe koncerty, które ożywiły sale opolskich kościołów, zamków i pałaców. W tegorocznym Kurse Muzycznym wzięło udział 140 gości z kraju i zagranicy: uczniowie oraz studenci klas skrzypiec, fortepianu, altówki, wiolonczeli, kontrabas, gitary a także zespoły kameralne. Młodzież doskonaliła swoje umiejętności pod okiem międzynarodowego grona pedagogów, pracowała nad interpretacją przygotowanych utworów, biorąc jednocześnie udział w lekcjach mistrzowskich, wykładach i warsztatach. Codziennie z udziałem mistrzów i uczniów odbywały się koncerty m.in. w Opolu, Głucholazach, Mosznej, Brzegu i Kamieniu Śląskim, a wśród nich koncert muzyki kameralnej Maurice’a Ravela upamiętniający 140. rocznicę urodzin kompozytora, koncert „Vivaldi na wodzie”, spektakl „Taneczny świat Chopina” w wykonaniu Baletu Dworskiego Cracovia Danza oraz koncert muzyki hiszpańskiej. Międzynarodowe Kursy Muzyczne upamiętniają postać Jerzego Hellera, długoletniego dyrektora polskiej szkoły muzycznej, inicjatora i organizatora tej imprezy, animatora wielu opolskich przedsięwzięć muzycznych. Obecnie kieruje nimi Tomasz Tomaszewski, opolanin, koncertmistrz Niemieckiej Opery w Berlinie, profesor berlińskiego Uniwersytetu Sztuki.

Lato w Teatrze

OPOLE „Lato w Teatrze” to realizowany ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, program Instytutu Teatralnego im. Zbigniewa Raszewskiego w Warszawie. Jego głównym celem jest krzewienie idei pedagogiki teatralnej. W Opolu program ten realizował Teatr Lalki i Aktora im. Alojzego Smolki, przy współpracy Młodzieżowego Domu Kultury w ramach projektu odbywały się

szkolenia dla pedagogów teatru oraz warsztaty dla dzieci i młodzieży (spędzających wakacje w mieście), prowadzone przez artystów, uczestnicy poznawali tajniki pracy w teatrze a także uczyli się tworzyć wyrażenie siebie za pomocą różnych środków ekspresji. Zajęcia prowadzono w czterech grupach warsztatowych: aktorskiej, kostiumowo-scenograficznej, muzycznej i filmowo-reporterskiej, prowadzili je artyści: Małgorzata Dąbrowska, Tomasz Kurowski, Agnieszka Lucia, Ewa Kabza. Związaniem opolskiego programu „Lato w Teatrze” była premiera spektaklu „Labyrinth of Dreams” z udziałem uczestników warsztatu, w reżyserii Joanny Grabowieckiej, który dwukrotnie zaprezentowano na deskach opolskiego teatru lalkowego.



Foto. Ewelina Sianek

XXVIII Międzynarodowy Studencki Festiwal Folklorystyczny, to przede wszystkim święto młodości.

Nowy dyrektor Filharmonii Opolskiej

OPOLE Przemysław Neumann, dyrygent, absolwent Akademii Muzycznej w Poznaniu, współpracujący m.in. z Teatrem Wielkim w Poznaniu i Gliwickim Teatrem Muzycznym został nowym dyrektorem Filharmonii Opolskiej po wygraniu konkursu na to stanowisko, ogłoszonego przez Zarząd Województwa Opolskiego. W finałowym etapie konkursu wzięło udział siedmiu kandydatów: Wacław Kunc, Wojciech Marchwica, Przemysław Neumann, Waldemar Olszewski, Artur Rekiel, Jerzy Salwarowski i Bartosz Żurkowski.

Każdy z kandydatów zaprezentował swoją wizję oraz program funkcjonowania Filharmonii Opolskiej z uwzględnieniem aspektu artystycznego i finansowego, a następnie odpowiadali na pytania członków komisji konkursowej (m.in. przedstawiciele MKiDN, stowarzyszeń twórczych i związków zawodowych), którzy po zakończeniu obrad w wypowiedziach do mass mediów zgodnie podkreślali wysoki poziom merytoryczny kandydatów, prezentujących różnorodne i zarazem ciekawe koncepcje prowadzenia filharmonii. Jak powiedział Grzegorz Sawicki członek Zarządu Województwa Opolskiego, przewodniczący komisji konkursowej – *do tego wyboru przekonała komisję spójna i realna koncepcja funkcjonowania Filharmonii zaprezentowana przez Przemysława Neumanna, jego wysokie kwalifikacje i ciekawy dorobek artystyczny, znajomość pozyskiwania funduszy unijnych, nowe formy działalności filharmonii, które mogą przyciągnąć większe grono słuchaczy, a także ciekawe formy współpracy z organizacjami pozarządowymi i nowoczesne formy komunikowania się z publicznością.*

Studenckie spotkania z folklorem

SOSNOWIEC 29 sierpnia w sali widowiskowo-koncertowej „Muza”, za sprawą XXVIII Międzynarodowego Studenckiego Festiwalu Folklorystycznego, rozpoczął się Rok Kulturalny w Sosnowcu! MSFF już na stałe zagościł na mapie kulturalnej regionu. Barwne korowody, feeria barw ludowych strojów, roztańczona i rozśpiewana młodzież z całego świata to wizytówka największej akademickiej imprezy folklorystycznej w Europie. W tym roku miasta Śląska, Zagłębia i Podbeskidzia odwiedziły zespoły z Czech, Ukrainy, Lotwy, Włoch, Egiptu, Indii, Węgier, Serbii i oczywiście z Polski. Koncerty zauroczyły publiczność między innymi w: Sosnowcu, Ustroniu, Istebnej, Brennej i Chorzowie. Festiwalowym miasteczkiem po raz pierwszy był urokliwy Cieszyn, gdzie na zamku miał miejsce koncert „Muzyka Świata”, finałowa prezentacja XXVIII MSFF odbyła się w Chorzowskim Centrum Kultury. Polskę reprezentował gospodarz – Studencki Zespół Pieśni i Tańca „Katowice” oraz Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Cieszyńskiej im. Janiny Marcinkowej.

Festiwal Muzyki Celtyckiej

BĘDZIN Kiedy po raz pierwszy w 2003 roku na podzamczu będzinskiej twierdzy zabrzmiała muzyka celtycka, organizatorzy – będzinśki Urząd Miasta oraz Zespół Muzyki Celtyckiej Beltaine chyba nie przypuszczali, że przegląd polskich zespołów grających muzykę Irlandii, Szkocji i Bretanii czyli Festiwal Muzyki Celtyckiej „Zamek” zdobędzie taką sławę i na stałe zagości w prastarym grodzie. W tym roku po raz trzynasty zahuczało w mieście nad Czarną Przemszą, jak wspominają organizatorzy była to najbardziej... czeska ze wszystkich edycji! Od skrzypcowo-gitarowego duetu, przez balfolkową kapelę, aż do Branu, który zaszczycił nas po raz drugi. Wielką niespodzianką był debiut zespołu Etnostation. Ponadto wystąpili m.in. francuska grupa Plantec i będzinśki zespół tańca irlandzkiego Galway.

Pastel – grafika – ekslibris

DĄBROWA GÓRNICZA W Galerii Pałacu Kultury Zagłębia w Dąbrowie Górniczej 28 sierpnia zagościła wystawa Romualda Korusa. Znany będzinśki malarz i grafik, absolwent krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych tym razem zaprezentował swoje dzieła w trzech technikach wyrazu artystycznego, były to: pastel, grafika i ekslibris. Przed rokiem w Pałacu Mieroszewskich w Będzinie artysta świętował jubileusz 50-lecia pracy twórczej. Ekspozycja w dąbrowskiej galerii są także efektem pracy ostatnich pięciu dekad, są zapisem świata widzianego przez pryzmat symboli, archetypów i wyobraźni. Romuald Korus uprawia malarstwo sztalugowe, grafikę artystyczną, prasową, malarstwo sakralne, witraż i rysunek. W jego dorobku znajduje się wiele wystaw krajowych i międzynarodowych, które zaowocowały licznymi nagrodami dla twórcy. Na stałe związany jest z Będzinem, w Miejskim Ośrodku Kultury prowadzi pracownię malarstwa.

Lalki z duszą

DĄBROWA GÓRNICZA W Muzeum Miejskim „Sztynarka” w Dąbrowie Górniczej gości wystawa, która jest efektem niezwykłej pasji Magdaleny Mroczek-Stachowiak, która kolekcjonowanie lalek zaczęła we wczesnym dzieciństwie. Nie porzesała jednak jedynie na ich gromadzeniu. Upodobanie do strojów regionalnych zdecydowało – jak mówi autorka wystawy – także o wyborze kierunku studiów. Pani Magdalena jest absolwentką etnologii na Uniwersytecie Jagiellońskim. Swoją pasję rozpoczęła od zbierania lalek w polskich strojach regionalnych, później dołączyły do niej lalki z całego świata. Pojawiły się także własne oryginalne kreacje Barbie (tzw. One Of A Kind). Uszkodzone odzyskały w pracowni M. Mroczek-Stachowiak swoją świetność. Kolekcja obecnie liczy ponad tysiąc lalek reprezentujących folklor ponad stu krajów oraz ponad trzysta lalek kostiumowych. Od października 2012 roku zbiór lalek regionalnych znajduje się w depozycie w Muzeum Miejskim „Sztynarka” w Dąbrowie Górniczej. Lalki pani Magdaleny zdobyły wiele nagród i wyróżnień, m.in. trzy lalki Barbie One Of A Kind uzyskały w 2002 roku nagrodę na VI Międzynarodowym Festiwalu Lalek w Győr na Węgrzech.

Teatralne wakacje

SOSNOWIEC Dwa tygodnie sierpniowych wakacji spędzili w... Teatrze „Zagłębia” w Sosnowcu. Pod opieką profesjonalistów pracowali w trzech grupach: aktorskiej, scenograficznej i multimedialnej. Mowa o grupie nastolatków, którzy uczestniczyli w warsztatach, efektem ich pracy był spektakl zatytułowany „Tak to widzę: szkoła”. Warsztaty przygotował Teatr Zagłębia w ramach programu „Lato w teatrze” organizowanego przez Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszeńskiego. Warto dodać, że projekt „Tak to widzę: szkoła” znalazł się w gronie wniosków najwyższej ocenionych przez Komisję Ekspertów programu. Przyszłych twórców teatru przygotowywali m.in.: Iwona Woźniak (prezes Fundacji Szafa Gra), Maciej Działczko (instruktor teatralny, nauczyciel, arteterapeuta), Mikołaj Karczewski (aktor, tancerz),

Agnieszka Piestrzeniewicz (nauczyciel akademicki, animator podmiotowości, trener umiejętności twórczych), Szymon Szewczyk (współautor scenografii i kostiumów do spektakli „Korzenie”, „Koł, kobieta i kanarek” w Teatrze Zagłębia), Miłosz Gajewski (realizator trailerów spektakli w Teatrze Zagłębia) oraz ulubienicy publiczności, aktorzy zagłębiowskiej sceny: Elżbieta Laskiewicz, Agnieszka Okońska-Bałaga, Michał Bałaga, Przemysław Kania. Mając takich opiekunów o premierze można powiedzieć tylko jedno: sukces!

Dożynki po błędowicku

HAWIERZÓW-BŁĘDOWICE W ogrodzie przy Domu PZKO w Hawierzowie-Błędowicach świętowano w sobotę 29 sierpnia zakończenie zniw. Członkowie Miejscowego Koła Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego zorganizowali swoją sztandarową imprezę, Dożynki Śląskie, już po raz 46. Tradycyjny obrządek dożynkowy przedstawił na scenie działający przy Kole Zespół Regionalny „Błędowice”, który wspomogły kapela i chórek „Kamraci i kamratki”. Wieniec z tegorocznych kłosów zbóż wręczono gospodarzom, którymi byli w tym roku ponownie prezes błędowickiego Koła, Piotr Chroboczek i jego żona Stanisława. Gospodarze częstowali dożynkowych gości miodulą i kołaczami, zapraszali do licznych stoisk z placzkami, ciastami, potrawami z grilla, jak również ognistymi trunkami. O „strawę duchową” zadbały natomiast – wspólnie z działającymi w ramach „Błędowic” i przy miejscowej polskiej podstawówce „Małymi Błędowianami” – czeska „Vonička” z Hawierzowa oraz zespół „Małe Bartusie” z Podhala. Gorąco witano na Dożynkach Śląskich gości honorowych. Do błędowickiej „Zborówki” przyjechał na przykład nowy konsul generalny RP w Ostrawie, Janusz Bilski. Nowy konsul objął stanowisko właśnie w sobotę, a błędowickie dożynki były pierwszą jego imprezą.

Malarze w Beskidach

ŁOMNA DOLNA Pędzle, farby, płótna, szkicowniki – z takim wyposażeniem wyruszyli 24 sierpnia w Beskidy malarze ze Stowarzyszenia Artystów Plastyków w RC oraz zaprzyjaźnieni artyści, także z zagranicy. Inspiracji szukali w okolicach Łomnej Dolnej. To tam SAP zorganizował w tym roku Międzynarodowy Plener Malarski „Beskidy”. Na plenerze spotkało się jedenaścioro plastyków, w tym artyści z Polski i Białorusi. – Przyjechali do nas goście z Warszawy, bardzo dobrzy akwareliści. Zasadniczo jednak technika i tematyka prac są dowolne, więc każdy może wybrać to, co najbardziej mu odpowiada – wyjaśniła Ewa Matykievicz-Zachatová z SAP, która była komisarzem pleneru. Uczestnicy pleneru tworzyli do 28 sierpnia. W dzień później zaś prace powstałe w czasie tygodnia spędzonego w Beskidach malarze zaprezentowali na wystawie w sali balowej hotelu Pod Akajami.

Ku czci św. Melchiora

CIESZYN Życie św. Melchiora Grodzieckiego było przekraczaniem granic, które dzielą kultury, języki i ludzkie serca – podkreślił w niedzielę 6 września w kościele pw. św. Marii Magdaleny w Cieszynie ks. bp Roman Pindel, ordynariusz diecezji bielsko-żywieckiej. Wspólnie z biskupem-seniorem Tadeuszem Rakoczym i ks. bp. Františkem Václavem Lobkowiczem z diecezji ostrawsko-opawskiej wziął on udział w ponadgranicznych uroczystościach ku czci św. Melchiora Grodzieckiego, rodaka z Cieszyna. Tegoroczne uroczystości odbyły się jak zwykle w pierwszą niedzielę września. Procesje z obu brzegów Olzy wyruszyły z orkiestrami sprzed kościołów parafialnych pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa w Czeskim Cieszynie i św. Marii Magdaleny w Cieszynie, by spotkać się na Moście Przyjaźni. Później wszyscy udali się na mszę do świątyni cieszyńskiej.

Homilię wygłosił biskup Lobkowicz. Hierarcha zachęcał zgromadzonych, by szukali ciszy, w której łatwiej usłyszeć głos Boga: – Otwórzmy swoje serca, abyśmy potrafili słuchać Słowa Bożego. Kiedy będziemy umieli komunikować się z Bogiem, będziemy potrafili lepiej rozmawiać z ludźmi – podkreślił biskup Lobkowicz.



Fot. Jacek Sikora

Wieniec dożynkowy gospodarzom, państwu Stanisławie i Piotrowi Chroboczkom, przekazały Barbara Owczarzy i Jakub Staś z zespołu „Błędowice”.

Elementarz szyty na miarę

ZAOLZIE 1 września 235 pierwszoklasistów w polskich szkołach na Zaolziu rozpoczęło naukę z nowym elementarzem. Pachnące nowością podręczniki dla pierwszaków właśnie wyszły spod drukarskiej prasy i zastąpią używane przez ostatnie kilkanaście lat „czerwone” elementarze, już nieco przestarzałe. Co ważne – nowy elementarz jest szyty wprost na miarę. Autorki wzięły pod uwagę nie tylko nowe trendy w nauczaniu początkowym, ale pamiętały też o specyfice zaolziańskich szkół. – Ostatni elementarz wydany został w 2003 roku. Kiedy skończył się jego nakład, stanęliśmy przed dylematem: wznowić starą wersję czy spróbować stworzyć coś nowego, bardziej nowoczesnego – wyjaśniała podczas promocji elementarza koordynatorka zespołu autorskiego, Renata Czader z Centrum Pedagogicznego dla Polskiego Szkolnictwa Narodowościowego.

Prace nad podręcznikiem dla pierwszoklasistów ruszyły dzięki funduszom z Ministerstwa Szkolnictwa RC w ramach projektu na wspieranie edukacji w językach mniejszości. Oprócz elementarza Centrum Pedagogiczne wydało również zestaw zeszytów ćwiczeń oraz zeszyty do nauki pisania (w dwóch wersjach: w tradycyjnym piśmie i w comenia script). Nauczyciele otrzymają również wersję interaktywną, nawiązującą do elementarza, ale zawierającą też nowe zadania i treści.

W skrócie...

■ 21 sierpnia odbyła się w Pszczynie konferencja popularnonaukowa poświęcona ks. Piotrowi Skardze. Wykłady wygłosili: dr hab. Aleksandra Giełdoń-Paszek (UŚ) – „Wymowa ikonograficzna obrazu Jana Matejki *Kazanie Skargi*” oraz dr hab. Danuta Krzyżyk (UŚ) – „O sztuce dobrego mówienia wczoraj i dziś – refleksje wokół Kazan sejmowych Piotra Skargi”. Organizatorem konferencji było Miasto Pszczyna.

■ Galeria „Kronika” w Bytomiu i Fundacja Galerii Wschód od 6 do 29 sierpnia prezentowały wystawę „trzaski”, której autorami byli: Daniel Koniusz, Łukasz Sosiński, Tomasz Koszewnik, Łukasz Rodziewicz.

■ Malarstwo Marii Danuty Chmielarskiej pokazała galeria „Na Żywo” Radia Katowice. O zmarłej rok temu artystce tak pisze w katalogu Maciej M. Szczawiński: „Była mistrzynią półtonu, półszepetu i środków subtelných. Krzyk formalnie był jej obcy, podobnie jak wszelka ostentacja czy przerysowania. Ale krzyk w sztuce może być też bezgłośny, a cisza nagle nabrzmiewać treścią”.

■ W ramach Sierpnia Talentów i cyklu „Muzyka w kościołach Katowic”, któremu patronowali metropolita katowicki i prezydent Katowic wystąpili: w kościele św. Antoniego w Dąbrówce Małej – Justyna Kopiszka (mezzosopran) i Bartłomiej Barwinek (organy), natomiast w kościele pw. Opatrzności Bożej w Zawodziu koncertowali Katarzyna Ćwiek (mezzosopran) i Tomasz Soczek (organy). Organizatorem koncertów była Instytucja Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia”.

■ 28 sierpnia w Bibliotece Śląskiej odbyła się inauguracja festiwalu Laureaci I Ogólnopolskiego Konkursu Wokalnego im. Jana Kiepury w Sosnowcu z udziałem Marceli Wierzbickiej (sopran), Mag-



„Ostatni taki wspaniały obraz” Michaela „Nick” Nicholasa z USA, zwycięzcy 50. edycji konkursu Wildlife Photographer of the Year 2014. Wystawa w Muzeum Górnośląskim w Bytomiu.

daleny Pluty (mezzosopran), Łukasza Skrobka (baryton), Marcina Mogiły (fortepian).

■ Z okazji 150. urodzin Katowic odbyły się koncerty w bazylice w Panewnikach oraz w kościele pw. św. Antoniego.

■ Od momentu udostępnienia przez Muzeum Śląskie w Katowicach pięciu wystaw stałych, stanowiących unikalne połączenie tematyki historii, sztuki profesjonalnej, plastyki nieprofesjonalnej i scenografii teatralnej, zobaczyło je ponad 100 tysięcy osób.

■ Wernisaż „Nieba bliżej” Marka Waclawa Judyckiego oraz Bronisława Wątroby odbył się 14 sierpnia w Regionalnym Ośrodku Kultury w Katowicach. Wystawa związana była z Międzynarodowym Dniem Latarni Morskich.

■ Wydział Promocji Urzędu Miasta Katowice oraz Stowarzyszenie Przyjaciół Sztuk Kompetentnych zapraszali 16 sierpnia na koncert „Niedzielne Popołudnie z Muzyką”, zorganizowany na katowickim Rynku. Można było posłuchać popularnego repertuaru operetkowego oraz przebojów muzyki filmowej w wykonaniu Justyny Dylu – sopran, Kamila Roch-Karolczuka – tenor, Sylwestra Targosz-Szalonka – tenor z towarzyszeniem Kameralistów Orkiestry im. Arcyksiężnej Marii Krystyny Habsburg.

■ Muzeum Miejskie w Tychach w Centrum pozyskało nowe miejsce ekspozycyjne, w którym może prezentować mieszkańcom miasta zdjęcia ze swoich zbiorów, stanowiące kanwę wcześniejszych wystaw. Pierwszą wystawą pokazywaną w CM „Paprocany” były zdjęcia z budowy miasta będące fragmentem wystawy „Powstaje miasto. Tychy w fotografii Andrzeja Czyżewskiego”.

■ Muzeum w Chorzowie zaprasza na wystawy czasowe: „*Sam rząd to nie wszystko! Samorząd. Dzieje samorządu w Chorzowie w latach 1868–1990*”, „Nie tylko Matejko. Wizerunki królów i książąt polskich na medalach” (ze zbiorów Muzeum w Chorzowie), „Dwa wieki energetyki w Chorzowie, stała numizmatyczna: Z dziejów pieniądza. Polska – Śląsk”.

■ Cieszyński profesor Janusz Spyra z Akademii Jana Długosza w Częstochowie wydał dzieło pt. „Historiografią a tożsamość regionalna w czasach nowożytnych na przykładzie Śląska Cieszyńskiego w okresie od XVI do początku XX wieku”. Publikacja podsumowuje dotychczasową pracę badawczą historyka.

■ 8 sierpnia w ramach bielskiej akcji „Sztuka wychodzi na Rynek” odbył się wernisaż prac plastycznych i fotograficznych Jolanty Knapek i jej przyjaciół.

■ Podczas przerwy w nauce młodzi artyści z LO Towarzystwa Ewangelickiego w Cieszynie przedstawili na francuskiej wyspie Reunion (m.in. w Urzędzie Miejskim St. Denis – stolicy wyspy) spektakl muzyczny „Chaja & Edith” o Helenie Rubinstein i Edith Piaf. Autorami spektaklu są Małgorzata i Jean-Claude Hauptmannowie.

■ W sierpniu w Cieszynie odbyły się dwie sztandarowe wakacyjne imprezy – XXVIII Międzynarodowy Studencki Festiwal Folklorystyczny oraz XXV Letnia Szkoła Języka i Kultury Polskiej organizowane przez tamtejszy US.

■ W salach koncertowych i na placach Bielska-Białej w lipcu i sierpniu odbywały się XVI Dni Muzyki Kameralnej i Organowej organizowane przez Towarzystwo Muzyki Dawnej im. G. Ph. Telemanna.

■ „Zabka Kuma i klątwa Templariuszy” to tytuł siedmiu bajek edukacyjnych o urokach gmin Lokalnej Grupy Rybackiej Żabi Kraj – Skoczowa, Pawłowice, Zebrzydowice, Chybia, Goczałkowicz-Zdroju, Strumienia i Dębowca – autorstwa Jolanty Reich-Klose, które w formie książkowej wydała Agencja Reklamowa Poran w Bielsku-Białej. Ilustracje wykonał Zbigniew Poraniewski. W każdej

z miejscowości „Żabiego Kraju” Kuma przeżywa inną, lokalną przygodę.

■ Podczas fotograficznych wtorków w Odwachu prace prezentowali: Sebastian Adamus, Dariusz Baranowski, Zbigniew Burda; Jacek Bonecki i Krzysztof Muskalski.

■ Gośćmi poniedziałkowych spotkań literackich i podróżniczych w Odwachu byli także: Monika Kaczmarzyk, Michał Ogórek, Denis Urubko.

■ W OPK Gaude Mater *Obrazki z podróży* prezentował Krzysztof „Biały” Bociąga, o podróżach opowiadał Tadeusz Chudecki, a Piotr Gadzinowski promował książkę *W Hong Kongu*.

■ W Bibliotece Publicznej im. W. Biegańskiego odbyła się promocja książki Łukasza Suskiewicza *Zależności*.

■ Na wystawie „Gołąbek pokoju” w opolskiej siedzibie Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych można było obejrzeć prace współczesnych artystów, zajmujących się rysunkiem satyrycznym oraz karykaturą, którzy zobrazowali swoje wizje uniwersalnego symbolu pokoju.

■ Z okazji „Wielkiego Dnia Pszczół 2015” w skansenie Muzeum Wsi Opolskiej w Opolu zorganizowano rodzinne warsztaty poświęcone pszczołom i pszczelarstwu.

■ W 70. rocznicę ataku nuklearnego na Hiroszimę i Nagasaki Muzeum Śląska Opolskiego w Opolu zorganizowało wystawę „Dni po dniu...” prezentującą powojenną fotografię japońską ze zbiorów Zenona Harasyma.

■ Wasył Bondarczuk z Akademii Sztuki Pięknych we Lwowie na wystawie „Zastygła improwizacja” w Galerii Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej wystawił akwarele, pastele oraz wykonane autorską techniką prace łączące ze sobą ceramikę i szkło artystyczne.

■ „Dzisiaj są moje urodziny” to tytuł wystawy prac Romualda Jeziorowskiego, który w Muzeum Śląska Opolskiego z okazji 25. lecia pracy twórczej, zaprezentował m.in. rysunki, filmy, fotografie oraz instalacje.

■ Ponad 800 młodych osób z różnych stron Polskie uczestniczyło w Święcie Młodzieży na Górze Świętej Anny, w programie imprezy oprócz rozważań Pisma Świętego i modlitw, odbywały się liczne wydarzenia artystyczne m.in. koncerty w klimacie muzyki reggae i rocka.

■ W Galerii Sztuki Współczesnej w Opolu mieszkańcy stolicy regionu mogli zobaczyć wystawę prac tegorocznych dyplomantów Instytutu Sztuki Uniwersytetu Opolskiego.

■ Wystawę prac dyplomowych Instytutu Sztuki Uniwersytetu Opolskiego zaprezentowano w Galerii Sztuki Współczesnej w Opolu, która od lat współpracuje z Uniwersytetem Opolskim, promując dokonania młodych twórców – absolwentów uczelni.

■ 7 sierpnia w Parku Sieleckim w Sosnowcu odbyła się piąta edycja Eskalatora. Gwiazdami tegorocznej imprezy byli m.in. Kamil Kubas, Mrozu i Sylwia Grzeszczak.

■ 19 i 20 sierpnia w Kroczykach miała miejsce czwarta edycja Letniego Festiwalu Fotograficznego, jego organizatorzy: Jurajska Grupa Fotograficzna i Hotel Fajkier w tym roku zaproponowali temat przewodni: nagość zakryta. Obejmował on fotografię sensualną i akty.

■ 19 sierpnia w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Sosnowcu odbyło się spotkanie zatytułowane „Z wizytą u Hrabiego Draculi”. Impreza została zorganizowana w ramach letniej akcji „Literackie lato grozy na wesoło” oraz ogólnopolskiego programu Cała Polska czyta dzieciom.

■ W sierpniu w sosnowieckiej „Muzie” gościła niezwykła wystawa „Nadziemnie” obrazująca unikatowe piękno Grodna, jej autorem był Andrzej Filipowicz.

■ W siedzibie Kongresu Polaków w Czeskim Cieszynie można było oglądać wystawę poświęconą dwóm wybitnym duchownym katolickim: ks. prałatowi Leopoldowi Bilce (1892–1955) oraz ks. dziekanowi Józefowi Nowakowi (1908–1995). Obaj księża byli działaczami religijnymi i społecznymi, obu naziści więzili w obozach koncentracyjnych, a po wojnie prześladowały ich władze komunistyczne.

■ 29 sierpnia rozpoczął urzędowanie nowy konsul generalny RP w Ostrawie, Janusz Bilski, który zastąpił na tym stanowisku Annę Olszewską. Już 31 sierpnia nowy konsul odwiedził Kongres Polaków w Republice Czeskiej, gdzie spotkał się z jego władzami, z prezesem Józefem Szymeczkiem na czele.

■ Hawierzowska Galeria „Radość” oraz Miejski Ośrodek Kultury przygotowały z okazji 60. rocznicy założenia miasta wystawę twórczości Oskara Pawłasa. Zaprezentowano na niej przede wszystkim obrazy, a zwłaszcza olejne krajobrazy, które stały się najukochańszym tematem niezwykłego już artysty, długoletniego członka oraz prezesa Stowarzyszenia Literacko-Artystycznego przy ZG PZKO, a później Stowarzyszenia Artystów Polskich.

■ **MIEJSKA** Biblioteka Publiczna w Jaworznie sprowadziła 124 autentycznych chińskich książek. To publikacje o tematyce popularno-naukowej i albumy. Bibliotekarze zapraszają mieszkających tu Chińczyków, ale czynią to jakoś mało skutecznie. Choć lektury z Państwa Środka leżą na półkach od ponad roku, to dotąd do jaworznińskiej biblioteki zajrzało tylko jeden Chińczyk. I na dodatek nie chciał słyszeć o chińskich książkach. Zainteresował się jedynie książkami Stephena Kinga przetłumaczonymi na język polski.

■ **MIASTO** przygotowane na nawałnicę to bez wątpienia Rybnik, gdzie urzędnicy kupili detektor burz i stację meteo. Urządzenia będą ostrzegać mieszkańców przed nadchodzącymi burzami. Detektor monitoruje okolicę w promieniu 40 km. Wszyscy mają nadzieję, że pozwoli to przewidzieć odpowiednio wcześniej nadejście takich nawałnic, jak lipcowe.

■ **KOSSAK** wraca do domu. 4 sierpnia do muzeum Zofii Kossak w Górkach Wielkich powrócił skradziony 22 lata temu obraz „Autoportret” Wojciecha Kossaka, namalowany przez artystę w 1924 roku. Jest jednym z 13 obrazów skradzionych z końcem czerwca 1993 roku. Niewielki domek w Górkach Wielkich, w jakim urządzone jest muzeum Zofii Kossak, nie był wówczas wyposażony w alarm. Szacowana wartość obrazu to ok. 50 tys.

■ **KOLEJE** śląskiego marszałka chwala czeckiego przewoźnika, który za chwilę może stać się ich konkurentem. Pasażerowie z biletem Kolei Śląskich otrzymują ulotkę informacyjno-reklamową Leo Expressu. I są lekko zdziwieni... A w Kolejach Śląskich tłumaczy, że to tylko przyjacielska współpraca. Na razie. Wszak wiadomo, że Czechem marzy się ekspansja na śląski rynek.

■ **POLONUSI** są zachwyceni Śląskiem. Wielu nie widziało go od kilku dekad. 17. Letnie Igrzyska Polonijne były taką okazją do poznania bliżej kraju przodków. W tegorocznej imprezie wzięło udział ok. 800 sportowców ze świata. Walczono na arenach sportowych w Chorzowie, Rybniku, Sosnowcu i Wodzisławiu Śląskim.

■ **ULICAMI** miast naszej aglomeracji przejechał kolejny wyścig kolarski Tour de Pologne. W Katowicach pod Spodkiem 4 sierpnia znów zobaczyliśmy najszybszy z finiszów. Kolarzy dopingowały tłumy kibiców. Okazuje się, że była to znakomita impreza promująca Katowice, które doskonale wykorzystały okazję. Obrazki nowoczesnej Strefy Kultury poszły w świat.

■ **TONAÇA** Platforma Obywatelska chce przeforsować obiecywaną nieustannie ustawę metropolitalną. 5 sierpnia połączone siły dwóch sejmowych komisji przyjęły sprawozdanie z prac nad poselskim projektem, który we wrześniu powinien trafić pod głosowanie. A jeśli projekt zyska akceptację większości posłów, później senatorów i wreszcie samego prezydenta, to system zarządzania miastami Śląska i Zagłębia czeka spora rewolucja. Spora – bo zniknąłby Górnośląski Związek Metropolitalny i Komunikacyjny Zwią-

zek Komunalny GOP. I w bezpośrednich wyborach wyłoniono by radnych, którzy kierować będą ponad 2-milionową metropolią. Jej budżet ma być na poziomie niemal 400 mln zł i wykonywać będzie zadania związanym m.in. z kształtowaniem ładu przestrzennego, organizowaniem transportu publicznego, gospodarką odpadami czy ustalaniem przebiegu dróg wojewódzkich i krajowych.

■ **INWESTYCJA** w autobusy gazowo-elektryczne ma dać Częstochowie 15 mln zł oszczędności. Dzięki temu mają też stanieć bilety na przejazd.

■ **ZMARŁ** Henryk Buszko, ikona śląskiej architektury (ur. 3.09.1924 r. we Lwowie). Tyśiąclecie, Gwiazdy, ustroniskie piramidy, Teatr Ziemi Rybnickiej – to jego najbardziej znane projekty. W zespole autorskim z Aleksandrem Frantą stworzył wielkie projekty urbanistyczne. Studiował na wydziale Architektury Akademii Górniczej w Krakowie. Laureat Honorowej Nagrody SARP w 1975 roku. Zapalony narciarz. Zmarł 31 lipca 2015 roku w Katowicach. Spoczął w Zakopanem.

■ **JEDYNKĄ** Platformy Obywatelskiej w regionie w jesiennych wyborach parlamentarnych nie został jej dotychczasowy śląski lider Tomasz Tomczykiewicz, lecz prof. Marian Zembala, obecny minister zdrowia. Premier Ewa Kopacz zapowiadała, że układając reprezentację wyborczą do Sejmu, wyciągnie wnioski z porażki Bronisława Komorowskiego. Tomczykiewicz na liście w Katowicach pozostanie, ale na drugim miejscu. Zaskoczeniem jest dopiero piąta pozycja Marka Wójcika. Przed nim zarząd PO umieścił na liście wyborczej dwie posłanki: Danutę Pietraszewską i Elżbietę Pierzchałę.

■ **PIERWSZY** weekend sierpnia był gorący. W cieniu temperatura sięgała miejscami powyżej 34 stopni Celsjusza. Odnotowano 200 pożarów w lasach. Mniejsze o 40 procent płony. Coraz mniej wody było w Beskidach. Coraz gorzej z prądem – w całym kraju wprowadzono kilkunastu ograniczenia w jego poborze dla zakładów pracy. W Katowicach nawet Ikea została zamknięta, na Trzech Stawach wyłączono klimatyzację. W Dąbrowie Górniczej Centrum Handlowe Pogoria ograniczyła klimatyzację. W chorzowskim Wesołym Miasteczku zatrzymano karuzele, a Elka kursowała rzadziej. W Sosnowcu nie pracowała walcownia. W Bytomiu CH Agora było bez części oświetlenia. Kolejne upalne sierpniowe weekendy pogłębiły tylko klęskę suszy (której nie ogłoszono tylko z uwagi na konieczność przesunięcia wyborów parlamentarnych).

■ **NIECHLUBNY** rekord śląskich szpitali zamierza ukrócić Ministerstwo Zdrowia. Niebezpieczne dla pacjentów praktyki niektórych szpitali polegają na odsyłaniu chorych przywożonych karetami do innych placówek medycznych. Tylko w pierwszym kwartale tego roku doszło w Polsce do 680 takich przypadków, najwięcej w woj. śląskim – 174. Rozwiązaniem ma być określenie rejonu obowiązkowych przyjęć pacjentów.

■ **KAZIMIERZ** Kutz, śląski filmowiec i polityk, definitywnie żegna się z polityką. Mijająca kadencja Senatu będzie jego ostatnią – Kutz nie zamierza startować w jesiennych wyborach. Zwierzył się swoim współpracownikom, że ma dość polityki i uznał, że nie znajduje już w niej miejsca dla siebie. Likwidowane jest właśnie biuro senatorskie Kutza na ul. Gliwickiej w Katowicach.

■ **ZAMKNIĘTY** został ośrodek wychowawczy prowadzony przez siostry boromeuszki w Zabrze. I – jak zapewniają władze oświatowe i zakonu – nie ma to nic wspólnego z gorszącym wykorzystaniem i brutalnością stosowaną wobec podopiecznych ośrodka, którą zajmuje się prokuratura i sądy. Kongre-

gacja wraz z zabrzańskim MOPR-em poszukuje miejsc dla podopiecznych ośrodka.

■ **CENTRUM** PKP Cargo zostanie przeniesione na Śląsk z terenu całego kraju. Do Katowic przenoszą się spółki PKP Cargo z Warszawy, Krakowa i Bydgoszczy. Siedzibą centrali będzie 10-piętrowy gmach przy ul. Francuskiej.

■ **PIELGRZYMKI** kobiet do Matki Boskiej Piekarskiej 16 sierpnia obfitowała tradycyjnie w polityczne tematy: in vitro, dramat rozpadu małżeństw, praca, wybory. Śląskie kobiety miały nadzieję, że w tym roku uda się śląskiemu duchowieństwu oddzielić sprawy wiary od polityki – i zawiadyli się.

■ **TABLET** czuwa już nawet nad pacjentem. Leczenie na odległość, czyli telemonitoring chorych z niewydolnością serca to stały nadzór nad stanem ich zdrowia. Docelowo będzie nim objętych 100 pacjentów Górnośląskiego Centrum Medycznego w Katowicach-Ochojcu.

■ **KOMPANIA** Węgłowa – największa górnicza spółka Unii Europejskiej – dobiega swych dni. 1 września kilkadziesiąt tysięcy zatrudnionych w KW górników powinno zmienić pracodawcę, przechodząc do Nowej Kompanii Węgłowej. Jej utworzenie było jednym z punktów porozumienia, które zakończyło falę styczyńskich strajków na Śląsku. Podpisali się pod nim przedstawiciele związków zawodowych i rządu Ewy Kopacz. Przez kolejne miesiące trwać miały intensywne rozmowy z potencjalnymi inwestorami, tyle że o konkretnych nikt nie słyszał. Cierpliwość górniczych związków się wyczerpała, na wrzesień zapowiadają strajk w całej branży.

■ **CZEKA** nas gorąca jesień związkowych protestów, co przed październikowymi wyborami parlamentarnymi ma swoją polityczną wymowę. We wrześniu protesty zapowiadają górnicy, do walki o swoje prawa przygotowują się świetnie zorganizowane pielęgniarki, przypomnieć zamierza o sobie Związek Nauczycielstwa Polskiego.

■ **REKORDOWĄ** liczbę ponad 3 tysięcy gniazd os, szerszeni i pszczoł (to ok. 20 proc. więcej niż rok temu!) zlikwidowali strażacy z Państwowej i Ochotniczej Straży Pożarnej w woj. śląskim. Najwięcej (od 200 do ponad 300 interwencji) odnotowano w powiatach: tarnogórskim, miakołowskim, częstochowskim, lublinieckim oraz wodzisławskim.

■ **PONAD** 20 tysięcy osób obejrzało w Rybniku 25 sierpnia koncert Linkin Park. Występ amerykańskiej grupy był muzycznym wydarzeniem roku w naszym regionie.

■ **KONIEC** pobjazania dla rodziców, którzy nie chcą szczepić swoich pociech. Do wojewody śląskiego wpłynął właśnie pierwszy wniosek o ukaranie grzywną za uchylanie się od obowiązkowych szczepień. Skierowała go Powiatowa Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna w Dąbrowie Górniczej. Jednorazowa grzywna to maksymalnie 10 000 zł, wszystkie nie mogą przekroczyć 50000 zł.

■ **WĘGLA** z Pola Panewnickiego już nie będzie. Miesiąc temu eksperci powołani przez Wyższy Urząd Górniczy wydali opinię zalecającą zaniechanie eksploatacji w rejonie Pola Panewnickiego. Wskazali na duże zagrożenie metanowe, pożarowe oraz tapnięciami, które powodują, że prowadzenie tam wydobywania jest niebezpieczne. Katowicki Holding Węglowy podjął właśnie decyzję o zaniechaniu prac górniczych w tym rejonie.

■ **NARESZCIE!** Od października można będzie składać wnioski o wydanie Śląskiej Karty Usług Publicznych. Spełniać będzie ona funkcję elektronicznego biletu w autobusach i tramwajach KZK GOP, choć na początek pozwoli płacić wyłącznie za bilety okresowe (jednorazowe będzie można w ten sposób kupować od stycznia).

Stary człowiek i słońce

JAROSŁAW STARZYK

To był ponury poranek. Piłem CZARNĄ kawę, która była GORZKA, choć osłodziłem ją (wbrew opiniom lekarzy, dietetyków i innych mądrali) dwiema łyżeczkami cukru. Moja przyszłość rysowała się CZARNO. Przemyslałem bowiem ostatni czas. I co?

1. To nie ja znalazłem pociąg ze złotem.
2. To nie ja wygrałem 35 milionów w kumulacji totka (ba, nie trafiłem nawet trójki).
3. To nie ja spowodowałem deflację, przez co moja emerytura nie będzie w przyszłym roku zrewaloryzowana. Zresztą, gdyby mieli ją rewaloryzować, to o poziom inflacji, czyli i tak nie zmieniliby to w żaden sposób mojej sytuacji.

4. Bezczelny zapowiadacz pogody, który orzekł, że będzie upał – 30 stopni w cieniu, kazał mi (ściśle mówiąc: starym ludziom i dzieciom) siedzieć w domu i nie wychodzić na słońce.

Przemyslałem to wszystko z niezadowolaniem, i doszedłszy do wniosku, że w stosunku do pierwszych trzech punktów mojego rozgoryczenia jestem bezsilny, postanowiłem, na złość babci... Co za głupota – pisać w tym miejscu „odmrozić sobie uszy”, jak tam, za drzwiami, czai się trzydziestostopniowy upał. A powiedzenie: „na złość babci dostanę porażenia słonecznego” – brzmi gorzej, o ile nie całkiem beznadziejnie. Przyzomniał mi się też, pewnie niedokładnie, Broniewski: *Nie głaskało mnie życie po głowie, / nie pijałem ptasiego mleka, no i dobrze, no i na zdrowie, / tak wyrasta się na człowieka.* A gdyby go głaskało, na kogo by wyrósł? Niedźwiedzia?

W każdym razie wyruszyłem na miasto. Po drodze minąłem starszą parę z chłopczykiem, może już pięcioletnim, w dzinsikach (małe były te spodenki).

– Ty, babciu, jesteś dziewczynką? – zapytało dziecko. Starsza pani zmilczała, ale małec swoje wiedział.

– Jesteś dziewczynką – stwierdził stanowczo, co babcia, dość niechętnie, potwierdziła.

– To dlaczego nie masz nic różowego?

– Nie lubię różowego.

– Dziewczynki muszą mieć coś różowego – stanowczo orzekł małec. – A chłopczyki coś niebieskiego. Tak jak ja – tu poklepał się po swoich dzinsikach.

Dziadek, który nie miał nic niebieskiego, przyspieszył kroku. Potem pokazał małemu samolot i w ten prosty sposób zmienił kłopotliwy temat. A ja zacząłem myśleć o tym, że to dociekliwe dziecko za rok, jako sześciolatek, trafi do szkoły (a może nie), jako sześćdziesięciosiedmiolatek zostanie emerytem (a może nie), w każdym razie – nie zazdrozczę mu życia w tym świecie, który – moim zdaniem – nieodwracalnie chyli się ku upadkowi.

Jednak w tym momencie uzmysłowiłem sobie, jakie rozterki musieli przeżywać (a może nie) moi rodzice decydując się na powołanie mnie na ten świat. To nie był dobry czas – lata stalinowskie, lata komuny, potem wojny „na górze” trwające do dziś... Ktoś stwierdził przy Boyu, że najlepiej jest tym, co się wcale nie urodzili, na co autor *Słówek* westchnął melancholijnie: „Ale ilu takich jest. Dwóch, trzech...?”

W tym momencie uzmysłowiłem sobie, że jestem w niebieskich dzinsach (czyli chłopczyk ze mnie). Szkoła od sześciu lat, emerytura od sześćdziesięciu siedmiu nie wydawały mi się już takim dopustem Bożym. Przed oczami duszy zobaczyłem tego miłego chłopczyka starszego o lat 10-15. Siedział w parku Kościuszki (do którego się udawałem, aby usunąć się w cień) przytulony do uroczej paniienki, odzianej w coś różowego. Wpatrzeni w swoje superowe mega-hiper smartfony, przesyłali sobie miłosne sms-y, może nawet cytując Tuwima lub Gałczyńskiego.

ŚLASK

kolekcja jubileuszowa

Redakcja miesięcznika „Śląsk” z okazji 20. roku istnienia, pragnie z tej okazji sprezentować Czytelnikom publikowaną co miesiąc „Kolekcję jubileuszową”. Składają się na nią grafiki i malarstwo wielu znakomitych artystów z regionu śląskiego.



Fot. z arch. Artysty

Grzegorz Hańderek

Urodzony w 1977 w Zabrze; studia w Instytucie Sztuki Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach (dyplom z wyróżnieniem w roku 2002) oraz w Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach (dyplom z wyróżnieniem w 2003 roku), gdzie obecnie pracuje na stanowisku profesora ASP. W latach 2008-2012 – dziekan Wydziału Artystycznego, a od 2012 – prorektor ds. kształcenia w ASP w Katowicach.

Kurator 9. edycji Triennale Grafiki Polskiej

Autor około 20 wystaw indywidualnych oraz uczestnik około 200 wystaw zbiorowych w kraju i zagranicą m.in.: LeLocle (Szwajcaria), Miscole (Węgry), Katowice, Warszawa, Kraków, Poznań (Polska), Sarcelles (Francja), Kair (Egipt), Lahti (Finlandia), Cuenca, Ourense (Hiszpania), Chicago, Milwaukee (USA), Tokyo, Sapporo, Toyama, Ogaki (Japonia), Guanlan (Chiny), Taipei (Tajwan), Seoul (Korea), Bhopal (India).

Nagrody i wyróżnienia (wybór):

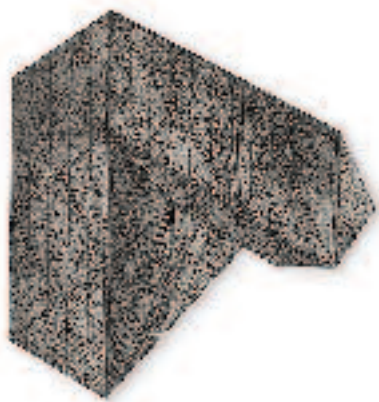
- 6. Triennale Grafiki Polskiej – Katowice – 2006 – Grand Prix

- X Międzynarodowe Biennale Grafiki CAIXANOVA – Ourense – Hiszpania – 2008 – Grand Prix
- Międzynarodowe Triennale Grafiki w Krakowie – wyróżnienie honorowe – 2009,

- Bharat Bhavan 9th International Biennial of Print Art 2011, India – Grand Prix – 2011,

- 16th Space International Print Biennial, Seoul – Excellent Prize – 2011,

- 3er FESTIVAL INTERNACIONAL DE GRABADO CONTEMPORANEO – Bilbao – wyróżnienie – 2015.



Grzegorz Hańderek / Covered sinus I / intaglio / 2014

zapraszają w dniach

18.09.2015 - 17.01.2016

na wystawę

BELLMER / VISAT

 KATOWICE ul. ks. J. SZAFRANKA 9, www.mhk.katowice.pl

Wystawa prac, głównie graficznych, słynnego katowiczana Hansa Bellmera (1902-1975) oraz wielu znakomitych twórców – takich jak: Max Ernst, Dorothea Tanning, Man Ray, Unica Zürn, Hans Richter, Meret Oppenheim, Roberto Matta, Wifredo Lam, Joan Miró, Niki de Saint Phalle – związanych z paryskim Wydawnictwem Georges'a Visata oraz Galerią Suzanne Visat

